

JANUSZ SIEMINSKI

.... KROK W LEWO, KROK W PRAWO UWAŻAM ZA UCIECZKĘ

STRZELAM BEZ OSTRZEŻENIA....

DIA CELOW ARCHIWALNO-DOKUMENTA-  
CYJNYCH SPORADZONO DZIŁKĘ  
KSEROWANIUMU TEKSTU BEZ  
PRNA DANKU UJMIĘCIEMO DMEZ  
MIKROA

Antoni Jankowski  
26. X. 1992 roku  
UR. CENNY

WARSZAWA 1990 ROK

"Szach w lewo, szach w prawo -  
- szczytaju pobiegł..."

...exoriare aliquis nostris  
ex ossibus ultor...

(Wergiliusz: Eneida, 4.527)

## I. DORASTANIE

Rodzina moja pochodzi z trzech dzielnic Polski, z Zagłębia, z Litwy i z Mazowsza. Ze strony Ojca jest to stary, osiadły na Mazowszu ród powstańców i bojowników o Polskę Niepodległą. Ludzi, którzy w czasie gdy Niepodległość stawała się rzeczywistością, wypełniali pierwsze szeregi budowniczych, tworzących Jej siłę i rozkwit. Ze strony Matki jest to ród górników, którzy wzbogacili Polskę swą ciężką pracą i walczyli z bronią w ręku, przelewając swoją krew w powstaniach Zagłębia i Śląska, broniąc rdzennych Ziemi <sup>Polskich</sup> ~~Polskich~~.

Zaczynam rodowód od prababki Rościszewskiej, która była ziemianką mieszkająca na Mazowszu. Rodowy majątek - Rościszewo koło Płocka i Mławy. <sup>(z pierwszym mężem)</sup> Prababka, wraz z pradziadkiem Strupczewskim, brała udział przenosząc broń przez granicę, <sup>ikolportując bibułę dostarczaną w Ł-wy</sup> w Powstaniu Styczniowym 1863 r. Za tę działalność pradziadek został osadzony w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej, pradziadkowie wyrugowani z majątków, które zostały przez Carat skonfiskowane. Małżeństwo to miało trzy córki. Jedną z tych córek - moja babcia, Antonina, wyszła za mąż za mojego dziadka Siemińskiego. Pochodził on z Wilna. Jego matka, moja bababla, wywodziła się z rodziny niemieckiej, osiadłej na Litwie, była Niemką, a pradziadek - spolszczonym Litwinem.

Dziadek Siemiński był budowniczym mostów i dróg kolejowych w Rosji i w Polsce. Został zamordowany podczas dokonywania wypłaty pracownikom, budującym most kolejowy na rzecz Bug w Wyszku, + był socjalistą. Małżeństwo dziadków Siemińskich miało cztery córki i dwóch synów, z których jeden zmarł w dzieciństwie. Babcia <sup>imaginiacji</sup> po śmierci męża założyła sklep bławatny w Wyszku. Wspierana przez

*to dziecko budowniczym mostów... w Wyszku - ...*

okolicznych właścicieli ziemskich, z którymi była spokrewniona (m.in. Skarżyńskich). Była szanowaną obywatelką miasta Wyszkowa. Pozostały przy życiu syn, Jerzy Siemiński, to mój Ojciec.

Córki babci Siemińskiej powychodziły dobrze materialnie za mąż jako panny z dobrego domu, z wyjątkiem najmłodszej i najładniejszej Ziuły, która zakochała się w szewcu Edwardzie Zarzyckim i popełniła megalomanię. Wujek Edek zginął w Powstaniu Warszawskim, nie odnaleziono jego grobu. Była to <sup>twoja ciocia</sup> bardzo kochająca się, ~~ale biedna~~ rodzina. Małżeństwu temu Ojciec mój pomagał finansowo. Druga Ciotka - Kazia była podczas rewolucji rosyjskiej sanitariuszką w pociągu wojskowym, <sup>cała się poświęciła</sup> przeszła gehennę tego okresu, potem wyszła za mąż za krewnego z dalszej rodziny - Stanisława Mikłaszewskiego, <sup>prze</sup> wnuka z linii pradziadka Strupczewskiego. Najstarsza Ciotka - Mita, wyszła za mąż za farmaceutę Feliksa Domańskiego, który po powstaniu warszawskim 1944 r. wyemigrował do Australii i tam zmarł. Ciotka Janka wyszła za mąż za przedsiębiorcę i handlowca Jana Olszewskiego.

Mama moja wywodziła się z biednej, przedwojennej, czerwonej Dąbrowy Górniczej - Polski ideowej, Białego Orła. Była córką górnika, który pracował w kopalni na Redenie <sup>jako szlifier</sup> w dróżynie ratowniczej. Matka moja do ukończenia gimnazjum E. Zawadzkiej opiekowała się swoim rodzeństwem, <sup>które zostało</sup> matka jej ~~nie żyje~~ umarła bardzo wcześnie. Matka <sup>nie żyje</sup> pochodziła z wielodzietnej rodziny górniczej. Z pierwszego małżeństwa dziadka było pięcioro dzieci. Po śmierci babci, Mama jako najstarsza uczyła się i jednocześnie prowadziła <sup>dom</sup> dom. Po odzyskaniu przez Polskę Niepodległości <sup>po powrocie studentów z zagranicy</sup> zaświtała nadzieja dla biedoty górniczej. Mama, zakochana w socjalistycznych ideałach Piłsudskiego, jako 18-letnia dziewczyna <sup>wyruszyła</sup> w Polskę po kryzysie gospodarczym lat dwudziestych. Wyjechała na Mazowsze w poszukiwaniu pracy, <sup>z</sup> głową nabitą wzniosłymi celami. Ojciec Matki - dziadek Stepien, <sup>z</sup> ~~zabudował nową rodzinę~~ <sup>pomógł</sup> ożenił się i miał dwoje dzieci ~~z drugiego małżeństwa~~. Bracia Mamy zbierali węgiel na hałdach. Najstarszy, Bolek, wydobywał węgiel w Biedaszybach.



(\*)

Kształak natomiast jedynym dziełem i ciałem było przetworzenie,  
było przyjęcie ciała dziejszego. Wytrawienie do momentu  
zaprowadzenia do baraka na dworzanie przyje.

(\*\*)

ważnie przyniesione i w rodzaju grabi na torach  
słyn kolejowych. Dotracamy to gdy na postój  
wyprowadzają nas załatwić potrzeby fizjologiczne.

(XXV)

Można je być było wykonanie jedynie zabijając  
konwojenta i skalece w biegu na boku wagonu.  
Zniechęcają nas grabie i karabin maszynowy  
na ostatnim wagonie.

Brak było bowiem pracy w kopalniach francuskich i niemieckich właścicieli. Jedyną pracą, którą wuj mógł uzyskać, była praca w policji, <sup>przeganiać dzieci i biedaków z hotelu a górników, ocierać wodę w biedaszybach</sup> lecz wuj nie chciał ~~być policjantem~~. W kraju rozpoczął się wielki kryzys gospodarczy. Mama z oddali pomagała finansowo jak mogła.

Pamiętam, jak pod koniec lat trzydziestych, kiedy przyjeżdżaliśmy do rodziny do Dąbrowy Górniczej, wuj Bolek przywiązywał mnie do siebie obejmował mnie ramionami i włożywszy stopę w pętlę łańcucha na kołowrotku studziennym zjeżdżał ze mną na dół do studni biedaszybu. Mama umierała ze strachu, protestowała. Było to dla mnie niesamowite przeżycie. Wuj mówił: "Michasiu, nie bój się, niech chłopak pozna i zapamięta dołę <sup>jakże przocel i przedchycić byty żar z tawa</sup> górnika". Pamiętam jego spokojny oddech na mojej twarzy. A potem następowało pełzanie do przodka, do wyrębu. Do dziś pozostał mi strach i uraz do zamkniętych pomieszczeń, duszę się, <sup>serce mi</sup> wali w skronie.

Mama jako nauczycielka rozpoczęła pracę w okolicach Wyszkowa. Tu poznała mego Ojca, zakochała się i przy pełnej akceptacji i aprobachie babci Siemińskiej - rodzice moi pobrali się. Owocem tego uczucia byłem ja, następnie młodszy brat Stefan. W okresie okupacji rodzina nasza powiększyła się. Wuj Bolek z Dąbrowy Górniczej został rozstrzelany za sabotaż w kopalni. <sup>choroby dlate potocznej, która rozwinęła się w kopalni</sup> Żona jego zmarła na suchoty, ~~4~~ ich dzieci zostały "rozebrane" <sup>wśród</sup> ~~po~~ rodzinie. Jedno z nich, Zochę, wzięli moi rodzice do Warszawy; wychowywała się ~~ona~~ razem z nami. Mąż siostry mojej Matki, inż. Franciszek Szota, <sup>W Dąbrowie Górniczej</sup> uczestnik powstania śląskiego pochowany w kwaterze powstańców. Za działalność społeczną w Dąbrowie Górniczej oraz za odmowę podpisania volkslisty został zesłany do obozu koncentracyjnego Dachau.

Całe moje wczesne dzieciństwo spędziłem w Wyszkanie z rodzicami. Najpierw wychowywała mnie Babcia, jako beniaminka rodziny, Pierworodnego wnuka, jedynego syna ~~syna~~ i głowy rodu Siemińskich. Później była służące i przedszkole koło wiaduktu kolejowego. Matka była nauczycielką, Ojciec dyrektorem Oddziału Banku MKO w Wyszkanie. Dom praktycznie był "podwójny", ponieważ ~~po~~ pewnym czasie Ojciec zaczął pracować.

(\*)

Tu już wagony będąc się imie do is, obszarne uctwozenie.  
Wewnątrz tak samo wyposażone, wamy z dwóch stron:  
dziosta w podłogach. Do wagonu Tachuję, do wozów.

(XX)

Zalanie ludzi cementem w fundamentach budowli. Wrogów  
sowieckiej i fady, biatych pasożytów, wrogów roboczego  
ludku, setki tysięcy więźniów znalazła tam grot.  
Dla mnie jest to zapowiedz wojny przyszłej qehenny.

(\*)

Konwoje nie wchochą do środka wagonu, przeciągnij  
masz ~~na~~ pałpięta na jedną stronę, pociąg na drugą  
i sprawdzają ściany, podłogę i dach wagonu.

w Warszawie, a Matka pracowała w dalszym ciągu w Wyszku. Matka była pionierką w zakładaniu <sup>diplomatów</sup> szczerpów harcerskich i zuchowych na Mazowszu, konkretnie w Wyszku i okolicach, zresztą wspólnie z Ojcem. Była harcmistrzynią i do działalności w ZHP wciągała nas od najmłodszych lat. Tak <sup>wnę</sup> że mój rodowód harcerski sięga lat przedwojennych. Byłem z Matką na ostatnim zlocie ZHP w Spale w sierpniu 1939 r. W poprzednich zlotach i obozach harcerskich nad Liwcem i w innych okolicach też brałem udział wraz z Matką.

Warto w tym miejscu choć parę słów powiedzieć o przedwojennym mieście Wyszku.. W 1939 r. liczyło ono około 15 tysięcy mieszkańców, w tym ponad 5 tysięcy <sup>Zydów</sup> Polaków pochodzenia żydowskiego. Miasto powstało w 1203 r., a prawa miejskie otrzymało w 1502 r. Pierwszy drewniany most na rzece Bug wybudowano w 1528 r. Natomiast budowę pierwszego kolejowego mostu rozpoczęto w 1895-97 r. Budowali go między innymi mój dziadek i stryj. Podczas budowy mostu został zastrzelony mój dziadek. Do 1939 r. funkcjonowały w Wyszku: dwie <sup>między innymi w dawnej Katedrze</sup> szkoły podstawowe, <sup>Paulstowe przedszkole</sup> gimnazjum, dworzec kolejowy, huta szkła, browar. Piękny dwór ziemiański Skarżyńskich. Był w Wyszku zabytkowy kościół z XVII w. z ciekawą wyrytą w murach historią wojen szwedzkich oraz zabytkowy cmentarz z kaplicą. Na tym cmentarzu tuż przy bramie wejściowej natykamy się na pierwszy obszerny rodzinny grób Siemińskich.

Wyszku był przepojony historią Polski, pełno w nim starych obelisków, <sup>podanych</sup> grobów z różnych powstań i zrywów narodowych, podziemi i lochów ciągnących się aż pod rzekę. <sup>Bug</sup> W tej wszechobecnej historii i tajemniczej przeszłości wznosiła się młodzią przedwojenna Wyszka. Wykorzystywali to nauczyciele i pedagodzy, a zaowocowało to patriotyczną postawą wznoszącego pokolenia wyszkowiaków w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Folklor małomiasteczkowy, klimat tolerancji narodowościowej, kulturę bycia i obcowania na co dzień budowali nasi rodzice. <sup>tworząc</sup> ~~jednocześnie śmietankę~~ <sup>2</sup> elity <sup>3</sup> towarzyskiej Wyszka. Warto tu

• <sup>1</sup> zająć się budową nowego mostu kolejowego na rzece Bug - otrzymał przedkwalifikację do budowy kolejowego D.S.



x)

Niejednokrotnie zatrzymanie się pociągu wystarcza na nakarmienie kilku zaledwie wagonów. Reszta musi czekać do następnej postarowki lub zamkniętego semaforu.

XX) nierwarzając na wrocie obrony - smiej się z nich, dostreż się wyraźny antagonizm między tymi formacjami. Obserwuj, że

Stosunek ludzi walnych do wizji jest wyjątkowo przychylny, powiedziamy serdecznie. Dostreż się wyraźne rozdzielenie społeczeństwa na tych u władzy czyli naczelstwo i emulację oraz resztę, jakoby Dasi i Pły, wyraźne rozwarstwienie.

5

wspomnień o niektórych nazwiskach takich wyróżniających się rodzin :  
wysokiej kultury <sup>osobistej</sup> burmistrz Wyszkowa, pan Wolski z rodziną, dyrektor  
gimnazjum pan Rytel, wspaniały lekarz <sup>żydowski</sup> ~~ego pochodzenia~~, pan  
Lajcher, pedagodzy i wychowawcy Kamińscy, Kuczyńska, Kulesza, Kaczmar-  
czyk i wielu, wielu innych. Wspominam wspólne stoły wigilijne i  
kolędy u państwa Wolskich, gdzie poznawaliśmy stare polskie, teraz  
zapomniane, kołysanki, śpiewane przy Bożym Drzewku. Pamiętam kontro-  
wersyjną, pełną swarliwości polityczną dyskusję Mamy z Panem Wolskim.  
Młodzież z tych rodzin tworzyła w okresie okupacji komórki konspira-  
cyjne na terenie Wyszkowa i okolic. Pod ich dowództwem oddziały bojowe  
brały udział w wielu akcjach zbrojnych i bitwach z okupantami. Nazwis-  
ka i imiona synów i córek z tych rodzin przewijają się wspomnieniami  
na kartach ~~roznych~~ licznych książek i publikacji z lat wojny, okupacji  
powstania warszawskiego i czasów powojennych.

W ostatnim miesiącu przed wybuchem wojny 1939 r. Ojciec został  
zmobilizowany i walczył <sup>(do kapitulacji)</sup> w Armii Modlin. Przeszedł całą kampanię  
wrześniową aż do niewoli i internowania w ZSRR, skąd uciekł i we  
wczesnych miesiącach 1941 roku powrócił do domu.

Pamiętam taki moment pierwszych godzin wojny, leżeliśmy ze Stasz-  
kiem i Bolkiem Wolskim na dachu komórki ich posesji i obserwując nad-  
latujące samoloty, <sup>uznali</sup> ~~(stwierdzamy zgodnie)~~ że to na pewno pomoc Zachodu,  
angielskich lotników, dla walczącej, krwawiącej Polski. Dopiero wy-  
buchy spadających bomb uprzytomniły nam rzeczywistość. Pamiętam ~~jak~~  
<sup>gdzie</sup>  ~~kiedy~~ jako harcerz w sanitarnej drużynie w pierwszym dniu bombardo-  
wania Wyszkowa na ul. Kościuszki, układałem na noszach rannego kolegę  
którego wnętrzości upychałem z powrotem do brzucha. Podobno nawet  
przeżył ten brutalny zabieg i do dziś na pewno nie wie <sup>jaki ignorant</sup>  ~~kto~~ grzebał  
w jego wnętrzościach.

Ja wróciłem <sup>(i odwieściłem)</sup> te strony dopiero po piętnastu latach, tułaczki

Data 1 września 1939 r. w moim dość długim życiu jest nad wyraz  
symboliczna, znamienita i brzemienna w skutkach. Od tej daty aż do

(\*)

ludzie przechodzili z baraku do baraku dość swobodnie jak komu było wygodnie nikt tego specjalnie nie pilnował. Powiem, że nawet starszym baraków to odpowiadało stwarzano większy zamęt.

(\*\*)

Ciekawy przypadek, że marzeniem każdego zakładowego byłaby podwojna pensja, kożdemu się zdarzało, że z tego powodu ma więcej dożądaj. że zdarzy mu się taka chwila, że będzie już mógł zapłacić oło petna. Marzenia głodnego zaka. Najchętniej każdy chciałby mieć małe wiadereko.

(\*)

dniaie ci jakby cennie, ze nie dlugo odejdz probowali bardzo  
czesto uwazic o ciebie o naszym zyciu przetrzym. Jakby pragneli  
ci zostawic ze swego zycia w tylu nutowych majacych, wieksze  
szanse na przetrzymanie <sup>(zaczynajac z cieniem)</sup> w tedy kulturalnym na podwojnym naraz  
0.5 cennyma barak. Ich nie, nie probujal ci przez odjazdy chorzane  
i niespolozonek wzraznych okolicznych spazmow. Aspiracja zycia.

"Synok od kula ty" z Polski strasznie, "A z Polacy, wojnowa ja  
z polakami bitny soldat, lubi swoj kraj. A wiec ty synok  
jak ja swieczka, wraze <sup>urloznowe</sup> robidem? Krow kawa sie z bialych  
kropkami muskiego narodzi. To zydzi ubili lenina, a teraz

mas ma katorkę z syfaję, <sup>W Hiszpanii ter mas kapitalisi out miecy mordoweli</sup>  
i cetera ter nam kociat zbilu a naci go kary na spier, zostali. Dalek 10 let pami zycia ja jir  
Byty ter i inne opowiesci. Teraz ci w toymnocy chlopca, <sup>swój bledam</sup>  
ja wynalaztem maszynę, mam ja tu w gtownie, ona byla <sup>nie nigdy</sup>  
dluzo lepsza od tej ktora wydumal glos inzynier. Ukzadi <sup>nie robalę,</sup>  
mi ja a mnie za sabotaz posadzili. Boli sie, ze pojady do <sup>A jak n mas</sup>  
towarzysza Stalina i opowiem. Y teraz rozpidi moje do <sup>cięsto teraz</sup>  
Moskwy wyrucają do kocz." <sup>jak si eno</sup>  
<sup>noeno pach wie, A</sup>  
<sup>jakto nastojaka</sup>  
<sup>smaczna.</sup>

<sup>spiewale</sup>  
Ingeniarskiemu artyeta ZSSR zbilu sie na kierownika  
Anraba. Cwidytem glos przed wystapem a w szeregach, kotkowinien  
prezawiat to s. Stalin. Pomiedziatem, zeby go zamkneli bo  
nie wycignę gornego re - Blaw, gadzina dou oria i  
dali 8 lut po 58-10.

6

obecnej starości żyję w ciągłym zagrożeniu i walce o przeżycie dnia następnego. Od tego momentu miecz Damoklesa wisi nade mną nie w jakiejś oddalonej w <sup>czasie</sup> przyszłości, ~~lecz~~ każdy dzień przeżyty jest dniem triumfu nad śmiercią i jednocześnie trwogą o przeżycie dnia następnego. Od tej daty wszystkie następujące po sobie minuty, godziny i dni są wielką niewiadomą, zagrożeniem i walką o przeżycie. Są jednocześnie wielką przygodą życiową, której objętość i bogactwo starczyłyby dla kilku istnień ludzkich. (P)

Drugiego dnia bombardowań ja z Matką i bratem oraz z dwiema rodzinami nauczycielskimi, panią Weretyńską z córką, której mąż był kapitanem w Wojsku Polskim, i państwem Kuczyńskimi z synem i córką, wozem drabiniastym wynajętym od znajomego chłopca, zaczęliśmy uciekać na wschód. Za sobą pozostawialiśmy zbombardowane i płonące domy Wyszkowa. Była to straszna droga. Przez pierwsze dni uciekaliśmy w dzień, ~~ale~~ już <sup>już</sup> ~~nawałnica~~ bombardowań obejmowała swym zasięgiem okolice Wyszkowa, całej Polski. <sup>Wyprowadziła nas obejmujące pożogę i tragedię całą kraj.</sup> Był drugi, trzeci dzień wojny. Samoloty niemieckie lecąc nad szosami strzelały do tych olbrzymich taborów uciekinierów, które szosą łochowską <sup>podzieliły</sup> ~~udawały się~~ na wschód, uciekając przed najeźdźcą hitlerowskim w stronę Siedlec.

Pamiętam takie zdarzenie - w pewnym momencie podczas <sup>tragedii</sup> takiego nalotu, <sup>adit</sup> wszyscy uciekali w pobliskie krzaki, i do rowów, myśmy się rozsykali i pogubili. Do dziś mam w oczach obraz Matki, która ~~już po nalocie~~ biegnąc z rozwianym włosom między rozbitymi wozami, wśród jęku rannych, krzyczała, wołając nas po imieniu. "Gdzie są moje dzieci, co się z nimi stało!" . Szczęśliwie nas odnalazła! Zaczęła się dalsza droga na wschód. Potem, <sup>na szosach</sup> po tych tragediach krwawych ~~jatek~~, poruszaliśmy się tylko nocą, w dzień śpiąc w opuszczonych domach, u przerażonych gospodarzy, w stodołach, w ciemnościach nocy, w atmosferze grozy i płonących wiosek i miasteczek, trzymając się wolno poruszającego się do przodu wozu wlekliśmy się wystraszeni i zaspani. Zatrzymaliśmy się pod Siedlami w wiosce Kopcie, <sup>siedlem</sup> ~~parę~~ kilometrów od Siedlec. <sup>na drogę</sup> Dalej ruszać nie

x)

Byli to ludzie podwojnie nieszczęśliwi, żyjący w wiecznej  
frowdole aby ich nie okradziono. Muszący składać okupy  
bratnym za ochronę swych wależy, które topniały z dnia na  
dzień w ich oczach. Tworzą nadchodzącego strachu tym  
mocniej ich przeraża.

xv)

Byliśmy w mniejszości w stosunku do całej tej olbrzymiej  
masy wyższości. ~~Przez jego wależ, które nie były chyba w  
skrajnym nieszczęściu niesieniu wzajemnej pomocy. A nawet~~  
Trzeba stwierdzić, że ekstremalne <sup>ciężkie bez perspektyw</sup> warunki genetyczne nie  
sprzyjają, postawę jednoczący ludzi a wręcz odwrotnie  
wywołują dążenie indywidualnej samoobrony. Jedynak dążąc  
przerzucić musiał się upodobnie do ogona otoczenia. To nie był jednorodny  
jakiś kataklizm życiowy jednoczący ludzi. Tu karoby miał w  
perspektywie co najmniej 10 lat walki o każdy dzień przycięcia.

mogliśmy, gdyż doszły nas informacje, że od wschodu przesuwa się  
 okupacyjna armia sowiecka. Zatrzymaliśmy się więc tu, u gospodarzy.  
 Mama za trzymiesięczną pensję - odprawę, wynajęła mieszkanie. Było  
 nas trzy rodziny nauczycielskie. Któregoś dnia, ~~dokładnie sobie nie~~  
~~przypominam, którego września,~~ pokazały się oddziały armii sowieckiej.  
~~Teraz mogę wnioskować, że to było po 17 września.~~ Zaczynał się kolejny  
 rozbiór Polski. Nie docierało to w pełni do mojej świadomości. Pierwsze  
 zetknięcie z żołnierzami armii sowieckiej było takie: Na podwórzu  
 gospodarza stał wóz, a właściwie przodek wozu z dyszlem do przodu  
 skierowanym w górę. Nad nami nad okolicą krążył samolot. Nie robiło to  
 na dzieciach większego wrażenia. Działania wojenne powoli już zamierały.  
 Widocznie lotnik-obszernik musiał coś niepokojącego dostrzec. Złe  
 zinterpretował sytuację, bo po jakimś czasie nadjechał na koniach  
 oddział sowieckiej "rozwiedki". Boże, jak ci żołnierze wyglądali!  
 Te sznurki, te łapcie, te azjatyckie twarze! Krzyczeli, grozili kara-  
 binami i nahażkami. "Gdzie puszką?" wołali, "kuda ją spriatali".  
 Dobre szczęście, że gospodarz, u którego mieszkaliśmy, trochę rozumiał  
 po rosyjsku, trochę językiem migowym, rękoma, wytłumaczył im sytuację.  
 Że to dzieci, że to wóz drabiniasty, a nie żadna armata. Po groźbach  
 i sytym poczęstunku odjechali, uwożąc przytroczoną do siodła dowódcy  
 całą gąskę, za którą musieli gospodarzowi zapłacić nasi rodzice.

To była pierwsza moja styczność z <sup>przedstawicielami</sup> armią sowiecką okupującą wschodnie  
 tereny Polski. Wkrótce o niej zapomniałem. i nie przypuszczałem wtedy,  
 że po pięciu latach ten epizod z mego życia tak bardzo będzie intere-  
 sował śledczego z NKWD i że będzie interpretowany na moją niekorzyść  
 przy wyrokowaniu mojej kary. Będzie kolejnym wydumany przestępstwem  
 w oczach nowej władzy w późniejszych latach, z całego arsenału domnie-  
 manych win i zbrodni. Moje pochodzenie rodzinne i moich protoplastów,  
 zaangażowanie ideowe mojej Matki, które przekazywała swoim chłopcom,  
 uwielbienie Piłsudskiego, harcercie poświęcenie dla Ojczyzny - wszyst-  
 tko to było zbrodnią w czasie badań NKWD, za którą musiałem ponieść  
 karę jako potencjalny wróg ludu polskiego. Zresztą koronnym dowodem

~~1) ...~~  
~~2) ...~~

-prasytka?

## VI Perenyfka: Ust-Nero

(\*)

A wlasnie niewielka najdalej na polnce wysunięta  
faktornia. Gdzie widać było stada wędrujących się  
ludzi i reniferów. Zdawało się nam, że znaleźliśmy  
się na końcu świata. Jakże dziwne były nasze  
wyobrażenia o płaskich przestrzeniach Kotlyng.

W każdym razie Big zapoczątkował, że stworzył ten  
~~ten~~ zimny świat, tylko dla tego nas ofodnych  
zeków, za jakie kary, na jakie doświadczenia poprowadził  
tę drogą.

(\*\*)

W 2. daleka widać było inne góry <sup>trzech</sup> na stronach doliny  
na których wiesz kotkach białych i białe crapy słońca.



*Stwierdzenie i intencje*

na prawidłowe i praworzędne myślenie śledczych w 1945 r. była moja późniejsza okupacyjna działalność w Armii Krajowej. Walka z niszczącymi Polskę dwiema armiami okupacyjnymi, *niemiecką i sowiecką*.

Ze dwa kilometry od wioski Kopcie w lesie-zagajniku, w pobliżu szosy z Wągrowa do Siedlec a rzeczką Muchawką, został rozformowany oddział wojska polskiego - jakieś tabory, kawaleria. Dowódca oddziału podjął jedynie słuszną decyzję, <sup>M</sup>mając za plecami czołgi niemieckie ze stalagami i oflagami, a przed sobą <sup>bańki, a także</sup> karabinów sowieckich z łagami <sup>(oni dalek i w Siedlcach)</sup> Ostaszkowa i Kozielecka. Stamtąd z lasu przyprowadziłem dwa konie, jeden postrzelony w zad, i wóz wojskowy, który później sprzedałem tym gospodarzom, u których mieszkaliśmy w Kopciach. Może to były jakieś oddziały z Armii Modlin, w których walczył Ojciec? W tym lasku znaleźliśmy dużo różnego <sup>wojskowego</sup> dobra. Były białe wojskowe suchary, które dawałem chorej na wątrobę pani Węretyńskiej. Była prasowana skodka kawa <sup>wojskowa</sup> kostkach, konserwy, różne narzędzia. Najważniejszą jednak zdobyczą była broń i amunicja. Przy jej pomocy razem z chłopcami z okolicznych wiosek urządzaliśmy osobiste wojny z Niemcami, <sup>stwierdzenie i intencje</sup> Rzucaliśmy granatami i strzelaliśmy do rozbitych wozów i sprzętu wojskowego. W okolicach <sup>wioski</sup> Kopci u zbiegu rzek Kostrzyn i Muchawka w kierunku na drugi Wyszków, były olbrzymie tereny-łęgi, na których wykopywano torf. Krążyła legenda, <sup>stwierdzenie i intencje</sup> na tych terenach pokazuje się Matka Boska. To mi. się utrwaliło w pamięci z tych pierwszych lat wojny.

Po paru miesiącach, po zimie, zaczęliśmy się szykować <sup>stwierdzenie i intencje</sup> do powrotu do Wyszkowa. Wojska okupacyjne rosyjskie już odstąpiły, a te tereny <sup>stwierdzenie i intencje</sup> zostały zajęte przez okupanta niemieckiego. Nastąpił powrót <sup>stwierdzenie i intencje</sup> Wkrótce Matka przystąpiła współ z innymi wyszkowskimi nauczycielami, do organizowania w Wyszkowie oficjalnej szkoły... do ściągnięcia młodzieży do nauki, żeby nie marnowała czasu. Ja przed wojną ukończyłem szkołę podstawową i zdałem egzaminy do gimnazjum w Wyszkowie. Matka zawsze od pamiętnych mi lat kładła olbrzymi nacisk na naukę. <sup>stwierdzenie i intencje</sup> Był to pewnie rezultat trudności, jakie sama miała w jej zdobywaniu. Była polonistką.

(\*)

Wielmożny

Nieważne, czy wiesz, musisz wykonać wyrok sam na sobie.  
Aby wykonać wyrok na Boga ducha i innych  
trafne i wydane władzy przez wyjątkowość konicą  
eizkim wyrokiem.

\*\*\*)

Pili tzw. "cyfiraak" był to wywar z herbaty, który  
powodował dwulicowe podniecenie. Następowata  
palpitacja serca, wrotata iiznienie, uesnie lekkosci  
i aqresywnosci. Technologia przygotowania wywaru  
aniata zoty rytuał. Najwiecej na szklankę wody  
wysypywano parę, około 50 g herbaty i zaparano  
dwukrotnie. Otrzymywano por szklanki gęstej,  
cięższego się piymu. Pito zbiorowo po parę Tykian  
wprowadzające się w stan euforii. Podobnie jak cadienie  
palący fajkę pokoja. Frajzy pili t.zw. "kotorek" - poproszony  
kolejnego parzenia cyfiraak.

~~\*)~~

Podobna wojna snanu z poprzedzają kolegiem z Tagion worylskich  
gdzie wojna była rozegrana z ukrytymi. Womno wzmianki,  
że to był etap siatowej - Wacasmu. A w tym czasie wojny  
były takie jakonaj wyrok iinteri ma jedyny z wieszaniem  
przez pietytych.

Miałem z Mamą ~~ciągłe~~ z tego powodu scysje, bo ciągle zaganiała mnie do nauki. ~~A~~ mnie, młodemu chłopakowi wówczas, nie bardzo chciało się uczyć. Warto tu wspomnieć, że Mama nawet w obozie koncentracyjnym, w którym się znalazła po powstaniu warszawskim, <sup>jako żołnierz AK</sup> również organizowała harcerstwo i szkołę dla młodzieży. <sup>Pracowała z tamtego do czasu</sup>  
Mama zorganizowała dodatkową naukę na tajnych kompletach. Sciągnęła z Warszawy studenta (~~nazwiska nie mogę sobie przypomnieć~~), który w Rybieniu pod Wyszkiem u państwa Milewskich, <sup>zajmujących</sup> rządów państwa Skarżyńskich, niewielkiej ze względu na bezpieczeństwo grupie młodzieży udzielał dalszych nauk. Przypominam sobie niektóre nazwiska koleżanek i kolegów z tego okresu: Lucia Skoczyła, Teresa Milewska, <sup>Zygmunt</sup> Kielak ~~Zygmunt~~, Bobek Milewski. W Teresie Milewskiej kochałem się na zabój i rywalizowałem skutecznie o jej względy z owym studentem-wykładowcą. Bobka Milewskiego dodatkowo uczyła języków obcych starsza pani Skarżyńska.

<sup>po powrocie do Wyszewa</sup> W pierwszym okresie <sup>byliśmy</sup> z Mamą sami. Mieszkaliśmy w domu u pani Kamińskiej, nauczycielki, której mąż, też nauczyciel, był oficerem wojska Polskiego i siedział w oflagu. Pani Kamińska była bardzo nerwową osobą, baliśmy się jej bardzo; nie brała od nas pieniędzy za mieszkanie, ale po schodach trzeba było chodzić na palcach. Całe dni przebywała w pokoju z zasłoniętymi kotarami w oknach, po ciemku.

Wreszcie powrócił do domu Ojciec, ale na terenie Wyszewa nie było możliwości <sup>Wyszewa</sup> znalezienia żadnej pracy. Pojechał do Warszawy i tam znalazł zatrudnienie w interesie razem z wujem Olszewskim. Otworzyli sklep z nasionami na ul. Ptasiej koło Hali Mirowskiej i Placu Żelaznej Bramy. Powoli przygotowywaliśmy się do przeniesienia już na stałe do Warszawy. W 1941 r. Matce udało się uzyskać zezwolenie na przeniesienie się do Warszawy. Rozpoczęła naukę w szkole nr 162 Warszawa Wola, gdzie <sup>zorganizowała</sup> zorganizowała tajne nauczanie dla młodzieży. Ojciec zdobył mieszkanie na Starym Mieście, na ul. Franciszkańskiej 11.

Zaczął się dla naszej rodziny, w pełnym składzie, okres warszawski, przybyła z Zagłębia siostra, Zocha. <sup>Zamieszkała</sup> Zamieszkała też z nami stara

(\*)

Co prawda starzy zecy sąkami przez O.S. opowiadali o acercze  
wiganica z Kotymy. Było to jednak w latach trzydziestych  
i z łagów na południe od źródeł rzeki Kotymy. Tęże km.  
bliżej Bieguna Północnego w dolnym biegu rzeki Endygiak, gdzie byłem,  
bliżej Kierhejańska to nie była możliwe z różnych powodów  
które starani się przedstawiać w tych wspomnieniach.

Było dwa sposoby w tym okresie przejścia wierzni w pobieg:

Pierwszy to falić ciepłej przez klimat w pobliżu morza Ochockiego  
co było niedopuszczalne. Kierowali się białostow na północny  
zachód w stronę Jakucka przez gęstej zaludnionych

terenów. Co prawda sili oni tydzień lub więcej śniegu i dużej

tażże, ale w coraz przybyłajej warunkach. Byli oni przeważnie z sobą  
w drodze zaprawianiem w postaci podległomiego wierzni którego  
później zabili. Drugi sposób to wejście w kontakt z jakuckami, pozyskanie

ich przyjaźni i wtedy otwierała się możliwość przejścia

wierzni samimi zaprzężonymi w renifery na psiej po zainicjowanych  
sołkach. Droga prowadziła na północ-wschód w stronę  
Alarki. Był to pobieg bezpieczniejszy bo praktycznie Jakuci  
byli nie do uchwycenia przez straż nad-lesiming i Motem  
Beringa. ~~inaczej i tym samym~~

W tych ~~okresie~~ czasach nie było konfliktu wierzni z

Jakuckami i nieraz wspólne interesy pokrywały się, były zbierne.

W innych czasach Jakuci już wytopywali wierzni za wyszkolenie

przywileje. No a sami wierzniowie to desperaci - dochadzający

któ<sup>ś</sup>ayes pobieg lub na druty zatanami psychieroni o stacy

woli przycięcia. Zmora byli Tapani przez grupy psiczowe i

dotarżani do obozu mackierystego martwi lub zamarżnięci.

Czasem grupa psiczowa aby nie dzwigać zamarżniętego

zaka dostarczała. jaki element jego ciała np. nębrę lub

uszy.

*emerytowana?*  
 przyjaciółka domu, bezdzietna, *nauczycielka*, pani Kantorówna. Bardzo *mojego brata,* kochała Stefana, pomagała mu w nauce jeszcze w okresie przedwojennym. Dożyła swych *po wojnie* lat w naszym domu.

Ja do Warszawy przeniosłem się dużo wcześniej, w ~~1939~~ 1940 r. Zatrzymałem się u rodziny Ojca, u ciotki Mity w domu przy ul. Korytnickiej koło Wiatracznej.. Zacząłem chodzić do gimnazjum R. Wolframa na ul. Miodową 3. Było to gimnazjum mechaniczne, ukończyłem je w czasie okupacji. Zapamiętałem trzy najważniejsze osoby z *którym oni dali nam wiedzę i dowiedzieli się o gimnazjum* grona wykładowców: dyrektor Wolfram, w duszy szczerzy Polak, pułkownik Merkisz - komendant z bydgoskiej wyższej szkoły wojskowej, wykładał matematykę, *oraz* porucznik kawalerii Komar, z potężną szramą na czole, uczył nas polskiego. Założyli oni na terenie szkoły grupę *grupa harcerska* harcerską złożoną z chłopaków, bo była to uczelnia męska, w ramach której rozszerzali *zakres nauki* zakres nauki. To jeszcze nie były *komplety nauki* komplety nauki.

Komplety zorganizowała mi Matka dodatkowo - z historii, geografii, języka polskiego i innych przedmiotów, *całkowicie w domu* koło pl. Narutowicza, na rogu ul. Spiskiej, u znajomej nauczycielki w domu, *dużo na drugim piętrze*.

W połowie 1942 r. Poprzez Matkę i Jej znajomą z Wyszkowa, panią Lewandowską nawiązałem kontakt z konspiracyjną grupą harcerską na Mokotowie. W hufcu mokotowskim ZHP włączony zostałem już do stałej grupy harcerskiej Szarych Szeregów.

Z okresu okupacji dobrze utrwalił mi się w pamięci cały szereg zdarzeń, które swym tragizmem, bestialstwem położyły się cieniem i wryły się w moją młodzieńczą psychikę na stałe. Bardzo dobrze pamiętam *polskich* zakładników *w więzieniu* powieszonych *przed hitlerowcami* po stronie żydowskiej na Lesznie *byli* z zaginionymi ustami. *w warunkach skrajnie niskich temperatur* Chodziliśmy tam pod mur zapalać świeczki, *odbywały* się tutaj całe pielgrzymki, choć groziło to śmiercią: *Jakos to tak!* *byli powieszonymi* *Na Pateriananie natomiast było zbudowane specjalne więzienie.* *byli* część ulicy przedzielona była murem getta i Oni wisieli po tamtej stronie na balkonach. Teraz to trudno odtworzyć, brak jest pewnych fragmentów ulic. Poza tym cała atmosfera okupacji: szok, *znajomym* listy rozstrzelanych, codziennie nowi. Na jednej nazwisko brata *pana*

*515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000*

(10)

Stonice tu na Kofynie, chodziło to "tak blisko na horyzoncie, że  
noce stawały się białe w dzień" w okolicach dnia najdłuższego  
w ciężkim roku. <sup>To zniwid było wcale nowym</sup> Natomiast g'elak, zima, w czasie najdłuższych  
mrozów i najkrótszych dni od 1946. Choć 24 października 1946 troszkę  
rozświetlały "dnie", to znaczy rozświetlało rozsypany soplek bo  
samego Stonica nie było nigdzie widać. A noc była wieczna i  
szacunkowo stulajęce ziemię.

**MATCE oraz ŻONIE W MORDZIE**  
**- te wspomnienia poświęcam.**

**Chcesz znaleźć bliski Ci grób  
na Litwie i Białorusi**

**zapewnić mu stałą lub okolicznościową  
opiekę ?**

**- zadzwoń do Agencji „Niemen”**

**Warszawa tel. 10 80 83 g. 10.00-15.00 (poniedziałek)  
tel. 39 27 04 g. 10.00-15.00 (wtorek, piątek)**



### Spis dokumentów

1. Fotografia autora wspomnień z 1944 r.
2. Koncerta Mamy
3. Zaśw. tajnego nauczania Michaliny Sieminskiej
4. Orzeczenie weryfikacyjne tajnego nauczania
5. Karta pocztowa RSO Pruszków 1944r.
6. Karty pocztowe
7. " "
8. " " Waffen SS Konz.Lag.
9. Arbeitskarte
10. Legitymacja - Nameln
11. Konenda Polskiego Obozu Wojskowego
12. Zaśw. ~~KIKIKIK~~Przepustka nr. 309211
13. Zaśw. Z.H.P.
14. " "
15. Zaśw. weryfikacyjne A.K.-Londyn
16. Legitymacja Krzyż Walcznych
17. " " A.K. oraz Medal Wojska
18. Oświadczenie byłych żołnierzy Baonu Zośka
19. Zaśw. Dowódcy Grupy Kampinos
20. Książka inwalidy wojennego
21. Zaśw. Urzędu do spraw kombatantów
22. Mapa Keszyci z Polski pod Slegun Północny
23. " Zagru i portu Nachodka
24. " Dalstroju wschodnia Azja
25. " kraju Kałyńskiego
26. " peresyjka Ust - Zera
27. " kopalni szkota na prysku Pokryszkin
28. " szkota cdkrywkowego na prysku Terechciach
29. " Zagru i prysku Pobieda
30. " speczlagru nr.7. Alaskitów
31. " " nr.385/7. Połma
32. Zaczotna Kniżka ,zaśw. odlicznika
33. " " zmniejszenie wyteku do 1959 r.
34. " " " " do 1957 r.
35. " " " " do 1954 r.
36. Zaśw. nr. 70271
37. Zaśw. zwolnienia z więzienia z Tomaszowa Lubelskiego
38. Skierowanie do pracy po wyjściu z więzienia
39. Dyplom Uczelni S.G.P.15.
40. Zawiadomienie o rehabilitowaniu przez Prokuraturę Rosyjskiej Federacji

Terminarz zesłania  
na Dalnywostok oraz pod Niegun Północny  
na Kozymę

Skoszarowanie, Powstanie W-skie, partyzantka, obozy niemieckie 07-01.1944/45

1. Sledztwo, Sąd N.K.W.D. wyrok <u>Uroga na zesłanie</u>	02.1945-03.1945 r.
2. I Etap - transport do Grodna	05.1945
3. II Etap - " do Orszy	05.1945
4. III Etap - " do Moskwy	05.1945
5. IV Etap - " do Władywostoku	07.1945
6. V Etap - " do Nagadanu na Kozymę	08.1945
7. VI Etap - " do pasiełka piereszyżki Ust-Nerze	09.1945
8. VII Etap - " do kopalni złota Pokryszkin	09.1945-12.1946
9. VIII Etap - " Oszarowiciełne Komando na Ust-Nerze	12.1946-07.1947
10. IX Etap - " złotodajny, odkrywkowy prysk Terechoiach	07.1947-10.1948
11. X Etap - " oddychajuszcza pakatka na Ust-Nerze	10.1948-03.1949
12. XI Etap - " z złotodajny, odkrywkowy prysk Pobieda	03.1949-07.1949
13. XII Etap - " speckagier nr.7 Alaskitov	07.1949-04.1953
14. <u>- Droga na Materik -</u>	05.1953-
15. XIII Etap - transport do Nagadanu	05.1953-06.1953
16. XIV Etap - " do Sachocki	06.1953
17. XV Etap - " do speckagru nr.385/7	06.1953-07.1953
18. XVI Etap - " pobyt w Poenie	07.1953-01.1954
19. XVII Etap - " powrót do Ojczyzny - Brześć	01.1954
20. XVIII Etap - " do więzienia w Polsce - Tomaszów Lub.	01.1954-03.1954
21. XIX Ostatni Etap Warszawa - odnalezienie Rodziny	03.1954

## Spis Rozdziałów.

1. Dorastanie	1	1-16
2. Walka zbrojna z okupantem		16- 22
3. Sąd NKWD droga na zesłanie w Sybir		22- 40
4. Żagry Władywostoku, Nachodka i Mandżurii		40- 46
5. Droga pod Biegun Północny na Kołymę		46- 56
6. Peresylka Ust-Nera		56- 62
7. Kopalnia złota na prysku Pokryszkin		62- 74
8. O.K. Oздrowicielne Komando na pasiożku Ust-Nera		74- 81
9. Złoto odkrywkowe na prysku Ferechciach		81- 88
10. Życie w żagrze na prysku Ferechciach		88-103
11. Dochadziaga z Ust-Nery, prysk Pobieda, skazany na speckagier		103-108
12. Alaskitov żagier nr.7, życie w speckagrze, zek nr. N-I-930		108-116
13. Zaczotna Kniżka, gabinet dentystyczny-zęby z chrononiklu		116-123
14. Droga na Katerik, speckagier w Poćmie pod Moskwą nr. 385/7		123-129
15. Powitanie w Ojcsyanie-więzienie w Tomaszowie Lubelskim		129-135
16. Warszawa-Starówka, spotkanie z rodziną po 10 latach rozłąki		135-139
17. Próba adaptacji wroga ludu w społeczeństwie socjalistycznym		139-146

Terminarz zesłania na Dalnywostok oraz pod Biegun Północny na Kołymę

Spis dokumentów

"Szach w lewo, szach w prawo -  
- szczytaju pobiegł..."

...exoriare aliquis nostris  
ex ossibus ultor...

(Wergiliusz: Eneida, 4.625)

Rodzina moja pochodzi z trzech dzielnic Polski, z Zagłębia, z Litwy i z Mazowsza. Ze strony Ojca jest to stary, osiadły na Mazowszu ród powstańców i bojowników o Polskę Niepodległą. Ludzi, którzy w czasie gdy Niepodległość stawała się rzeczywistością, wypełniali pierwsze szeregi budowniczych, tworzących Jej siłę i rozkwit. Ze strony Matki jest to ród górników, którzy wzbogacali Polskę swą ciężką pracą i walczyli z bronią w rękę, przelewając swoją krew w powstaniach Zagłębia i Śląska, broniąc rdzennych Ziemi Polskich.

Zaczynam rodowód od prababki Rościszewskiej, która była ziemianką, mieszkała na Mazowszu. Rodowy majątek - Rościszewo koło Płocka i Mławy. Prababka, wraz z pradziadkiem Strupczewskim, brała udział w Powstaniu Styczniowym <sup>przenosząc broni i kolportując biblię dostarczaną z Warszawy</sup> 1863 r. Za tę działalność pradziadek został osadzony w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej, pradziadkowie wyrugowani z majątków, które zostały przez Carat skonfiskowane. Małżeństwo to miało trzy córki. Jedna z tych córek - moja babcia, Antonina, wyszła za mąż za mojego dziadka Siemińskiego. Pochodził on z Wólna. Jego matka, moja brababia, wywodziła się z rodziny niemieckiej, osiadłej na Litwie, była Niemką, a pradziadek - spolszczonym Litwinem.

Dziadek Siemiński był budowniczym mostów i dróg kolejowych w Rosji i w Polsce. Został zamordowany podczas dokonywania wypłaty pracownikom, budującym most kolejowy na rzece Bug w Wyszku - był socjalistą. Małżeństwo dziadków Siemińskich miało cztery córki i dwóch synów, z których jeden zmarł w dzieciństwie.. Babcia po śmierci męża założyła sklep bławatny w Wyszku. Wspierana przez

okolicznych właścicieli ziemskich, z którymi była spokrewniona (m.in. Skarzyńskich). Była szanowaną obywatelką miasta Wyszkowa. Pozostały przy życiu syn, Jerzy Siemiński, to mój Ojciec.

Córki babci Siemińskiej powychodziły dobrze materialnie za mąż, jako panny z dobrego domu, z wyjątkiem najmłodszej i najładniejszej - Ziuty, która zakochała się w szewcu Edwardzie Zarzyckim i popełniła mezalians. Wujek Edek zginął w Powstaniu Warszawskim, nie odnaleziono jego grobu. Była to bardzo kochająca się, ale biedna rodzina. Małżeństwu temu Ojciec mój pomagał finansowo. Druga Ciotka - Kazia, była podczas rewolucji rosyjskiej sanitariuszką w pociągu wojskowym, przeszła gehennę tego okresu, potem wyszła za mąż za krewnego z dalszej rodziny - Stanisława Mikłaszewskiego, wnuka z linii pradziadka Strupczewskiego. Najstarsza Ciotka - Mita, wyszła za mąż za farmaceutę Feliksa Domańskiego, który po powstaniu warszawskim 1944 r. wyemigrował do Australii i tam zmarł. Ciotka Manka wyszła za mąż za przedsiębiorcę i handlowca Jana Olszewskiego.

Mama moja wywodziła się z biednej przedwojennej czerwonej Dąbrowy Górniczej - Polski ideowej, Białego Orła. Była córką górnika, który pracował w kopalni na Redenie w dróżynie ratowniczej. Matka moja do ukończenia gimnazjum E.Zawadzkiej opiekowała się swoim rodzeństwem, matka Jej bowiem umarła bardzo wcześnie. Matka pochodziła z wielodzietnej rodziny górniczej. Z pierwszego małżeństwa dziadka było pięcioro dzieci. Po śmierci babci, Mama jako najstarsza uczyła się i jednocześnie prowadziła dom. Po odzyskaniu przez Polskę Niepodległości zaświtała nadzieja dla biedoty górniczej. Mama, zakochana w socjalistycznych ideałach Piłsudskiego, jako 18-letnia dziewczyna wyrusza w Polskę po kryzysie gospodarczym lat dwudziestych. Wyjechała na Mazowsze w poszukiwaniu pracy, z głową nabitą wzniosłymi celami. Ojciec Matki - dziadek Stępień, zbudował nową rodzinę, ożenił się i miał dwoje dzieci z drugiego małżeństwa. Bracia Mamy zbierali węgiel na hałdach. Najstarszy, Bolek, wydobywał węgiel w biedaszybach.

Brak było bowiem pracy w kopalniach francuskich i niemieckich właści-  
cieli. Jediną pracą, którą wuj mógł uzyskać, była praca w policji,  
lecz wuj nie chciał być policjantem. W kraju rozpoczął się wielki  
kryzys gospodarczy. Mama z oddali pomagała finansowo jak mogła.

Pamiętam, jak pod koniec lat trzydziestych, kiedy przyjeżdżaliśmy do  
rodziny do Dąbrowy Górniczej, wuj Bolek przywiązywał mnie do siebie,  
obejmował mnie ramionami i włożywszy stopę w pętlę łańcucha na koło-  
wrotku studziennym zjeżdżał ze mną na dół do studni biedaszybu. Mama  
umierała ze strachu, protestowała. Było to dla mnie niesamowite prze-  
życie. Wuj mówił: "Michasiu, nie bój się, niech chłopak pozna i zapa-  
mięta dołę górnika" Pamiętam jego spokojny oddech na mojej twarzy.  
A potem następowało pełzanie do przodka, do wyrębu. Do dziś pozostał  
mi strach i uraz do zamkniętych pomieszczeń, duszę się, wali w skronia <sup>serce mi;</sup> ch

Mama jako nauczycielka rozpoczęła pracę w okolicach Wyszkowa. Tu  
poznała mego Ojca, zakochała się i przy pełnej akceptacji i aprobacie  
babci Siemińskiej - rodzice moi pobrali się. Owocem tego uczucia  
byłem ja, następnie młodszy brat Stefan. W okresie okupacji rodzina  
nasza powiększyła się. Wuj Bolek z Dąbrowy Górniczej został rozstrze-  
lany za sabotaż w kopalni. Żona jego zmarła na suchoty, a ich dzieci  
zostały "rozebrane" po rodzinie. Jedno z nich, Zochę, wzięli moi  
rodzice do Warszawy; wychowywała się ona razem z nami. Mąż siostry  
mojej Matki, inż. Franciszek ~~Szota~~, uczestnik powstania śląskiego  
pochowany w kwaterze powstańców, Za działalność społeczną w Dąbrowie  
górnicej oraz za odmowę podpisania volkslisty został zesłany do obozu  
koncentracyjnego Dachau.

Całe moje wczesne dzieciństwo spędziłem w Wyszkanie z rodzicami.  
Najpierw wychowywała mnie Babcia, jako beniaminka rodziny, pierworod-  
nego wnuka, jedyne go syna ~~syna~~ i głowy rodu Siemińskich. Później były  
służące i przedszkole koło wiaduktu kolejowego. Matka była nauczy-  
cielką, Ojciec dyrektorem Oddziału Banku KKO w Wyszkanie. Dom prak-  
tycznie był "podwójny", ponieważ w pewnym czasie Ojciec zaczął pracować

4

w Warszawie, a Matka pracowała w dalszym ciągu w Wyszku. Matka była pionierką w zakładaniu szczepli harcerskich i zuchowych na Mazowszu, konkretnie w Wyszku i okolicach, zresztą wspólnie z Ojcem. Była harcmistrzynią i do działalności ~~ZHP~~ wciągała nas od najmłodszych lat. Tak że mój rodowód harcerski sięga lat przedwojennych. Byłem z Matką na ostatnim zlocie ZHP w Spale w sierpniu 1939. W poprzednich zlotach i obozach harcerskich nad Liwcem i w innych okolicach też brałem udział wraz z Matką.

Warto w tym miejscu choć parę słów powiedzieć o przedwojennym mieście Wyszku. W 1939 r. liczyło ono około 15 tysięcy mieszkańców, w tym ponad 5 tysięcy Polaków pochodzenia żydowskiego. Miasto powstało w 1203 r., a prawa miejskie otrzymało w 1502 r. Pierwszy drewniany most na rzece Bug wybudowano w 1528 r. Natomiast budowę pierwszego kolejowego mostu rozpoczęto w 1895-97 r. Budowali go między innymi mój dziadek i stryj. Podczas budowy mostu został zastrzelony mój dziadek. Do 1939 r. funkcjonowały w Wyszku: dwie szkoły podstawowe, gimnazjum, dworzec kolejowy, huta szkła, browar, piękny dwór ziemianki Skarżyńskich. Był w Wyszku zabytkowy kościół z XVII w. z ciekawą wyrytą w murach historią wojen szwedzkich oraz zabytkowy cmentarz z kaplicą. Na tym cmentarzu tuż przy bramie wejściowej natykamy się na pierwszy obszerny rodzinny grób Siemińskich.

Wyszku był przepojony historią Polski, pełno w nim starych obelisków, grobów z różnych powstań i zrywów narodowych, podziemi i lochów, ciągnących się aż pod rzekę. W tej wszechobecnej historii i tajemniczości przeszłości wznosiła się młodzież przedwojenna Wyszku. Wykorzystywali to nauczyciele i pedagodzy, a zaowocowało to patriotyczną postawą wznoszącego pokolenia wyszkowiaków w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Folklor małopolski, klimat tolerancji narodowościowej, kulturę bycia i obcowania na co dzień budowali nasi rodzice tworząc jednocześnie śmietankę elity towarzyskiej Wyszku. Warto tu

5

wspomnień o niektórych nazwiskach takich wyróżniających się rodzin : Wysokiej kultury burmistrz Wyszkowa, pan Wolski z rodziną, dyrektor gimnazjum pan Rytel, wspaniały lekarz żydowskiego pochodzenia pan Lajcher, pedagodzy i wychowawcy Kamińscy, Kuczyńska, Kulesza, Kaczmarczyk i wielu, wielu innych. Wspominam wspólne stoły wigilijne i kolę kolędy u państwa Wolskich, gdzie poznawaliśmy stare polskie, teraz zapomniane, kołysanki, śpiewane przy Bożym Drzewku. Pamiętam kontrowersyjną, pełną swarliwości polityczną dyskusję Mamy z Panem Wolskim. Młodzież z tych rodzin tworzyła w okresie okupacji komórki konspiracyjne na terenie Wyszkowa i okolic. Pod ich dowództwem oddziały bojowe brały udział w wielu akcjach zbrojnych i bitwach z okupantami. Nazwiska i imiona synów i córek z tych rodzin przewijają się wspomnieniami na kartach różnych licznych książek i publikacji z lat wojny, okupacji powstania warszawskiego i czasów powojennych.

W ostatnim miesiącu przed wybuchem wojny 1939 r. Ojciec został zmobilizowany i walczył w Armii Modlin. Przeszedł całą kampanię wrześniową aż do niewoli i internowania w ZSRR, skąd uciekł i we wczesnych miesiącach 1941 roku powrócił do domu.

Pamiętam taki moment pierwszych godzin wojny, leżeliśmy ze Staszkiem i Bolkiem Wolskim na dachu komórki ich posesji i obserwując nadlatujące samoloty, stwierdzamy zgodnie, że to na pewno pomoc Zachodu, angielskich lotników, dla walczącej, krwawiącej Polski. Dopiero wybuchy spadających bomb uprzytomniły nam rzeczywistość. Pamiętam jak, kiedy jako harcerz w sanitarnej drużynie w pierwszym dniu bombardowania Wyszkowa na ul. Kościuszki, układałem na noszach kolegę którego wnętrzości upychałem z powrotem do brzucha. Podobno nawet przeżył ten brutalny zabieg i do dziś na pewno nie wie, kto grzebał w jego wnętrzościach.

Ja wróciłem w te strony dopiero po piętnastu latach, *tulaczki*.

Data 1 września 1939 r. w moim dość długim życiu jest nad wyraz symboliczna, znamienita i brzemienna w skutkach. Od tej daty aż do .



6

obecnej starości żyję w ciągłym zagrożeniu i walczę o przeżycie dnia następnego. Od tego momentu miecz Damoklesa wisi nade mną nie w jakiejś oddalonej w przyszłości, lecz każdy dzień przeżyty jest dniem triumfu nad śmiercią i jednocześnie trwogą o przeżycie dnia następnego. Od tej daty wszystkie następujące po sobie minuty, godziny i dni są wielką niewiadomą, zagrożeniem i walką o przeżycie. Są jednocześnie wielką przygodą życiową, której objętość i bogactwo starczyłyby dla kilku istnień ludzkich.

Drugiego dnia bombardowałam ja z Matką i bratem oraz z dwiema rodzinami nauczycielskimi, panią Weretyńską z córką, której mężem był kapitanem w Wojsku Polskim, i państwem Kuczyńskimi z synem i córką, wozem drabiniastym wynajętym od znajomego chłopca, zaczęliśmy uciekać na wschód. Za sobą pozostawialiśmy zbombardowane i płonące domy Wyszkowa. Była to straszna droga. Przez pierwsze dni uciekaliśmy w dzień, ale już nawałnica bombardowań obejmowała swym zasięgiem okolice Wyszkowa, całej Polski. Był drugi, trzeci dzień wojny. Samoloty niemieckie lecąc nad szosami strzelały do tych olbrzymich taborów uciekinierów, które szosą Łochowską udawały się na wschód, uciekając przed najeźdźcą hitlerowskim w stronę Siedlec.

Pamiętam takie zdarzenie - w pewnym momencie podczas takiego nalotu, gdy wszyscy uciekali w pobliskie krzaki, i do rowów, myśmy się rozsykali i pogubili. Do dziś mam w oczach obraz Matki, która już po nalocie biegnąc z rozwianym włosiem między rozbitymi wozami, wśród jęku rannych, krzyczała, wołając nas po imieniu. "Gdzie są moje dzieci, co się z nimi stało!" . Szczęśliwie nas odnalazła! Zaczęła się dalsza droga na wschód. Potem, po tych tragediach krwawych jatek, poruszaliśmy się tylko nocą, w dzień śpiąc w opuszczonych domach, u przerażonych gospodarzy, w stodołach. W ciemnościach nocy, w atmosferze grozy i płonących wiosek i miasteczek, trzymając się wolno poruszającego się do przodu wozu wlekliśmy się wystraszeni i zaspani. Zatrzymaliśmy się pod Siedlcami w wiosce Kopcie, parę kilometrów od Siedlec. Dalej ruszać nie

7

mogliśmy, gdyż doszły nas informacje, że od wschodu przesuwa się okupacyjna armia sowiecka. Zatrzymaliśmy się więc tu, u gospodarzy. Mama za trzymiesięczną pensję - odprawę, wynajęła mieszkanie. Było nas trzy rodziny nauczycielskie. Któregoś dnia, dokładnie sobie nie przypominam, którego września, pokazały się oddziały armii sowieckiej. Teraz mogę wnioskować, że to było po 17 września. Zaczynał się kolejny rozbiór Polski. Nie docierało to w pełni do mojej świadomości. Pierwsze zetknięcie z żołnierzami armii sowieckiej było takie: Na podwórzu gospodarza stał wóz, a właściwie przodek wozu z dyszlem do przodu skierowanym w górę. Nad nami nad okolicą krążył samolot. Nie robiło to na dzieciach większego wrażenia. Działania wojenne powoli już zamierały. Widocznie lotnik-obszernik musiał coś niepokojącego dostrzec. Złe zinterpretował sytuację, bo po jakimś czasie nadjechał na koniach oddział sowieckiej "rozwiędki". Boże, jak ci żołnierze wyglądali! Te sznurki, te łapcie, te azjatyckie twarze! Krzyczeli, grozili karabinami i nahajkami. "Gdzie puszcza?" wołali, "kuda ją spriatali". Całe szczęście, że gospodarz, u którego mieszkaliśmy, trochę rozumiał po rosyjsku, trochę językiem migowym, rękoma, wytłumaczył im sytuację. Że to dzieci, że to wóz drabiniasty, a nie żadna armata. Po groźbach i sytym poczęstunku odjechali, uwożąc przytroczoną do siodła dowódcy białą gaskę, za którą musieli gospodarzowi zapłacić nasi rodzice.

To była pierwsza moja styczność z armią sowiecką okupującą wschodnie tereny Polski. Wkrótce o niej zapomniałem, i nie przypuszczałem wtedy, że po pięciu latach ten epizod z mego życia tak bardzo będzie interesował śledczego z NKWD i że będzie interpretowany na moją niekorzyść. przy wyrokowaniu mojej kary. Będzie kolejnym wydumany przestępstwem w oczach nowej władzy w późniejszych latach, z całego arsenału domniemyanych win i zbrodni. Moje pochodzenie rodzinne i moich protoplastów, zaangażowanie ideowe mojej Matki, które przekazywała swoim chłopcom, uwielbienie Piłsudskiego, harcerskie poświęcenie dla Ojczyzny - wszystko to było zbrodnią w czasie badań NKWD, za którą musiałem ponieść karę jako potencjalny wróg ludu polskiego. Zreszta koronnym dowodem

na prawidłowe i praworzędne myślenie śledczych w 1945 r. była moja późniejsza okupacyjna działalność w Armii Krajowej. Walka z niszczącymi Polskę dwiema armiami okupacyjnymi.

Ze dwa kilometry od wioski Kopcie w lesie-zagajniku, w pobliżu szosy z Wągrowa do Siedlec a rzeczką Muchawką, został rozformowany oddział wojska polskiego - jakieś tabory, kawaleria. Dowódca oddziału podjął jedynie słuszną decyzję, mając za plecami czołgi niemieckie ze stalagami i oflagami, a przed sobą sztyki karabinów sowieckich z łagami Ostaszkowa i Kozielska. Stamtąd z lasu przyprowadziłem dwa konie, jeden postrzelony w zad, i wóz wojskowy, który później sprzedałem tym gospodarzom, u których mieszkaliśmy w Kopciach. Może to były jakieś oddziały z Armii Modlin, w których walczył Ojciec?. W tym lasku znaleźliśmy dużo różnego dobra. Były białe wojskowe suchary, które dawałem chorej na wątrobę pani Weretyńskiej. Była prasowana słodka kawa w kostkach, konserwy, różne narzędzia. Najważniejszą jednak zdobyczą była broń i amunicja. Przy jej pomocy razem z chłopcami z okolicznych wiosek urządzaliśmy osobiste wojny z Niemcami. Rzucaliśmy granatami i strzelaliśmy do rozbitych wozów i sprzętu wojskowego. W okolicach Kopci u zbiegu rzek Kostrzyń i Muchawka w kierunku na drugi Wyszaków, były olbrzymie tereny-łęgi, na których wykopywano torf. Krążyła legenda, że na tych terenach pokazuje się Matka Boska. To mi się utrwaliło w pamięci z tych pierwszych lat wojny.

Po paru miesiącach, po zimie, zaczęliśmy się szykować do powrotu do Wyszkowa. Wojska okupacyjne rosyjskie już odstąpiły, a te tereny zostały zajęte przez okupanta niemieckiego. Nastąpił powrót i wkrótce Matka przystąpiła wspólnie z innymi wyszkowskimi nauczycielami do organizowania w Wyszkowie oficjalnej szkoły...do ściągnięcia młodzieży do nauki, żeby nie marnowała czasu. Ja przed wojną ukończyłem szkołę podstawową i zdałem egzaminy do gimnazjum w Wyszkowie. Matka zawsze od pamiętnych mi lat kładła olbrzymi nacisk na naukę. Był to pewnie rezultat trudności, jakie sama miała w jej zdobywaniu. Była polonistką.

Miałem z Mamą ciągle z tego powodu scysje, bo ciągle zaganiała mnie do nauki, a mnie, młodemu chłopakowi wówczas, nie bardzo chciało się uczyć. Warto tu wspomnieć, że Mama nawet w obozie koncentracyjnym, w którym się znalazła po powstaniu warszawskim, <sup>jako żołnierz AK</sup> również organizowała harcerstwo i szkołę dla młodzieży.

Mama zorganizowała dodatkową naukę na tajnych kompletach. Sciągnęła z Warszawy studenta (nazwiska nie mogę sobie przypomnieć), który w Rybieniu pod Wyszkowem u państwa Milewskich, rządców państwa Skarżyńskich, niewielkiej ze względu na bezpieczeństwo grupce młodzieży udzielał dalszych nauk. Przypominam sobie niektóre nazwiska koleżanek i kolegów z tego okresu: Lucia Skoczylas, Teresa Milewska, Kielak Zygmunt, Bobek Milewski. W Teresie Milewskiej kochałem się na zabój i rywalizowałem skutecznie o jej względy z owym studentem-wykładowcą. Bobka Milewskiego dodatkowo uczyła języków obcych starsza pani Skarżyńska.

W pierwszym <sup>po powrocie do Wyszkowa</sup> okresie ~~byliśmy~~ byliśmy z Mamą sami. Mieszkaliśmy w domu u pani Kamińskiej, nauczycielki, której mąż, też nauczyciel, był oficerem Wojska Polskiego i siedział w oflagu. Pani Kamińska była bardzo nerwową osobą, baliśmy się jej bardzo; nie brała od nas pieniędzy za mieszkanie, ale po schodach trzeba było chodzić na palcach. Całe dni przebywała w pokoju z zasłoniętymi kotarami w oknach, po ciemku.

Wreszcie powrócił do domu Ojciec, ale na terenie Wyszkowa nie było możliwości znalezienia żadnej pracy. Pojechał do Warszawy i tam znalazł zatrudnienie w interesie razem z wujem Olszeńskim. Otworzyli sklep z nasionami na ul. Ptasiej koło Hali Mirowskiej i Placu Żelaznej Bramy. Powoli przygotowywaliśmy się do przeniesienia już na stałe do Warszawy. W 1941 r. Matce udało się uzyskać zezwolenie na przeniesienie się do Warszawy. Rozpoczęła naukę w szkole nr 162 Warszawa Wola, gdzie zorganizowała tajne nauczanie dla młodzieży. Ojciec zdobył mieszkanie na Starym Mieście, na ul. Franciszkańskiej 11.

Zaczął się dla naszej rodziny, w pełnym składzie, okres warszawski przybyła z Zagłębia ~~stosra~~ Zocha. Zamieszkała też z nami stara

przyjaciółka domu, bezdzietna nauczycielka, pani Kantorówna. Bardzo kochała Stefana, pomagała mu w nauce jeszcze w okresie przedwojenny. Dożyła swych lat w naszym domu.

Ja do Warszawy przeniosłem się dużo wcześniej, w początkach 1940 r. Zatrzymałem się u rodziny Ojca, u ciotki Mity w domu przy ul. Korytnickiej koło Wiatracznej.. Zacząłem chodzić do gimnazjum R. Wolframa na ul. Miodową 3. Było to gimnazjum mechaniczne, ukończyłem je w czasie okupacji. Zapamiętałem trzy najważniejsze osoby z grona wykładowców: dyrektor Wolfram, w duszy szczerzy Polak, pułkownik Merkisz - komendant z bydgoskiej wyższej szkoły wojskowej, wykładał matematykę, oraz porucznik kawalerii Komar, z potężną szramą na czole, uczył nas polskiego. Założyli oni na terenie szkoły grupę harcerską złożoną z chłopaków, bo była to uczelnia męska, w ramach której rozszerzali zakres nauki. To jeszcze nie były komplety.

Komplety zorganizowała mi Matka dodatkowo - z historii, geografii, języka polskiego i innych przedmiotów, koło pl. Narutowicza, na rogu ul. Spiskiej, u znajomej nauczycielki w domu.

W połowie 1942 r. poprzez Matkę i Jej znajomą z Wyszkowa, panią Lewandowską nawiązałem kontakt z konspiracyjną grupą harcerską na Mokotowie. W hufcu mokotowskim ZHP włączony zostałem już do stałej grupy harcerskiej Szarych Szeregów.

Z okresu okupacji dobrze utrzymało mi się w pamięci cały szereg zdarzeń, które swym tragizmem, bestialstwem położyły się cieniem i wryły się w moją młodzieńczą psychikę na stałe. Bardzo dobrze pamiętam zakładników powieszonych po stronie żydowskiej na Lesznie z zagipsowanymi ustami. Chodziliśmy tam pod mur zapalać świece, odbywały się tutaj całe pielgrzymki, choć groziło to śmiercią. Jakoś to tak było, że część ulicy przedzielona była murem getta i Oni wiśieli po tamtej stronie na balkonach. Teraz to trudno odtworzyć, brak jest pewnych fragmentów ulic. Poza tym cała atmosfera okupacji: szok, listy rozstrzelanych, codziennie nowi. Na jednej nazwisko brata pana

Wolskiego, kapitana Wojska Polskiego ze Lwowa, żołnierza konspiracji, więźnia Pawiaka, Józefa Wolskiego. Groza dnia codziennego, makabra, kiedy to często ~~często~~ wyskakiwało się z tramwajów w biegu, bo uprzedzono, że gdzieś w przodzie jest łapanka. Zresztą raz mi się nie udało - wpadłem na Placu Żelaznej Bramy, siedziałem na ulicy Skaryszewskiej, skąd uciekłem po rynnicy na teren wesołego miasteczka na przeciw/ul. Zielenieckiej. Ja miałem do szkoły wprowadzić niedaleko tramwajem. Z ul. Franciszkańskiej, której połowa była po stronie getta, przedzielona murem wzdłuż ul. Bonifraterskiej - na ul. Miodową róg Krakowskiego Przedmieścia. Dwa przystanki z Pl. Krasińskich przy ul. Długiej, naprzeciw biblioteki za arkadami oddzielającymi plac od ul. Bonifraterskiej. Na ul. Bonifraterskiej nie było przystanku aż do ul. Stawki, wyskakiwało się czasami z tramwaju z fantazją przy ul. Franciszkańskiej, ale były wypadki zastrzelenia przez Niemców. W pewnym okresie było nawet tak, że do tramwaju wsiadał granatowy policjant na tym odcinku przejazdu. ~~W oczach mi stoi likwidacja~~

W oczach mi stoi likwidacja i palenie getta. Wzdłuż ul. Bonifraterskiej stał wysoki, chyba pięcio- lub sześciopiętrowy budynek, oddzielony murem, najeżony drutem kolczastym i tłuczonym szkłem. od strony polskiej. Koło niego Niemcy wybili czołgiem w murze przestrzeń, przez którą wychodzili z płonącego getta Żydzi. Od czasu do czasu szaulisi <sup>i Litwini</sup> (Łotysze) dla przyjemności strzelali do wychodzących z płonącego piekła, z karabinu maszynowego stojącego naprzeciw wyłomu. Do dziś mam w uszach rechot strzelających, ich pijane śmiechy, kiedy <sup>mierzyl</sup> do wyskakujących z pięter tego płonącego budynku żydówek trzymających w ramionach dzieci. Że człowiek może być taką bestią! Albo inny obraz tragedii. Naprzeciw naszej bramy przy ul. Franciszkańskiej był właz do kanału; z niego udało się kilku żydom wydostać, uciekli. Ale wkrótce Niemcy, Litwini i granatowa policja zorientowali się w sytuacji. Zaczęli nad otworem, gdy posłyszeli szmery, zaczęli wrzucać świece gazowe i granaty do kanału, a tam byli żywi ludzie! Słychać było skowyt i jęki. Matka moja truchlała i błagała o ostrożność, kiedy podkradałem się pod

bramę od strony ulicy, aby obserwować, co dzieje się na pustej ulicy. To była okupacyjna ulica Warszawy. Ciągłe rozstrzeliwania na ulicach, jakieś ucieczki, atmosfera niepewności i strachu. Co działo się w sercach naszych Matek?

Warsztaty mechanicznego naszego gimnazjum mieliśmy na ulicy Poborzańskiej. Pamiętam również rozstrzelanych, a później powieszonych na Pelcowiźnie, koło naszych warsztatów. Był to codzienny obraz okupacji: strzelanina, łapanie, chowanie się po bramach. A jednocześnie opór, przeciwstawienie się, działania obronne: zrywanie niemieckich plakatów, domalowywanie satyrycznych wizerunków, napisy i rysunki na murach, zapalanie świeczek, składanie kwiatów w miejscach straceń. Było to inspirowane przez wykładowców oraz przez dowódców konspiracyjnych. Za to groziła śmierć lub obóz koncentracyjny, ale naszym marzeniem była walka bezpośrednia z okupantem, tak jak walczyli na ulicach Warszawy, nasi starsi koledzy. Jednak główny nacisk wszystkich osób dorosłych był skierowany na to, żebyśmy zdobyli maksimum wiedzy. Abyśmy byli jak najlepiej przygotowani do odbudowy Polski po zwycięstwie nad Niemcami. Praktycznie przynależność do jakiegokolwiek grupy działalności konspiracyjnej była uwarunkowana dobrymi wynikami w nauce. To był podstawowy warunek naleśnienia do jakiegos<sup>z</sup>grupowania harcerstwa. I to było konsekwentnie przez tych ludzi egzekwowane. Jeśli się ktoś gubił w nauce, to mu organizowano pomoc, wspierano fizycznie i ambicjonalnie.

Oczywiście, do konspiracji, teraz wiem to na pewno, należli i matka, i ojciec. Zresztą wróć do tego tematu. Ukończyłem gimnazjum R. Wolframa, zdobyłem specjalzację czeladnika tokarza, mistrzem na warsztatach był Janusz Wolfram, syn dyrektora szkoły. Niemcy zezwolili wyższej szkole technicznej Wawelberga (ul. Koszykowa 55) otworzyć jedyny wydział, budowy dróg i mostów. I na ten wydział udało mi się zdać egzamin. Kontynuuję naukę w Wawelbergu praktycznie do Powstania Warszawskiego. Rektorem był chyba prof. Uzarowicz. Jednocześnie kontynuowałem naukę na

kompletach, rozszerzając zakres wiedzy z historii Polski i innych przedmiotów, no i utrzymując kontakt z grupą harcerską na Mokotowie i w Piasecznie.. To nie było tak, że wiedziałem, z kim obcuje. Zbieraliśmy się - najczęściej były to jakieś trójki, czasem piątki. Tak że praktycznie rzecz biorąc, odtworzenie tych historii, struktur nastąpiło dopiero po powrocie do Płlski w latach pięćdziesiątych.

Przypominają mi się z tamtego okresu ćwiczenia wojskowe gdzieś w lasach kabackich, strzelanie z broni ostrej, ćwiczenia z automatami, pistoletami w Piasecznie. Pamiętam bardzo dobrze składanie przysięgi przy wstąpieniu do Armii Krajowej. To było na przełomie 1942 i 43 roku, Jak potem udało mi się to odtworzyć, było to prawdopodobnie mieszkanie samego Zośki w Zalesiu. Chciałem nawet odnaleźć ten dom. Odbyło się to mniej więcej w ten sposób, ~~na~~ że najpierw zostałem powiadomiony przez łączniczkę, że jest zbiórka, w terenie poza Warszawą, w jakimś konkretnym domu. Wsiadałem na Dworcu Południowym, na Puławskiej w kolejkę i tą kolejką jechałem do Piaseczna. Tam z kolei odbierała mnie łączniczka. Stoi mnieprzed oczami ten dom w ogródku, wolnostojący, z wefandą oszkloną z przodu. Najpierw wchodziło się z prawej strony na tę werandę, ona rozdzielała dom na pomieszczenia naprawej i lewej strony. Następnie wchodziliśmy do narożnego pokoju z prawej strony. W nim właśnie między innymi składałem przysięgę. W atmosferze powagi, w obecności sztandaru polskiego i całej tej naszej grupy. Tam również odbywały się praktyczne ćwiczenia w rozbieraniu i składaniu broni, zapoznanie z materiałami zrywającymi, teoretyczne wykłady wojskowo-taktyczne. Zresztą także i ćwiczenia, nazwijmy je po dzisiejszemu "ideologiczne", doksztalające nas z postaw obywatelskich, dyscypliny. W ramach Bojowych Szkół (BS), mieliśmy w tym okresie różne zadania do wykonania. Nie były to zadania zbrojne, ale różne inne, o których mówiłem wcześniej, jak na przykład bojkotowanie kin przez wlewanie tam różnych kwasów i wrzucanie świec dymnych, cięcie zyletkami ubrań ludzi, którzy szli do kina, bo "tylko świnię siedzą w kinie",



a także upamiętnianie miejsc straceń.

W okresie okupacji pracowałem w trzech firmach zbrojeniowych niemieckich, które realizowały zamówienia frontowe. Były to: Skoda Werk na Okęciu, gdzie dokonowyano napraw silników lotniczych, w Zakładach Ostrowieckich przy ul. Kolejowej, gdzie m.in. wykonywano remonty parowozów, oraz w Zakładach Dehrynga na ul. Przyokopowej koło Kercelaka, gdzie budowano zapalniki do min morskich. W tej fabryce miałem wypadek przy pracy, złamałem obojczyk lewej ręki. Cudem uniknąłem śmierci. W tych zakładach miałem zadania konspiracyjne: zbieranie informacji o produkcji tych zakładów, skąd przychodziły zestrzelone silniki, zwiększanie uszkodzeń, złe montowanie części, niszczenie narzędzi, sabotaż na każdym kroku, przebiegłe i chytrze - takie były zadania walki z okupantem.

Przybrałem pseudonim konspiracyjny "Wolski". Teraz wiem, że byłem w baonie "Zośka", dowiedziałem się o tym w dniu wybuchu Powstania na zgrupowaniu. Wcześniej to było okryte kompletną tajemnicą. Po specjalnym przeszkoleniu zostałem wcielony do Grup Szturmowych (GS) Szarych Szeregów.

Zbliżał się rok 1944. Gdzieś w lipcu, chyba 27 lipca, atmosfera w Warszawie była już bardzo napięta. Od wschodu zbliżała się armia sowiecka. Naloty samolotów sowieckich nad Warszawę, zapalone świece na spadochronach oświetlające teren bombardowań. Wielki bałagan w wycofujących się wojskach niemieckich z Warszawy. No i 27 lipca, a później 31; zostaje powiadomiony, że mam się stawić w punkcie zgrupowania na Placu Narutowicza, na ul. Filtrowej 62. Matka szykuje mi plecak: jakieś najważniejsze, najpotrzebniejsze rzeczy, zdajemy sobie sprawę, bo już wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, że powstanie blisko, a więc możliwość wyzwolenia i zemsty. Jadę tramwajem na Plac Narutowicza, stamtąd dostaje się na Filtrową do wskazanego mieszkania, hasło, hyba drugie albo pierwsze piętro, okna zasłonięte kocem od ul. Filtrowej. Tam zastaje całą naszą grupę,

to znaczy 2 drużyna dowódca Janusz Urbański, 2 pluton dowódca Iwo Rygiel ps. "Bogusław" w III kompanii "Giewont" Baonu "Zośka" zgrupowania Ochota ppłk."Grzymały". Tyle o mnie.

Matka, jak się potem dowiedziałem, miała swoje zgrupowanie na ul. Furmańskiej 12, w mieszkaniu, które należało do nas. W czasie okupacji z ojcem w tym mieszkaniu pędziliśmy olej, a z makucha robiło się ciasteczka. Tam był właśnie punkt sanitarny, szpitalny. Dokładny opis tego szpitala przy ul. Furmańskiej 12 pod kierownictwem prof.dr. Franciszka Bogdanowicza znajduje się w opracowaniu Zgrychowej - Instytut Historyczny PAN. Matka była tam sanitariuszką, jej nazwisko wymienione jest w książce "Pielęgniarki i sanitariuszki w Powstaniu Warszawskim" p. Ireny Zgrychowej.

Ojciec był również, nazwijmy to tak, "zmoobilizowany" na placu Żelaznej Bramy. Dokładnie nie mogę powiedzieć, nie wiem, w jakim zgrupowaniu. W domu na Franciszkańskiej pozostał brat Stefan, siostra Zocha oraz p.Kantorówna. Jak się dowiedziałem po powrocie do Polski, ojciu udało się z pl. Żelaznej Bramy przedostać na Franciszkańską do Stefana i Zochy. Z nimi przeżył do końca walki na Starówce. Był komendantem bloku i organizował samoobronę. Stamtąd zostali wypędzeni do Pruszkowa. Oczywiście, po całej gehennie zamierzającej, ale walczącej o każdy dom Starówki. Po znęcaniu się, rewizjach i apokalipsie w końcowej fazie, nad Wisłą, u podnóża kościoła Nawiedzenia NMP oraz kościoła św.Benona. Tu żołdak ukraiński chciał odstrzelić ojcu palce z obrączką. Zosia zaczęła się tak drzeć, że oficer niemiecki odpędził bandytę. A dalej - poprzez Dulag 121 w Zakładach Kolejowych w Pruszkowie, uciekał wioskami i schronił się do *Dąbrowy Górniczej*.

Natomiast matka pozostała w punkcie na Furmańskiej 12, a po likwidacji punktu poprzez Ogród Saski i Wolę, również dostała się do Pruszkowa do obozu Dulag 121, mieszczącego się w Warsztatach Kolejowych; stamtąd została wywieziona do obozu do Niemiec, przeszła przez obozy koncentracyjne: Beitzien, Kamentz, Swidnica, Freiburg. Tam

oswobodzona przez armie alianckie, przebywała w Hammeln k. Hannoveru. Organizowała tam szkołę i harcerstwo dla młodych ludzi, którzy się zaczęli w tamtych warunkach gubić, psychicznie i w ogóle moralnie. Potem matka wróciła do Polski i pracowała jako nauczycielka w szkole nr 78 w Warszawie, harcmistrzyni, członek ZHP Komendy Chorągwi Mazowieckiej, wizytatorka grup harcerskich, obozowych, członek Komendy Chorągwi w Referacie Zuchowym. Oczekuje na mnie, poszukując mnie w okolicach Warszawy, w Polsce i zagranicą. Ale to jest druga, już dalsza sprawa. Mam z tego okresu cały plik dokumentów matki, która początkowo pracowała w Niemczech, w jakichś zakładach zbrojeniowych.

Ja zaczynam powstanie na pl. Narutowicza. Po południu pierwszego dnia dowódca organizuje "ujawnienie" naszego oddziału. Wtedy dowiadujemy się, kim jesteśmy i do jakiego zgrupowania należymy. Stara się też nawiązać kontakt z macierzystą jednostką "Zośki", która miała zgrupowanie na Woli. Nie udaje się to. Sytuacja zmusza nas do pozostania na Ochocie i razem z grupą "Grzymały" - Sokołowskiego wychodzimy z pierwszego na drugiego sierpnia w nocy z Warszawy. Kolejką EKD podjeżdżamy do Malich, ale do końca nie udaje nam się dojechać, bo Niemcy wyłączają prąd. Wsiadamy z kolejki i posuwamy się zwartą grupą w kierunku na Pęcice. Wcześniej jest jeszcze walka z jakimś posterunkiem niemieckim na moście kolejowym, dokładnie sobie nie przypominam, na jakim, jest noc, drugi sierpnia Jestem w szpicy całego zgrupowania, które posuwa się w stronę Pęcic z zadaniem przedostania się do lasów pęcocińskich. I tu następuje zaskoczenie: okazuje się, że w Pęcicach stacjonuje jakiś oddział niemiecki, i to nie tylko w Pęcicach, ale i niedaleko w szpitalu w Tworkach. Brak jest dokładnego i szczegółowego rozpracowania terenu. Od strony parku pęcickiego wyjeżdża oddział niemiecki samochodami. Następuje starcie z nimi. Pierwszy samochód zostaje przez nas ostrzelany, spalony, rozbity granatami, pozostałe wycofują się. Przedostajemy się do parku, gdzie są zakwaterowane oddziały niemie

17

kie. Ostrzeliwujemy ten dworek i Niemców tam się znajdujących. W tej bitwie zostaje ranny w nogę i wycofuje się z akcji w parku w Pęcicach na zachód, w stronę Tworek. Resztki zgrupowania Ochoty, omijając Tworki przedostają się dalej, w stronę lasów sęko-  
cińskich. Ja nie mogę iść. Zaczyna się tragedia: jest już prawie ranek, deszcz siąpi, teren zaczynają otaczać Niemcy od strony Tworek, z Pęcic, od strony Warszawy. Powstaje kocioł dla tych powstańców, którzy<sup>tu</sup> się schronili w dziesiątkach żyta stojących na polach i w innych miejscach. Od Tworek rusza jakiś czołg, który rozgniatą te dziesiątki żyta - mam to w oczach. Chowam się w krzakach nad jakimiś stawami, chyba rybnymi, w szuwarach jeziorka w okolicach Pęcic. Przez cały dzień słychać strzały od strony Pęcic. Zostaje tam do wieczora. Wieczorem ucichło to wszystko i od szpitala na Wrzesinie przemyka się grupa sanitariuszy, która zbiera i udziela pomocy postrzelonym, rannymi i niedobitym na tym terenie powstańcom. Między innymi i mnie odnajdują w tym stawie i zostaje odtransportowany do szpitala na Wrzesinie, chyba do szpitala nr 2. Przypominam sobie stamtąd siostrę Gordon, aptekarza czy lekarza Witkowskiego, siostrę Kołodziejską, z którą jeszcze teraz utrzymuję kontakt.

Chyba 3 sierpnia wpadają do tego szpitala Niemcy i robią czystkę. Uprzedzeni o tym lekarze i sanitariuszki przenoszą nas, a było nas powstańców sporo, na sale zakaźne, do których Niemcy już nie wchodzi. i w ten sposób zostaliśmy uratowani. Przez kilka dni przebywam w tym szpitalu. Potem stan mojego zdrowia się polepsza i dla bezpieczeństwa zostaje przeprowadzony przez miejscowe łączniczki AK, działające na tym terenie, do Malich do punktu chyba prywatnej piekarni. W Malichach postanawiam wraz z Tadeuszem Studniarskim przedostać się z powrotem do walczącej i płonącej Warszawy. Docieramy od strony Ochoty aż pod Okęcie, gdzie schwytani przez patrol niemiecki zostajemy przekazani do obozu w

Pruszkowie, Duląg 121. Wyciągnięci z Warsztatów Kolejowych ponownie przez organizację AK z Pruszkowa zostajemy ukrycie na ul. Mochnackiego 8 w Piastowie, u Pani Fiutowskiej, właścicielki posesji, która niosła olbrzymią pomoc powstańcom, ukrywając ich w swoim domu. Syn jej w powstaniu stracił rękę. Po wojnie był lekarzem w Tworkach. Zmarł w 1989 r. Mam listy P. Fiutowskiej pisane do mojej Matki do obozu koncentracyjnego w Niemczech o mnie.

Tymczasem zainteresowali się nami przedstawiciele AK z Włoch, z naszej inicjatywy nawiązaliśmy z nimi kontakt. Ponieważ wyraziliśmy chęć dalszej walki z Niemcami, dalszego uczestnictwa w Powstaniu, zostaliśmy przerzuceni do zgrupowania kampsoskiego, do Kampinosu. Razem ze mną przerzucono trzech chłopców. Łączniczki były Włoch. Szedłem w pierwszej parze, w odległościach widoczności wzrokowej, omijaliśmy skupiska ludzkie szliśmy bocznymi drogami. Za Borzęcinem napotoczył się patrol niemiecki. Uratowała nas przytomność łączniczki, która pociągnęła mnie na trawę w rów przy drodze, gdzie pod krzakiem udawaliśmy zakochaną parę. Niemcy porechotali, pośmieli się, parę spróśnych dowcipów i na tym skończyło się niebezpieczeństwo. Pozostałe dwójki chłopców wycofały się w porę, ostrzeżone z daleka widocznym zdarzeniem. Łączniczki nie dają za wygraną, klucząc z wielką ostrożnością po kolejnych punktach kontrolno-łącznikowych, docieramy do terenów coraz bardziej zalesionego. Pod koniec dnia przyjmuje nas partyzancka placówka.

W Kampinosie zostałem przydzielony do Batalionu majora Korwina w czwartej kompanii II plutonu kapitana Mścisława i kwateruję w wiosce Truskawka. Wioski w Kampinosie w tym czasie to kawał Niepodległej Polski. Brałem udział w kilku bitwach: pod Janówkiem, pod Pocięchą. Mamy stałe placówki na opuszkach lasu, tam też stacjonuje. Na tym terenie walczyliśmy z okupantem do końca września. Robimy wypadki na transporty niemieckie na szosie, po której dowożą do Warszawy, broń, żywność, posiłki oraz różny sprzęt. Zdobywamy to. Przyjmujemy zrzuty broni i medykamentów oraz różnego sprzętu, dokonywane przez aliantów, przenosimy do walczącej Warszawy na Starówkę.

Jest z nami bardzo mocny oddział chłopców z Puszczy Nalibockiej pod dowództwem por. Doliny, świetnego żołnierza i dowódcy, cicho-  
ciemnego. Z tego powodu NKWD robiło mi na śledztwie zarzut. Są z  
nami żydzi, którzy uciekli z getta oraz Rosjanie z Bemowa oraz z  
innych obozów.

Pod koniec września coraz więcej mówi się o likwidacji grupy  
kampinoskiej i 29 września następuje decyzja przemieszczenia grupy  
kampinoskiej do Gór Świętokrzyskich. Likwidujemy się. Znowu więc  
walki. Pamiętam jak dzisiaj samolot krążący rano nad Kampinosem,  
wioski płonące nocą. Niemcy nacierają od strony Janówka i Pocięchy,  
gdzie są rozłożone właśnie nasze placówki i szanse obronne, wypycha-  
jąc całe zgrupowanie "Kampinos" na zachód. My z Truskawki od  
Męciszława wychodzimy ostatni z bazy, powstrzymując nacierających  
Niemców.. W nocy w lesie major Korwin przemawia. Mówi o możliwości  
wyprowadzenia części żołnierzy, głównie miejscowych, z tego zgru-  
powania, rozproszenia w okolicznych wioskach. A kto wyraża chęć,  
może dalej walczyć i iść ze zgrupowaniem do Gór Świętokrzyskich.  
Podejmuję decyzję dalszej walki w zgrupowaniu. Przejmujemy broń od  
tych, którzy zostają w tym terenie, przechodzą ponownie do konspi-  
racji. Oderwaliśmy się od Niemców, posuwamy się dalej w stronę  
Jaktorowa, Żyrardowa.

Tu następuje nowa tragedia. Jest już chyba 30 września. Niefortu-  
na decyzja dowódcy Okonia, dowódcy nie lubianego przez żołnierzy  
i oficerów za swą chamską zupakowską postawę. Chcąc podciągnąć  
tabory, zatrzymuje on całe zgrupowanie pod torami kolejowymi, nie  
obsadzając ich, nie zdobywając ani nie wysadzając. Niemcy robią  
nam tam kocioł. Od strony Żyrardowa czy Jaktorowa nadjeżdża pociąg  
przeciwpancerny i zaczyna się systematyczne rozbijanie całego zgru-  
powania. Wlka trwa, przynajmniej dla mnie, do wieczora, dopóki  
mamy jeszcze broni. Kryjemy się w rowach melioracyjnych i stamtąd  
się ostrzeliwujemy. Po rozformowaniu batalionu mjr. Korwina,  
jeszcze noszą w Kampinosie, byłem rozkazem przeniesiony do grupy  
por. Jurka. Przy przeskakowaniu przez szosę biegnącą z Błonia do

Grodziska stacząmy bitwę z kolumną zmotoryzowaną jednostki nieprzyjaciela. Przeprowadzamy się przez rzeczkę Piszę. W małym kościółku przy polnej drodze nad ranem modlą się, oddając się w opiekę Boga. Rozczłonowane poszczególne grupy podejmują decyzję przebicia się z okrążenia. W naszej grupie część żołnierzy jest na koniach, zamaskowanych w kępie drzew. Była tu grupka kawalerii, żołnierzy spod Nowogródka por. Doliny. Zapada decyzja, nie mamy wyboru, komu szczęście dopisze, ten wyrwie się z tej jatki. Udaje nam się przebić przez pierwsze "linie" niemieckie, najlepiej to wychodzi tym, którzy są na koniach. Zapadający zmrok i gwałtowność natarcia ułatwia to zadanie. Przeskakują niebezpieczny teren. Gorzej jest ze spłoszonymi i trzymającymi się siodła kawalerzystów, tym bardziej że brakuje już amunicji. Następuje walka wręcz, na co kto ma: na kolby, na bagnety, na jakieś noże, na co popadnie - żeby tylko przeskoczyć przez tę linię niemiecką. Wtedy zostaje ranny, dostaje w rękę bagnetem, w bezpośrednim zwarciu. Jakiś Niemiec chciał mnie zabić, nie udało mu się to, bo inny, walczący obok ramię w ramię mój kolega - zabija go. Przeskakujemy dalej, podążamy na północny zachód, wykorzystując możliwości terenu. Jesteśmy praktycznie rzecz biorąc bez broni. Moja ręka strasznie krwawi, zakładam sobie prowizoryczny zaciskowy opatrunek. Ale coraz większe jest zagęszczenie Niemców. Wyciągają miejscową ludność z domostw, robią selekcję wybierając podejrzanych młodych ludzi.

Wraz z innymi powstańcami dostaję się do niewoli niemieckiej. W tej bitwie wiele osób zginęło, trudno mi powiedzieć, ile. Jest tam w tej chwili dość duży cmentarz, na który rok rocznie jeździmy - niedobitki zakrętów historii, wspominając tych, którzy pozostali w tej ziemi na wiecznej warcie. Dopóki żył Szymon, nasz dowódca, na tym cmentarzu odbywały się capstrzyki i nabożeństwa oraz spotkania z młodzieżą harcerską, która opiekowała się cmentarzem.

Wsadzają nas Niemcy na jakiś czołg i wiozą gdzieś, zdala od zabudowań. Każą kopać rów, mają nas rozstrzelać. I tu los szczęścia: nadjeżdża na rowerze oficer niemiecki. wstrzymuje egzekucje

i całą grupę, jedenastu nas, partyzantów, zabiera do Żyrardowa do jakiegoś komisariatu. Po drodze miejscowi ludzie rzucają nam papierosy chleb. Siedzimy w celi, skąd kolejno biorą nas na badanie na gestapo. Badania odbywają się w dużej sali, gdzie jest olbrzymia mapa całego Kampinosu. Zmuszają nas do określenia, charakterystyki, naszego zgrupowania. Szcząją psem, biją. Mają o nas przesadne wyobrażenie jako o zgrupowaniu dwudziestotysięcznym, a było nas chyba 4-5 tysięcy, a może i mniej. Ja, z prowizorycznym opatrunkiem na rękę, który zasechł i nie krwawił, jestem też przesłuchiwany. Jesteśmy na tych badaniach maltretowani i bici, żeby zeznawać dokładnie, według wyobrażeń gestapowców. No i te rozbieżności między ich pojęciem o nas a rzeczywistością i naszymi informacjami są kością niezgody między Niemcami i nami. Zostaję między innymi uderzony ręką pistoletu w skroń, tracę wzrok w oku. Zalewa mnie krew, pęka mi dno oka. Była tam jakaś pomoc lekarska, ale raczej myśmy sobie wzajemnie pomagali. Głównie pomagało nam miejscowe RGO, miejscowi lekarze i ludzie stamtąd. W okresie okupacji RGO było było rodzajem organizacji charytatywnej, działającej za przyzwoleniem Niemców. W RGO grupowały się elity inteligencji Płaków, którzy pomagali ludności, współpracując jednocześnie w konspiracji.

Na to oko do tej pory nie widzę. Sugerowano mi zrobienie operacji, ale okazało się to niewykonalne, ponieważ pękło mi dno oka.

Z Żyrardowa po zakończeniu badań na gestapo jesteśmy przerzucani do kolejnych obozów: w Ożarowie, w Pruszkowie, w Szymanowie, gdzie m.in. olbrzymią pomoc niosą nam księża-zakonnicy z Niepokalanowa. Im Niemcy pozwalają wchodzić do obozu. Pamiętam dużą ilość grusze i innej żywności. Niemcy dawali żywność w znikomej ilości. Obozy w których przebywałem to obozy jenieckie. Było tam bardzo dużo berlingowców z Warszawy. To już był okres likwidacji miasta Warszawy. Dużo też było jeńców - powstańców z Kampinosu. Racje żywności: we był głodowe, baraki nie ogrzewane, a zaczynały się chłody. Specjalnego znęcania się nad nami nie było. Jakaś zupa z brukwi raz na dzień, jakaś kawa, bochenek chleba wojskowego na poły z



trocinami na szczęściu. Pamiętam, że starałem się tak ustawić się w kolejce, aby dostać kawy z fusami, żeby lepiej zapecznąć pusty brzuch.

Powoli wygrzebuje się ze swoich skaleczeń, zresztą goi się na mnie jak na psie. (Zdolność do szybkiego gojenia się ran i skaleczeń mój organizm zachował do dziś, do późnej starości. Przeszedłem szczęśliwie już kilka ciężkich operacji, wychodząc po kilku dniach ze szpitala).

W obozie jestem przez październik i listopad. W grudniu transportują nas gdzieś na zachód. Postoje. Jest to czas wielkiego zamieszania, ucieczki Niemców, bałaganu. Jesteśmy po drodze wykorzystywani do kopania i budowy okopów obronnych, umocnień. Tworzą z nas oddziały robocze do naprawy torów kolejowych. Podczas wykonywania takiej pracy gdzieś w okolicach Bydgoszczy udaje mi się uciec. Ukrywam się na tych terenach u gospodarzy. Podszyciłem się pod robotnika wywiezionego na roboty do Niemiec, do Rzeszy.

Na tych terenach jestem do stycznia, przemieszczam się, zmieniam miejsce pobytu. W styczniu 1945 zaczyna się ofensywa rosyjska, jest to czas totalnej paniki niemieckiej. Z miejscowymi tworzymy grupki, napadamy czasem na wycofujących się Niemców, zdobywamy broń, tego typu nieznaczające działania. Ten i późniejszy okres mojej działalności w niedalekiej przyszłości "sledowatiel" z NKWD potraktuje podczas śledztwa jako wrogie działanie przeciw wojskom sowieckim. Stwierdzi, że byłem szpiegiem i będzie chciał, żebym się przyznał, ilu zabiłem żołnierzy sowieckich.

Wreszcie na te tereny napierają Rosjanie, część ludzi ucieka na północ, a część pozostaje. Postanawiam pozostać w tamtych stronach. Po pokonaniu wycofujących się Niemców linia pierwsza i druga frontu idzie dalej, a tu zostają oddziały tylne NKWD. I wszyscy są sprawdzani. Cała ludność jest kontrolowana, skąd się wzięli na tych terenach, kto jest kto. Myślę, że sowieci z góry mieli założenie wywiezienia stąd maksymalnie dużej liczby ludzi. Bo jest to przecież teren "dużej rzeszy", bydgoskie. Mieszkańcy

23

byli Polakami, ale przyjęli pod przymusem tzw. grupę einigedeutsch. Jest więc ta kontrola. Ja z początku nastawiam się na włączanie do dalszej walki z Niemcami. Proszę, żeby mnie włączono gdzieś do armii polskiej, Tym bardziej, że miałem styczność z berlingowcami i wiedziałem, że taka armia istnieje, idzie w tę stronę na Berlin. Oczywiście z początku mam obietnicę, ale potem moja osoba zaczyna wzbudzać zainteresowanie. Z tym, że trzeba tu powiedzieć, iż ja postępuję trochę idiotycznie, po głupiemu. To znaczy, w innym klimacie wychowany, mówię wszystko to, co jest zgodne z prawdą. Ujawniam swój rodowód, pochodzenie inteligenckie, bo o to mnie wypytają, opowiadam o walkach z okresu Powstania. To właśnie jest haczyk na moją osobę. Jestem już zatrzymany, powoli zaczyna się zupełnie inny sposób badania mnie, to znaczy narzucanie pewnego toku myślowego nie mojego, ale tych, którzy mnie badają.

Front posuwa się dalej i my, połapani, zatrzymani przez NKWD, niepewni, posuwamy się za frontem na północ. Jedziemy za frontem. Pamiętam jakieś domy na pół spalone, jakieś cele z powybijanymi szybami, tego typu miejsca,

Sąd odbywał się nawet w jakimś pałacyku. Był to teren zdobywany, teren walk. Stan liczebny naszej grupy zatrzymanych zmieniał się? to było płynne. Różnie było. Badania się zaostrzały, były coraz gorsze, coraz straszniejsze. Dochodziło do tego, że niektórzy już byli skazani na śmierć, wyciągani z tych cel, to się najczęściej odbywało rano lub w nocy. A my słyszymy w parku jakieś strzały. Nie wiemy, czy oni rzeczywiście są rozstrzeliwani, ale jest psychologiczna atmosfera niesamowitego koszmaru. Tym bardziej że zaczyna się coraz większe nasilenie badań dniami i nocą, jest coraz zimniej, samotniej. Jestem maltretowany i załamany. Stwierdzają, że jestem szpiegiem, jakimś pozostawionym tutaj niemieckim żołnierzem. Wszystkie możliwe grzechy zostają mi zarzucone. Ponieważ w Kampinosie byli także Rosjanie, i Żydzi - zarzucają nam na siłę, żeśmy ich gnębili itd.

29

Między innymi obciąża nas głównie fakt, że żyjemy, że Niemcy wszystkich partyzantów zabijali, a my żyjemy, stąd logiczny związek, fakt że musieliśmy współpracować z Niemcami. Poza tym chłopcy z Łuszczy Nalibockiej, oni gdzieś tam pod Wilnem staczali bitwy z armią radziecką, byli tolerowani przez Niemców, dozbrajani. W tym czasie śmierć stała przed żołnierzami polskimi przed twarzą i za plecami. Z jednej strony obozy koncentracyjne, z drugiej łagry na Syberii. Przecież we wrześniu 1939 r. nastąpił czwarty rozbiór Polski przez dwóch okupantów. A na przełomie lat 1944/45 następowała systematyczna eksterminacja inteligencji polskiej i potencjalnych oraz rzeczywistych przeciwników narzuconego <sup>na siłę a przeciwnego</sup> tradycji narodowej Polaków - system

Badania odbywają się przeważnie noca, z baciem maltretowaniem. Na to się nakłada i to, że nikt z nas nie rozumie rosyjskiego. Pytania są półrosyjskie, półpolskie. Najlepiej mają połapani Niemcy, którzy w ogóle nic nie rozumieją. Jakaś tłumaczka z Bożej łaski, śpiewająca, zapisuje zeznania na kartkach, ale zapisuje po rosyjsku, więc w ogóle tego nie rozumiałem. A podpisywać trzeba było. Na początku, nie, póki w całości zeznań nie opracowali. Spisane było nie to, co ja mówiłem, ale to co im do jakiegoś ich toku myślenia było potrzebne: że się wywodzę z rodziny ziemiańskiej, że ojciec uciekł z niewoli rosyjskiej, że walczył z nimi, że matka nauczycielka - te rzeczy były uwypuklane. W konsekwencji po jakichś dwóch-trzech tygodniach dowiaduję się, że dostałem karę śmierci. Przedtem jeszcze jestem zmuszony do podpisania każdej strony zeznań oczywiście wszystko po rosyjsku.

W okolicach Bydgoszczy nastawienie ludności do wkaraczającej armii sowieckiej jest tragiczne, dlatego, że Niemcom mówili, że idzie dzicz, horda dziczy, która gwałci, morduje, strzela, zabija. W związku z tym część ludzi uciekała przed Rosjanami. Ci, którzy zdecydowali się zostać lub nie zdążyli uciec, byli niesamowicie wystraszeni. A kiedy pierwsze fale frontu przelewały się przez nas,

25

mówmy otwarcie: pijane oddziały frontowe tak z jednej, jak i z drugiej strony mogły całkowicie zszokować. Z jednej strony "krowy" niemieckie, z drugiej katusze. To był teren spalonej i zgwałconej ziemi. Zwycięzcy byli panami życia i śmierci, prawo nie istniało królowała przemoc i gwałt.

Co oni tam zapisali w moich zeznaniach, to Bóg raczy wiedzieć. Ja nie mogę na to odpowiedzieć, nie wiem, co podpisywałem. Nie wiedziałem, czego się trzymać. A w trakcie przesłuchań bardzo się bałem, tym bardziej, że ci ~~wyciągani~~ z celi później nie wracali i było słycać strzały. To było niesamowite. Byłem bity różnymi linijkami przez tłumaczkę, przez śledowateła, rękoma, kopami, czymś się dało. A było to już po biciu przez Niemców, po urazach oka i innych. Było to straszne, depresyjne, przygnębiające i wykańczające psychicznie. W niedługim czasie po wyroku, jakieś parę dni to trwało, ten "śledowateł", który mnie "prowadził", oświadcza mi, żebym napisał prośbę o "pominięcie", o ułaskawienie. Dostają więc kartkę papieru, piszę, on to zabiera i wkrótce oświadcza mi na takiej odprawie sądowej, na której siedzi dwóch oficerów NKWD, że wyrok mój został zmieniony na 15 lat "dalnowostocznych isprawitielnych trudowych łagierej". Była tam na pewno jakaś specjalna dopiska, o której mnie nie poinformowano, ale która ciążyła na mnie przez wszystkie późniejsze lata i która kwalifikowała moją osobę do specjalnego traktowania. Może już wtedy ustalono, że nie ma mowy o powrocie, że tylko Biegun Północny może być moim domem i grobem.

Kończy się w ten sposób dość lakoniczny opis, faktograficzny, moich 18 lat życia, dzieciństwa, okupacji. Okres nauki, walki, miłosnych uniesień i tragedii. Okres autentycznej walki z okupantami o Niepodległość Polski. To nie dzisiejsze demagogiczne hasła, to nie dzisiejsza prywatna i karierowiczostwo. Ulegliśmy w walce przed siłą, oszukaństwem i zakłamaniem. Zapłaciliśmy najwyższą daninę: krew, wolność osobistą i w większości przypadków śmierć. Daliśmy

26

Narodowi przykład, tradycję i historię. I choć najlepsza warstwa społeczna została zniszczona, to jednak pozostało po niej ziarno, które na pewno zakiełkuje. Nie potrzebujemy obawiać się wyroków historii, przed którymi powinni drżeć dzisiejsi politycy i demagogiczni wodzowie.. Myśmy wiedzę z nauką zdobywali własnym potem, niż otrzymując jej za darmo.

Teraz się zaczyna okres całej mojej epopei wschodniej. Z tego okresu przypominam sobie załadunek na samochody ciężarowe. Po 25 więźniów na samochód, powiązani za ręce po 5 osób. Siadali jeden drugiemu w rozkroku na podłodze <sup>skrzyni</sup> jakieś śmieci, trochę słomy. W czasie transportu zdarzył się incydent. Otóż bojcy znaleźli w słomie nóż, który tam leżał zagrzebany. Z tego powodu zbili nas i skopali, posądzając nas o zamiar napaści. Ukawudziści zajmowali jedną trzecią skrzyni samochodu, resztę - stłoczeni więźniowie.

Jakimiś drogami, chyba przez Toruń, gdzieś północą, wiezieni jesteśmy na wschód. Miejscowości mijanych nie pamiętam, były to nazwy niemieckie.. Po drodze jakieś rozbite samochody, czołgi, armaty - krajobraz po bitwie. Trupy koni, ludzi niepogrzebanych, makabra. Z tyłu samochodu siedzą żołnierze NKWD, my w rozkroku twarzami do nich, jędziemy wciąż dalej. W Działdowie, albo gdzieś na tamym terenie załadowano nas do pociągu. Pociągiem, chyba przez Łapy, Białystok - wiezieni jesteśmy na wschód. W wagonie towarowym jest około 60 osób, drzwi wagonu otwarte, siedzi w nich żołnierz. Planujemy nawet jakąś ucieczkę w okolicach Ostrołki, nie dochodzi ona do skutku. Gdzieś na początku kwietnia lub pod koniec marca chyba dowieziono nas do Grodna, chyba około 5 kwietnia. Wyładowano z nas z wagonów, ustawiono w kolumny po pięciu i prowadzono ulicami Grodna na prawo od miejsca wyładowania z wagonów. Po drodze od czasu do czasu pojawiali się ludzie, którzy odzywali się krzyczeli jakieś słowa po polsku, rzucali papierosy. Byliśmy otoczeni z dwóch stron żołnierzami z psami, z oddziałów specjalnych nie frontowików. Kolumna posuwała się środkiem ulic, tak że nie

77

możliśmy nawiązać kontaktu z tymi ludźmi. Byliśmy popychani., jeśli ktoś się zatrzymał , by podnieść rzuconą paczuszkę, krzyczano na nas, szczerzo psami, żeby szybciej przechodzić. Odbywało się to w dzień.

Podchodzimy pod mur. Olbrzymia brama żelazna z hałasem i metalicznym zgrzytem otwiera się i wpuszczają nas na podwórze. Szczęk zamykającej się bramy za mną, jak wieko trumny przytłoczył swym brzmieniem. Potwór połykał nas w swych wnętrznościach. Byliśmy tacy malutcy, ~~kary~~ tak strasznie zaszcuci i bezsilni. Jak zwykle w czasie postoju, każą usiąść nan ziemi i czekamy. Teraz zdanie i przyjęcie całej kolumny. Następnie władze więzienia przyjmują każdego więźnia pojedynczo, wywołują. Trzeba odpowiedzieć: nazwisko, które mi zresztą zmieniono, przekręcono, imię, imię ojca, rok urodzenia i paragraf, z którego się jest osądzonym. Tu warto zaznaczyć, że swój nowy życiorys trzeba było wykuć na pamięć, aby się nie narazić na ponowne przesłuchiwanie. Był on wielokrotnie fragmentami wywoływany w różnych okolicznościach w Rosji i po powrocie w Polsce. Wywołany wstaje, podnosi się i wchodzi gdzieś z prawej strony do budynku. Oczywiście nie wiem, dopóki nie przychodzi moja kolej, dokąd poszczególne osoby się udają. Wywołują mnie. Wchodzę do dużego pomieszczenia-piwnicy, w której już jest bardzo dużo więźniów. Jak tylko wchodzę, rzucają się na nas, każą się rozbierać, wszystko zabierają. Ja akurat miałem buty z cholewami, saperki ściągnięte z Niemca, kożuch bez rękawów. Wszystko mi zabierają. Jak się potem dowiedzieliśmy, wszystkie nasze rzeczy zostały już wcześniej przebrane w karty przez tych więźniów-kryminalistów znajdujących się w piwnicy. Zabierają więc wszystko, rzucają jakieś ciuchy, jestem zaskoczony, oszołomiony. Przekleństwa, bicie, krzyki - w ogóle zagubienie. Uważam, że więźniowie ci byli tam wpuszczeni przez administrację więzienia, by później robić wymianę. Rzucono mi jakieś dziurawe buty z cholewami, jakąś ciężogrejkę, jakieś spodnie watowane porwane. Ubieram się w to, bo nic innego mi nie pozostaje i przysiadam w kącie zmaltretowany tym wszystkim.

28

Tak odbywa się, praktycznie rzecz biorąc, przyjęcie całej kolumny kłobą przyprowadzono. Tam, w tej piwnicy, przebywam 2 dni. Wszyscy są z lepszych rzeczy ogołoceni przez tych więźniów-Rosjan, którzy wcześniej już tam zostali wpuszczeni, "błatnych", ale ja wtedy tego tak nie odebrałem. To byli różni więźniowie: byli żołnierze rosyjscy, którzy dostali wyroki za jakieś nadużycia, miejscowi złodzieje, jacyś ludzie z partyzantki, głównie kryminalni.

Stamtąd zostajemy przetransportowani do olbrzymiego budynku kilkupiętrowego, który stał jakby od frontu tego podwórka, na które nas przyprowadzono. Potem dowiedzieliśmy się, że były to pomieszczenia klasztorne, cały ten teren był dawniej klasztorem. Zostaliśmy przydzieleni do cel. Ja dostaję się do dużej celi, już w tym ogromnym budynku. W celi już panuje jakiś rygor. Tamta piwnica to był jakby punkt wstępnych zatrzymań, "pieresełka". Przed przejściem do celi odbywa się kąpiel w łaźni. Czyści i ogoleni z wszelkich włosów przechodzimy do cel. Golenie odbywa się do gołej skóry pod brzytwę, wszędzie. Jest to dla mnie deprymujące i szokujące. Głowa, pod pachami, w kroku jestem jak noworodek.

W mojej celi jest starszy celi, też jakiś urka, ma swoich pomocników koło siebie. Ci popychają nas, ustawiają, wskazują miejsca, gdzie mamy się położyć. Jest bardzo ciasno.

Specjalnie tam dyskryminowani byli Polacy. Ciągłe na nas krzyczano: "pszeki, pszeki", a głównie "faszyści". To było ciekawe: więźniowie-Rosjanie nazywali nas faszystami, a z kolei ochrona, enkawudziści - i nas, i Rosjan nazywali faszystami. Byliśmy generalnie faszystami, ścierwo, gad, parazyt najczęściej.

Dostajemy miejsce koło drzwi, koło "parazy" (kadź, w którą załatwiali się wszyscy więźniowie). To było straszne. Na narach piętrowych były miejsca dla uprzywilejowanych, Rosjan oraz również dla miejscowych niektórych, tych, którzy mają jakieś produkty żywnościowe. Miejscowi to i Polacy, i Białorusini, i Litwini, i Łotysze, i Ukraińcy. Tu stykam się z różnymi elementami narodowymi, byli również

79

Niemcy. My mamy miejsce na podłodze. Jest to tragiczne w nocy, dlatego, że przechodzą przez nas ci, którzy chcą się załatwić, deptają, potracają. Mało tego - ponieważ leżymy koło paraszy - załatwiają się nam na głowę - różne są sytuacje. Spie jak zajac przy drodze, uczulony na każdy szelest, chroniac głowę i ciało przed urazami.

Rano "prowierka". Wchodzi ochrona, liczą, relacje zdaje starszy celi. Zaraz potem starszy poleca nam wynieść paraszę i umyć ją do chysta. Zaczyna się śniadanie, to znaczy teraz ochrona wskazuje, kto ma pójść po kadz z bałandą i po chleb. Bałanda to była rzadka zupa, ale jeszcze tam można było złapać kartofla, tak że nie było to takie, jak później. Po tym okresie przez dziesięć lat nie widziałem kartofla, żadnej jarzyny. Wyjątek na północy stanowił biały mech, którym uzupełniałem jedzenie, wypełniałem brzuch. Dostajemy to jedzenie dwa razy dziennie, raz kipiatok z pajką i raz zupę. Jest to bardzo mało. Naczynia są również przynoszone do celi. To wystarcza na jakąś tam egzystencję, ale nie na to, aby być pełnosprawnym. Coraz bardziej odczuwa się głód. Tym bardziej, jak się widzi, że miejscowi wyjmują jakąś słoninę czy chleb, a człowiek tego nie może dostać. A w żpłądku ssie. To jest i c h - zabrać czy ukraść człowiek jeszcze się nie nauczył, poza tym nie bardzo można, bo ta grupa urków panuje nad całością, dyryguje wszystkim. To tak wyglądało.

Przypomina mi się takie zdarzenie: wsadzają do tej celi młodego mężczyznę, podobno żyda-partyzanta. W nocy urki chcą go ograbić z ubrania i wszystkiego, co miał ze sobą. On podnosi olbrzymi krzyk, wskazuje na parapet, czego nie wolno było robić. Nie wolno było zbliżać się do zakratowanych okien. Szyby były wybite, z wyżek ochrona strzelała do okien, jeśli się ktoś w nich pokazał. Ten człowiek zaczyna strasznie krzyczeć. To powoduje, że do celi wpadają ci z ochrony i on się zaczyna skarżyć po rosyjsku, że tu go chcą



okraść, tłumaczy, że jest partyzantem itd. Zabierają go z celi i nie wiem, co się z nim dalej dzieje. W celi było ponad sto osób. - bardzo duże pomieszczenie. W nocy spaliliśmy jeden przy drugim, cała podłoga była zajęta. Starszy celi odbiera mi ostatnie prywatne rzeczy - koszulę i kalesony, za to potem patrzy na mnie przychylniejszym okiem.

Wkrótce rozładowują nas, przenoszą do, mniejszych cel. Podłogi są wszędzie cementowe i robi to rzeczywiście wrażenie jakichś zakonnych cel.

Od czasu do czasu jesteśmy wyprowadzani na spacer na małe podwórko, nie od strony podwórza, na które nas przyprowadzono, lecz jakby po drugiej stronie budynku. Jest ono otoczone wysokim murem, zza którego wystają jakieś drzewa. Charakterystyczne kłanie wron siedzących na tych drzewach i jakaś za tym murem wieża kościelna. Spacer i potem z powrotem do cel.

Jak schodziliśmy do łaźni, jedna z cel na dole była otwarta, nie miała drzwi i było w niej pełno tytoniu. Gdy ochrona nie widziała, to łapało się garścią ten tytoń i <sup>było to bardzo ryzykowne</sup> gdzieś upychało. Tytoń był na wagę złota, za to zawsze można było coś dostać do zjedzenia od miejscowych współwięźniów, którzy jedzenie mieli, no i samemu chciało się zapalić,

Po pewnym czasie dostałem się do celi niedużej - jest nas chyba 10 - 11 osób. Szczęśliwie przez tę celę przez jedną ścianę przechodzi komin piekarni, która jest gdzieś na dole gmachu. Dzięki temu w celi jest ciepło, a w całym budynku nie ma przecież szyb. W tej celi siedzę razem z chłopcem w moim wieku, Kazikiem Aleksandrowiczem, żołnierzem 27 Dywizji AK. Jest sierotą, wychowany w domu dziecka, ranny w rękę podczas walk. Nazywałem go łapka, z powodu niedowładu dłoni. Boże, jakie myśmy wymyślali potrawy, jakie smakowałyśmy owoce, jeszcze dziś przełykam ślinę na wspomnienie tych przysmaków. Oparci plecami o ciepłą ścianę, na cementowej podłodze

snuliśmy marzenia pustego zplądka. Wentylacja w teli jest taka dosyć mocną, a w kwietniu nose są chłodne, my zaś już bez bielizny i spodartej odzieży, przez którą prześwituje ciało.

W tym więzieniu przebywamy do 8 maja. Dobrze zapamiętałem tę datę. Dlaczego? Ponieważ już od paru dni krążą szeptane pogłoski, że szykuje się transport. Ponadto jeszcze jedna bardzo dla nas istotna wiadomość podawana z ust do ust, że podobno na tych terenach działa jeszcze polska partyzantka. Szykuje się jakaś akcja odbicia "zakluczonych" więźniów. 9 maja rzeczywiście następuje "wygrużanie" nas z cel. Znowu wywoływanie - odpowiedź, formowanie kolumny i transport na stację. Po drodze miejscowa ludność rzuca paczki, papierosy swoim krewnym. Żołnierze krzyszą, strzelają, szczują psami - hałagan. Na stacji na bocznych torach przejmowanie nas z rąk ochrony więzienia przez tych, którzy mają nas pilnować już w transporcie. Wchodzimy pojedynczo, odliczani, do bydłowych wagonów z zakratowanymi okienkami. Po obu stronach wewnątrz wagonu na obu jego końcach zrobiony jakby pomost z desek - to nary. Na tych narach i pod nimi są nasze miejsca do spania. Pośrodku wagonu mniej więcej, jest w podłodze wycięta dziura, do załatwiania się w czasie drogi, bez papieru ani innych możliwości, bez rury - po prostu dziura w podłodze. Gehennę przeżywają chorzy na żołądek. Pozostali więźniowie robią złośliwe uwagi, żądają nie dawania im jedzenia, wyzywają ich. Tak wygląda wagon wewnątrz. Drzwi na środku, jedne zamknięte, otwarte tylko te, przez które wchodzimy.

I tu następuje moja wielka tragedia. W pewnym momencie, nie wiem jak to się stało, zaczyna się strzelanina, krzyki, wrzaski. Jestem już w wagonie. Kojarzę to sobie z jakąś akcją odbijania nas. Olbrzymia fadość, że odzyskamy wolność. Ale nic nie następuje. Do zamkniętego wagonu nikt się nie dobija. Natomiast strzelanina w dalszym ciągu trwa. Więc chociaż nie było wolności, podchodzimy do tych maleńkich okratowanych okienek i wyglądamy przez nie. I widzimy, że żołnierze się całują i ściskają na peronie. Wtedy dowiadujemy się,

że to koniec wojny. Koniec wojny! I ~~tu~~ jakby płachta spadła na człowieka - że jednak nic... że to nie wolność, tylko koniec wojny, na który czekaliśmy <sup>długich i krwawych</sup> przez pięć lat, a który przyszło przeżyć w wagonie w transporcie na wschód z wyrokiem 15 lat katorgi... To był 9 maja 1945 roku.

Po tym psychicznym załamaniu jesteśmy, przytłamszeni; przygnębiecie na jakiś czas ogarnęło nas całkowicie. Transport rusza i w drogę. Jedziemy, wagony się telepią, a my w tych wagonach. Stacja po stacji, ciągle na wschód. Gdzieś w okolicach stacji Mosty jest dłuższy postój. Do naszego szajsonu dołączono transport spod Lidy, spod Wilna. Wagony załadowane więźniami. I znowu to wszystko rusza, dzień za dniem, jedziemy na wschód. Wąż wagonów, który dostrzegamy, gdy szajson jest na łuku torów. Dowożą nas na rubieżę dawnej Polski z sienkiewiczowskiego "Ogniem i mieczem", do Orszy. W Orszy rozładowują nas i jesteśmy przetransportowani ~~na~~ na wielką "pieresyłkę". To jest wielki gmach szkolny, tam nas "zakwaterowano". W Orszy odbywa się zasadnicza selekcja: dokąd jaki <sup>m</sup>skopletowany transport ma jechać. Kryterium tej selekcji jest stan zdrowia więźnia oraz paragraf, z jakiego został skazany. Odbywa się ta selekcja w ten sposób, że na podwórku tej "pieresyłki", na dużym placu apelowym siedzi za stołami komisja lekarska. Przed nimi są postawione jakby szkolne długie niskie ławki. My rozbieramy się do naga i wchodzimy na te ławki. Przed stołem komisyjnym trzeba się obrócić dookoła, komisja wtedy kwalifikuje do czegoś tam. Na razie jeszcze nie wiem, do czego. .

Współwięźniowie, którzy są już dłużej na tym terenie, mówią wyraźnie, że jest szykowany transport bardzo niedobry na wschód. Jeden ze starszych więźniów "na funkcji" zainteresował się mną, myślę zresztą, że nie tylko mną, ale w ogóle młodymi Polakami. Podpowiada nam, żeby przed tą komisją narzekać na jakieś dolegliwości. Reumatyczne czy inne ciężkie choroby, które by zakwalifikowały nas do jakiejś innej grupy. On jest zorientowany, że szykują transport na

daleki wschód. Oczywiście, na cóż ja mogłem narzekać? Osiemnastoletni chłopak zdrowy jak nie wiem co, tylko wiecznie głodny. Jak się potem okazuje, dostaję pierwszą grupę jako wyjątkowo sprawny i silny więzień.

Warto tutaj wspomnieć o pewnym epizodzie, który na początku zsyłki w Rosji miał dla mnie bardzo duże znaczenie. W Orszy przed komisją lekarską, kiedy rozbieraliśmy się do naga, ja miałem na szyi zawieszony medalik, który dostałem od matki, kiedy szedłem do Powstania. Był on pamiątką po moim bierzmowaniu w 1943 r. w Katedrze na Starym Mieście przez kard. Hlonda. I który przez ten cały czas aż do Orszy udało mi się uchronić. Byłem głęboko wierzący, byłem ministrantem w pewnym okresie, zresztą wiadomo, jak wyglądały te sprawy w harcerstwie. Wiara była mi dużą pomocą w tych trudnych czasach. I tu, w Orszy, kiedy ja rozebrany zbliżam się nago do ławki, na którą mam wejść - podchodzi do mnie enkawudzista, który zauważył u mnie medalik na szyi. Podchodzi, szarpie, zrywa z mojej szyi, rzuca na ziemię i depta. "Ty faszysto wieruszczy!" - krzyczy do mnie, uderza i popycha w stronę tej ławki. Deptanie tego medalik jest dla mnie olbrzymim przeżyciem. Zdaje mi się, że w tej chwili trafi go grom z jaanego nieba. Jestem młodym, osiemnastoletnim człowiekiem - i tak to odbieram. A tu nic się nie stało; on śmiejąc się i wyszydzając popycha mnie przed tę komisję. To jest moment, który mi się utrwalił i który chciałem przypomnieć w tym miejscu. To jest moment przełomowy. W kontekście późniejszych tragicznych przeżyć osłabił we mnie nadzieję na to, że może stać się jakiś cud, który mi da możliwość przeżycia tego wszystkiego. Osłabił w tym sensie, że zacząłem się przestawiać na walkę dnia codziennego, a nie na liczenie na jakieś cuda, które mnie ~~mi~~ mogą uratować. Tak to wyglądało. Zacząłem się dostosowywać w sensie czynnym, zacząłem walczyć o przetrwanie.

Po kilku dniach jesteśmy załadowani ponownie do wagonów. Koło

31

16 maja ruszamy znowu dalej na wschód. Przejeżdżamy przez ziemię smoleńską. Smoleńsk widzimy tylko przez okienka wagonów jakby w oddalony tory są trochę wyżej. Widzimy kikuty spalonego miasta. Tu na trasie spostrzegam obrazek, który mi utkwiał w pamięci. Zaprzężone do pług kobiety orzące ziemię. Czasem widać jakieś ziemianki przykryte darnią z których czasami wychodzą ludzie. Widać, że teren jest spalony, zniszczony, gdzie wzrok sięga zgliszcza. Jest kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Po przetoczeniu się nawałnicy frontowej i krwawych walk. Następną "przystanią" jest Moskwa.

W Moskwie jesteśmy znowu wyładowani z wagonów, przeprowadzono dezynfekcję, kąpiel. Siedzimy w Moskwie w więzieniu chyba ze dwa dni. Znowu jest formowany transport, załadowywanie wagonów i chyba po dwóch dniach ruszamy dalej. na wschód, z towarowej części dworca, chyba Jarosławskiego. Dostajemy na drogę dwudniowy suchy pajok, dwie "sielodki" i około kilograma chleba. Przez dwa dni pędzimy bez przystanku na wschód. Przejeżdżamy przez rz. Wołgę, współwiośniowic opowiadają o budowie białomorkanału przez zeków, jest to straszne. Do Moskwy wszystkie mijane wioski i miasta były przeważnie spalone, zniszczone, natomiast od Moskwy i dalej, już inne jest oblicze mijanych terenów. Żadnego bogactwa oczywiście nie widać, jakaś pustka terenowa, brak różnorodności naszych pól i brak mężczyzn na drogach, wszyscy w wojsku. W domach pozostały przeważnie same kobiety., dzieci i starcy.

Co pewien czas, raz dziennie w różnych porach dnia odbywa się na postoju karmienie. Jedzie z nami wagon aprowizacyjny, w którym jest gotowana kałanda oraz jedzenie dla enkawudzistów pilnujących nas. To znaczy w chwili gdy szalony zatrzymuje się z jakichkolwiek powodów choćby na niedługi czas, przynoszone są do wagonów kadzie. Starszy wagonu, wyznaczony przez ochronę i odpowiadający osobiście za wszystko, co dzieje się w wagonie, rozdaje chleb, pajki i tę kałandę. Również "posuda", czyli bańki ~~przekazanych~~ na zupę po konserwach z przydziałów ochrony, są przynoszone, nie zostawiane w wagonach. Nie były to męszki. lecz najczęściej puszki, które

służyły do zupy, kipiátku, nigdy nie myte, za to wylizane do czysta, otrzymane nie wiadomo po kim. I jeszcze jedna rzecz, o której warto powiedzieć, a która jest aktualna od początku naszej ciernistej podróży, tej swoistej golgoty, do samego Władywostoku, permanentnie stosowana: ochrona ma takie długie pałki, zakończone jakby młotkami drewnianymi. Jak tylko pociąg się zatrzymuje, na jakiejś stacji czy na chwilowym postoju - łomoczą tymi młotami z całej mocy w ściany i podłogi wagonu - sprawdzają, czy nie ma gdzieś naruszonych desek. Jest to znowu makabryczna sprawa, bo w czasie jazdy trudno zasnąć, wagony są zdezelowane i przerzucają nas z jednej strony na drugą, a kiedy pociąg zatrzyma się, zaczyna się to łomotanie młotami.

Droga wlecze się dniami, bez końca, nikomu się nie spłészy. Jesteśmy zatrzymywani na długie postoje, przepuszczamy transporty wojskowe na wschód. Myślę że i ochrona nie była zainteresowana pośpiechem, odpowiadała im ta sytuacja. Były to specjalne oddziały NKWD, przeznaczone do transportu więźniów. Na wschodzie zapowiadana jest wojna z Japonią, więc oni wolą transportować więźniów. Tu nie grozi im śmierć ani kalectwo. Prawie wszyscy są azjatycko-mongolskiej rasy i są wyjątkowo bezwzględni i służbiści. Zle mówią po rosyjsku, kalecząc język. Mijani żołnierze rzucają nam chleb i tytoń.

Tak odbywa się droga na wschód przez takie miejscowości, jak Rianzań, Kujbyszew, gdzieś w okolicy Ufy. Co pewien czas robiony jest dłuższy postój, przeznaczony na kąpiel w "bani". Tu zaczyna się teren górzysty, pociąg się coraz bardziej wspina. Dojeżdżamy do Uralu na tereny obwodu Tiumeńskiego. Otacza nas silny zapach ropy, zdala widać płonące szyby gazu. I znowu ciekawostka, która jakby wzrusza trochę: człowiek sobie przypomina z geografii w szkole, że jest na pograniczu Europy i Azji. Mało tego - w pewnym momencie więźniowie rosyjscy, którzy znają te tereny, pokazują nam obelisk, na którym jest napis: EURO-AZJA, koło torów kolejowych.

36

Reagowaliśmy na to żywo, z zainteresowaniem. Mną w pewnym okresie w jakimś sensie, zaopiekował się, ~~zainteresował~~, taki zdegradowany oficer z 10-letnim wyrokiem. Jakieś nadużycia w wojsku, mówiono, że za gwałt był zdegradowany, należał do elity uprzywilejowanej w wagonie. Dowiedział się, że pochodzę z rodziny nauczycielskiej, on też był podobno nauczycielem czy coś takiego, i dzięki niemu mogłem bezkarnie wyglądać przez zakratowane okienko. Zajął się mną. Przez całą drogę dostarczał mi i utrwał w pamięci moc geograficznych informacji. Wyjaśniał, pouczał, ochraniał i uczył języka rosyjskiego. W tym miejscu trzeba stwierdzić, że Rosjanie są wrażliwi na biedę i nędzę. Chętni do udzielania pomocy i współczucia. To konkretne sytuacje życiowe, walka o przetrwanie robi ich brutalnymi i bezwzględnymi.

Jedziemy więc ciągle na wschód. W Czelabińsku mniej więcej 26 maja znowu jest dłuższy przystanek i znowu łaźnia. Jest pole-  
*wszystkiego*  
cenie zabierania ze sobą, wagony są kontrolowane na sprawność. Po dwa wagony wyładowują, ustawiają nas przy wagonach. Odbywa się to według utartego szablonu, tak samo jak wcześniej. Zostajemy odprowadzeni do łaźni, gdzie odbywa się golenie, mycie w cebrzykach drewnianych - i z powrotem do wagonu. Transport jest bardzo długi. Nazbierało się bardzo, dużo wagonów, bo i z Orszy, i z Lidy, i ze Lwowa, później z Moskwy. Przypuszczam, że było około 100 wagonów, a nawet więcej.

Łaźnia w Czelabińsku, załadowanie do wagonów i znowu droga na wschód. Tory są pojedyncze, w związku z czym transport prze-  
latuje etapami od depa do depa, gdzie są wymieniane i doczepiane parowozy - z przodu i z tyłu pociągu. Bo transport jest bardzo długi. W niektórych miejscach są mijanki. Mijamy pociągi, wagony z otwartymi drzwiami, przeważnie załadowane śpiewającym wojskiem,  
*po rosyjsku beztroskie.*  
Wojska te jadą na wschód, na wojnę z Japonią. Na jednej ze stacji jest zdarzenie, które utkwilo mi w pamięci. Naprzeciw

naszego wagonu zatrzymuje się wagon z jadącą na zachód młodzieżą do odbudowy zniszczeń. Przez kratę okienka dostrzega mnie młoda dziewczyna. Na długą minutę nasze oczy przekazują sobie nawzajem informacje - jej współczucie, moje zachwyt jej „krasotą”. W końcu dziewczyna zaczyna śpiewać jakby z żalem. Utkwiły mi w pamięci pierwsze słowa zwrotki? "Młodoj parniszka, zaczem ty za reszotkuj popał, moje sierce za tobój rewonit". Mój opiekun śmieje się ze mnie, tłumaczy: "nie skuczaj, wydzierzysz". Wagony ruszają, moje oczy chciałoby je zatrzymać, w duszy pozostaje jakaś pustka i krzywda.

Mijamy też pociągi jadące na wschód, załadowane maszynami i różnym sprzętem, różnym dobrem z Niemiec i z Polski, z podbitej i pokonanej Europy. Mało tego - spotykamy po drodze bardzo dużo wagonów z polskimi napisami PKP itp.

Tu zdarzył się wypadek zakucia w kajdanki naszego starszego wagonu i pozabijania deskami okienek, tak że przez kilka dni jechaliśmy w ciemnościach. Starszy wagonu najpierws przez dwa dni siedział skuty w wagonie, a później zabrali go do "specwagony, coś w rodzaju ruchomego karceru. Dłonie miał sine i wył z bólu. Na ogół przy stacjach kolejowych na Syberii koncentrował się ośrodek handlu i "obszeżycja". Kiedy zatrzymaliśmy się w takim miejscu, otoczyły nasz szajon baby, pytając, co my za jedni. Wtedy któryś z więźniów naszego wagonu odkrzyknął, że to są mężowie, synowie i bracia "waszq, dziewczuszki". No i zaczęło się nieszczęście. Wściekłe baby zaczęły ściągać za nogi enkawudzistów, wrywać im karabiny, bić i krzyczeć, Nie wiem, czym by się to skończyło, gdyby kierownik szajonu nie podskoczył do maszynisty, przyłożył mu nagan do głowy i mimo braku wolnej drogi, szajon ruszył, pozostawiając rozwścieczone baby za sobą.

Gdzieś koło Omska w naszym wagonie zaczyna chorować jeden ze współwięźniów, Polak - Krzywonos, berlingowiec, który pochodził z



terenów dawnej Polski, spod Równego chyba. Zostaje w Omsku, tj. około 4 tys. km od Moskwy, zgłoszony kierownikowi pociągu. A my jedziemy dalej na Krasnojarsk, Tajszet, w stronę Irkucka. Praktycznie od Uralu to już jest kolej transsyberyjska. Pojedyncze tory, od depa do depa. "Depo" to jest węzeł kolejowy naprawczy i remontowy, na którym wymienia się wagony i lokomotywy. Prawie cały czas pojedyncze tory, aż do Władywostoku.

W Irkucku, mieście zbudowanym przez zesłańców z różnych okresów historii i powstań narodowych Polski, jest znowu "bania"; to jest już połowa czerwca. Bania odbywa się tak jak poprzednio: we wszystkich tych miejscowościach są takie mini obozy, to znaczy teren otoczony "Wyżkami", baraki łaźnie. I jacyś miejscowi więźniowie obsługują nasz transport, gołą, dostarczają wody, poganiają.

Trudno mi określić, ile wagonów było załadowanych kobietami, a ile mężczyznami. Obsługa była wyłącznie męska, i dla kobiet, i dla mężczyzn.

Warto tu wspomnieć o dwóch sprawach: pierwsza to chleb, jaki otrzymujemy, jest w różnych kolorach, siny, czarny, czerwony, biały w zależności, przez jaki kraj przejeżdżamy. Druga, to rozwarstwienie "kozerków" - daszków czapek, na cienkie bibułki do pisania wiadomości i wyrzucania na zewnątrz przez okienko, na stacjach. Grafit z ołówka to było podstawowe wyposażenie rasowego więźnia. Papierki te służyły również na skręty machorki. Głównie wszyscy Polacy mieli później czapki bez daszków, bo daszki były duże z kartkami w środku.

Następuje spotkanie z geografią i historią rodzinną - około 7 tysięcy kilometrów od domu nad jeziorem Bajkał. Ponieważ u mnie w domu ciągle pokutowały pewne tradycje z okresu powstania 1863 roku, odżywa to wszystko, kiedy wjeżdżamy nad teren nad Bajkałem. Skały wiszą nad samym jeziorem, nad torami i całym szlakiem. W tych skałach są wykute tunele; tuneli jest ponad pięćdziesiąt.

30

Wyjeżdża się z jednego tunelu i wjeżdża w drugi. W chwilach, kiedy pomiędzy jednym tunelem a drugim jest trochę światła - widać wykute na ścianach przez więźniów napisy - nazwiska katorżników, więźniów, którzy te tunele budowali. Poza tym widać drzewa rosnące jakby prawie równolegle albo pod niewielkim kątem do jeziora, ponieważ cały brzeg jest stromy, prostopadły do lustra jeziora. A my jedziemy cały czas wzdłuż tego brzegu. Jakieś małe stacyjki, na których, gdy się pociąg zatrzymuje, ochrona kupuje sobie od miejscowej ludności - "buriaków" - zupę rybną w miskach i ryby smażone nad ogniskiem. Tu, na zabajkale, zetknąłem się z "uchą" z ryb bajkalskich. W tych dniach otrzymaliśmy bałandę o zapachu rybim, widocznie kucharz zaprowiantował się na którejś stacji u miejscowych rybaków.

I znowu ciągle dalej na wschód. Ułan-Ude, Czita, do Skorowodino. Mój przyjaciel - oficer, pokazuje mi w niedalekiej perspektywie granice Mongolii, a później Chin, w odległości około 100 km. Jest koniec czerwca. W Skorowodino znowu łaźnia, powtarza się cała procedura. W podróży z daleką przez zakratowane okienko widać stepy Mongolii, a nawet daleko we mgle - góry.

Wreszcie gdzieś w końcu czerwca i na początku lipca, ocierając się prawie o granicę z Chinami - Mandżurią, dojeżdżamy do Chabarowska, gdzie transport się zatrzymuje. Tutaj znajdował się główny zarząd NKWD i Krajowy Sąd na cały "dalnyj wostok" - tak mówili więźniowie Rosjanie.

Z Chabarowska I wagony są przetransportowywane barkami przez rzekę Amur do Chabarowska II. Tak sobie to kojarzę, bo nie było tam mostu. Nie wyładowano nas z wagonów, tylko po dwa-trzy wagony szły na barki sprzężone ze sobą i przeciągane mechanicznie na drugą stronę. Mówiono, że w Amurze jest dno ruchome - wędrujące piaski; nie wiem, czy to prawda.

Powoli zbliżamy się do Władywostoku. Jedziemy wzdłuż Amuru,

po drugiej stronie jest Mandżuria. Kojarzę ją sobie nie z "sopkami", lecz z olbrzymią tajgą.

Po 6 miesiącach i po przebyciu około 12 tysięcy kilometrów dowożą nas do Nachodki. W Nachodce następuje rozładowanie transportu. Tory kolejowe dochodzą prawie do bram obozu. Obóz leży nad zatoką w pobliżu portu i rozległych magazynów.

Kolumny więźniów zostają przetransportowane do obozu w Nachodce i przejęte przez władze obozowe. Tu też dowiadujemy się, że podobno naczelnik konwoju (transportu) był sądzony za sprzedawanie po drodze ~~produkta~~ produktów przeznaczonych na pożywienie dla więźniów. Racje żywnościowe były wyjątkowo małe i tylko raz dziennie. W Nachodce jestm tylko dwa dni. Formują transport gdzieś do budowy drogi i trafiam do tego transportu. Ciężarówkami wywożą nas na zachód, jakby w stronę Mandżurii, Amuru, jakby z powrotem pod granicę z Chinami. Zatrzymujemy się w obozie budowlanym. Buduje się tu drogę w tajdze, docieramy do dużego jeziora w lasach. Obóz nie ma charakteru obozu zamkniętego, strzecie obozu z wieżyczkami, wyżkami, "zoną", terenem zamkniętym, nie ma baraków. Są najczęściej "pałatki (namioty). W tych pałatkach nocujemy i mieszkamy. Są tutaj już inni więźniowie, budujemy drogę w tajdze. Spotykamy tutaj grupy - brygad Japończyków, Chunchuzów tubylców i Chińczyków. Oni jakby izolują się od pozostałych, są bardzo solidarni między sobą. Nie ma brygad mieszanych, np. polsko-japońsko-rosyjskich, tylko są jednolicie japońskie. Zdaje się, że oni to sobie jakoś wywalczyli, poza tym byli chyba na warunkach jeńców wojennych, nie więźniów, nie „zeków”.

Obozy są przesuwane w głąb tajgi w miarę budowy drogi. Praca polegała na ścinaniu drzew, układaniu ich w poprzek, zasypywaniu ich ziemią, a na terenach bagnistych - topieniu ich tak głęboko, aż teren się utwardzi, przestanie być grzęzawiskiem. Norma ścięcia lasu na jednego więźnia z siekierą wynosiła 6 kubametrów, na piłę była podwojona. Tu też warto powiedzieć o pewnej przebiegłości

41

zeków. Do składania <sup>saqu</sup> ściętych drzew wybierało się jakąś górkę, wzniesienie, i okładało ściętymi kłocami, tak aby nie spostrzegł tego "Nymérowszczyk". Aby zużyć mniej sił, a wykonać większą i szybciej normę. I tak do przodu i do przodu. Trwa to dla mnie osobiście niezbyt długo, około trzech tygodni. Zostaje znowu stamtąd zabrany do Nachodki. Ten krótki epizod kończy się. Stamtąd najlepiej zapamiętałem fatalną sytuację w samej tajdze, ponieważ było gorąco i zerała nas „meszka.” Dostawaliśmy wprawdzie worki z siatką - moskiterie. Trzeba było jednka i rękawy zawiązywać sznurkiem i wkładać rękawiczki, bo chmury meszki wciskały się w każdy otwór. Było strasznie duszno, człowiek się pocił, omdlewał z gorąca. Jeśli na chwilę uniosło się moskitierę, w usta wpadały całe roje meszki i wypluwało się krwawą miazgę. Dostawały się w każdą możliwą szczelinę, były maleńkie jak łepiek szpilki. To mi się utrwaliło w pamięci. Wilgotne, duszne parne powietrze, temperatura dochodziła chyba do 50 stopni Celsjusza. Jedzenie dawano nam tam w czasie pracy, dostawaliśmy bałandę z „czumizy”, jakiś chleb - i to wszystko. Nawet nazwy mi się nie kojarzą, po prostu była to tajga. Jeszcze jedno - brygady japońskie były bardzo zgrane, pracowali zespołowo. Jeśli złapali węża, to obdzierali go ze skóry i po małym kawałeczku dzielili i zjadali na żywca.

W Nachodce po powrocie przez pewien czas znajduję się w olbrzymiej "przesyłce". Spotykam tam między innymi kolegę z wagonu, Edka Wielgopolana, spod Warszawy, spod Legionowa, który potem zmarł w "dajmanie" na moich kolanach. Trzymamy się razem. Jedzenie przywożą do tej "pieresyłki" z zony roboczej. W ogóle był to jeden wielki obóz, podzielony na zony. Zony były cztery: zona kobieca, (z daleka nawet krzyczeliśmy - krzykiem można się było porozumieć, chociaż nie pozwalano), między zoną kobiecą a męską była zona szpitalna, jakiś lazaret, i wreszcie obóz - zona robocza, skąd do "pieresyłki" przywożono bałandę i chleb.

112

Więźniów było bardzo dużo. Trudno mi powiedzieć dokładnie, ale mówiono, że kobiet jest około 20 tysięcy, a nas w momentach nasilenia 20 - 30 tysięcy. Były to olbrzymie tereny i był olbrzymi bałagan na tych pieresyłkach. Ochrona praktycznie rzecz biorąc gubiła się w tym liczeniu, w "szczocie" tego wszystkiego. Codziennie były inne wyniki, ludzie ginęli, popełniano morderstwa. Tu już zaczęły się wytwarzać pewne elity więźniów, grupy wzajemnej adoracji. Grupy uprzywilejowane: bandytów, złodziei, „błatnych, urków, suk”. Tworzyli samorodną władzę wewnętrzną obozu, praktycznie byli panami życia i śmierci na całym terenie "pieresyłki". Ochrona w zasadzie nie wchodziła nawet do środka, tylko w czasie "powierek", liczenia. Ale też tylko na główny trakt, od bramy prowadzący w głąb obozu, gdzie się ustawiały kolumny więźniów. A relacje zdawali ci właśnie urkowie, bandyci, naczelnicy poszczególnych baraków. Bo oni praktycznie byli wewnętrzną władzą obozową, baraku. W baraku było przeciętnie więcej, niż sto osób, liczby były płynne. Byliśmy stłoczeni do granic możliwości. Działy się tam różne straszne rzeczy, walka, kiedy rozdawano bałandę. Starszy baraku dostawał na barak beczkę bałandy, rozgotowane mamałygi lub sonej czumizy. Wokół siebie miał całą "pryduńnię szęściorek" więc w pierwszej kolejności im nalewał olbrzymie "parasze". Były to puszki po konserwach łączone sposobem blacharskim jedna na drugiej. A my staliśmy stłoczeni w kolejce, pozerając wzrokiem każdy wylewany czerpak do naczynia błatnego lub jegodniewalnego - kochanki. Władze obozowe nie troszczyły się o wyposażenie zeka w naczynia osobiste. Skazany musiał sam zorganizować sobie łyżkę, „posudę”, igłę i nici. Zrobić lub ukraść. Na przykład igły były robione z drutu, który bardzo długo trzeba było szlifować o kamień. Nici wypruwało się z zużytych szmat. Drugi koniec igły rozklepywało się , a następnie drugim , bardziej twardym drutem długo przewiercało się otwór. Na produkcji tych narzędzi można było zarobić, były one towarem wymiennym. Naczynia te były głównie puszki po konserwach, ale jak ktoś nie miał i tego, to nadstawiał ręce, czapkę i co tylko się dało, żeby

wychlipać tę gorącą zupę. Oczywiście, od razu trzeba było z tego pić, jak najszybciej, chleb zjeść - bo były wypadki na porządku dziennym, że człowiek się odwrócił i już jedzenia nie miał. Wyrywano mu to, zabierano i zostawał bez jedzenia. Działy się tragiczne rzeczy. Myśmy się trzymali razem z Edkiem Wielgopolanem, wspomagaliśmy się jakos wzajemnie i broniliśmy, byliśmy silnymi chłopcami.

Po rozdaniu bałandy z beczki cała chmara "dochadziaków" - więźniów już starszych, rzucała się na tę beczkę, żeby rękoma wygarnąć jeszcze resztę - to co zostało na ściankach beczki. To były krwawe walki, niektórzy "starsi" wyznaczali więźniów do mycia beczki i naczyń swoich i kumpli; to był wymarzony przywilej. Wodę dopłynęła do zony w beczkowozach.

Były i inne sprawy tragiczne: niektórzy więźniowie, błatni, zaprzyjaźniali się z młodszymi więźniami z małymi wyrokami do lat pięciu lub ośmiu. Zaprzyjaźniali się z nimi na narach, jakąś lepszą bałandę im dawali,ypytywali o całą ich historię, za co byli sądzeni, z jakiego paragrafu - w ogóle przyhołubiali. I w pewnym momencie taki młody facet zniknął, a potem odnajdywano go pod narami zaduszonego. Motywacja? Bałagan na "pieresyłce" był nie do opisanania. I taki błatny podszywał się pod zamordowanego więźnia z małym wyrokiem i z jego wyrokiem szedł potem w transport. W ten sposób to się odbywało. Te magabryczne historie zdarzały się młodocianym więźniom z małymi wyrokami, naiwnym, nieumiejącym się przystosować do życiowej sytuacji. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło., moje 15 lat wyroku nie było dla nikogo pokusą.

Niektórzy więźniowie, powodował to głód, przeważnie starsi, robili sobie woreczki z kieszni", wkładał taki pajkę chleba do woreczka i drobił po trochu, żeby na dłuższy czas oszukać żołądek. I robił podstawowy błąd, bo najczęściej odbierano mu zaraz tę pajkę, albo - jeśli zachował ją sobie na noc - rano budził się bez tej pajki i bez woreczka. Straszny był los ludzi starszych, słabych, niedołączonych, w tym okresie jeszcze te niedole odczuwałem boleśnie, bolała mnie

ich tragedia. Byli to ludzie skazani z góry na rychłą śmierć. Ale dlaczego musieli przejść przez takie męczarnie i upodlenie, przez to wspólne nam wszystkim piekło.

Zdarzały się różne: znęcania się, bicia, samosady, w ogóle królowało bezprawie na "pieresyłce". Z homoseksualizmem tu się jeszcze nie zetknąłem, dopiero w obozach na Kołymie.. Jeśli chodzi o ubrania, to już nie było co kraść. Wszystko już zabrano, ja praktycznie od czasów Grodna byłem w łachmanach. Były to cztery podstawowe rzeczy: tleżogrejka, watowane bruki, uszanka, dziurawe buty. Nigdy nie miałem żadnej bielizny, koca czy pościeli. Zresztą byłyby one dodatkowym siedliskiem wszy i pluskiew..

Co pewien czas na wachtę przychodzili "kupcy" i brali więźniów do różnych robót. Dlatego niektórzy z nas kręcili się stale w okolicach wachty. Udaje mi się dostać razem z wWielkopolaninem do takiej grupy do obozu roboczego. Umieszczono nas w baraku brygad pracujących, skierowano do pracy na przystani w magazynach jako "gruźczyki", do ładowania okrętów. Te wyjścia z "pieresyłki" były bardzo ryzykowne. Nikt z góry nie wiedział, gdzie będzie poprowadzony do pracy. Ale ryzyko stało się częścią mego życia.codziennego. Niektóre grupy były brane do budowy mola morskiego. Nachodka była w tym okresie rozbudowywana i budowana. Z budowy mola bardzo często przynoszono więźniów nieżywych, zabitych, pokaleczonych przez obrywające się skały . Brzeg był zrywany dynamitem, stąd ryzyko. Można było się dostać do takiej brygady. Myśmy akurat mieli szczęście w tym całym nieszczęściu: przez pewien czas pracuję właśnie jako "gruźczyk". Tu trzeba wyraźnie podkreślić, że czynnik żutu szczęścia był i jest w moim życiu decydujący. Nie darmo mi mówiono że urodziłem się w czepku.

Przebywam w roboczej zonie. Właśnie w tej zonie odbywa się łaźnia. Z "pieresyłki" przychodzili tu więźniowie bafakami, tu się myli i golono ich. Robili to więźniowie zatrudnieni w roboczej zonie

Myły się tam również i kobiety. "Sanobrabotka" odbywała się w ten sposób, że wchodziło się na ławę i ci mężczyźni, pseudo-fryzjerzy, ("polikmacherzy") golili brzytwą do gołej skóry głowy, wygalali pachwiny z jednej i drugiej strony u dołu i u góry pod pachami. My przechodziliśmy po ławce, a oni siedzieli wzdłuż tych ławek i golili. Staliśmy w rozkroku. Tak samo mężczyźni i kobiety. Stamtąd oczywiście wszyscy wyskakiwali pokrwawieni, bo brzytwy były różne, nikt ich specjalnie nie ostrzył, tylko - ciach, ciach! Kępki włosów zostawały, nikt się tym specjalnie nie zajmował.

Pracuję więc jako "gruźczyk" i to jest krótki okres mojego lepszego życia. Dlaczego? Dlatego, że przy tym ładowaniu czy rozładowywaniu okrętu można było się najeść. Przykładowo: stawiali otwarty worek cukru gdzieś na trapie, na górze, i drugi na dole w magazynie. I kiedy z workiem biegło się na dół, brało się garść cukru i zjadało po drodze. Na dole odbierali worek z pleców i ładowali w magazynie w ~~ks~~ sterty. Tam znowu brało się garść z drugiego worka i szło pod górę. Czyli "gruźczyk" mógł się pożywić. Oczywiście w pierwszej fazie następował rozstrój żołądka, biegunka, bóleści itp. No i drugą sposób, wymagający pewnej pomysłowości, ale niebezpieczny. Kiedy się niosło skrzynkę z konserwami, to się specjalnie jakoś rzucało, strącało z ramion, niby niechcący, wskutek wypadku przy pracy, tak żeby się rozbiła. Wtedy była możliwość kradzieży, tworzyły się do tego specjalne spółki więźniów. Otwierało się puszki i jadło. Tu był też taki tragiczny epizod, a mianowicie kiedyś przy ładowaniu okrętu trafili więźniowie na jakieś beczki z mazią, popróbowali z wierzchu - słodkie. Od razu zaintrygowało to wszystkich, odbili z jakiejś beczki denko. Spróbowali: słodka ciecz, jakby wino. Zaczęli to pić; okazało się, że był to jakiś płyn niezamarzający z gliceryną. Oczywiście, nastąpiło silne zatrucie, konsekwencją była śmierć.

W niektórych magazynach pracowały kobiety, mianowicie "na tytoniu"



przy jego rozładowywaniu i jakichś lżejszych pracach. Następowala więc wymiana zdobytych produktów na tytoń. Najciężej było, gdy się trafiało na brygady rozładowujące sól, węgiel czy zboże, bo taka praca nie dawała żadnych korzyści. Ale ich też dokarmialiśmy - tych, którzy tam musieli pracować.

Również bardzo ciężka praca była przy ładowaniu <sup>na okręty</sup> bali leśnych przeznaczonych na eksport. Na tych pniach więźniowie pisali listy - wiadomości o obozach i więźniach - dla „wolnego” świata.

Polacy nie tworzyli oddzielnych grup na tamtejszych „pieresyłkach”, jak to było u Ukraińców i innych narodowości - ich scalał język rosyjski. Grupy podstawowe to były urki. Myśmy sobie wszyscy zdawali sprawę, że jesteśmy w ciągłej „pieresyłce”. Z dnia na dzień wszystko to się zmienia, w związku z tym kojarzenie jakichś grup nie mogło następować. W tym życiu zeka nic nie jest stałe, nic nie trwa zbyt długo, na nikogo nie może liczyć, zawsze jest samotny w swej walce o przetrwanie.

Owszem, były fakty, że Ukraińcy lub inne narodowości rosyjskie na bazie języka rosyjskiego, kojarzyli się razem. Były też nagminne nagonki na Polaków, dziwne, że głównie na Polaków. Ale jednak, na przykład na Czechów, Węgrów czy Rumunów nie tak jak na Polaków. Tamci, to znaczy Czesi, Węgrzy, Rumuni czy inne europejskie narodowości najgorzej znosili codzienny trud, katorżnicze życie obozowe, najszybciej zostawali dochodziagami i umierali. Było ich znacznie mniej. Pobyt w Nachodce trwa gdzieś do końca lipca. 25 lipca zostajemy z żony robotniczej przetrzuceni do „pieresyłki”, bo szykuje się transport na Kołymę. Może to było trochę później, na początku sierpnia 1945 r. Ponieważ większość dokuczała głód, bo pajki były tragicznie małe, panowała psychoza wyjazdu - choćby na Kołymę. Tym bardziej że szła fama, nie wiem czy specjalnie rozpowszechniania, że na Kołymie to jest życie! że tam się pracuje, ale jeśli normy są wykonywane, jest dobre jedzenie. Jest biały chleb, są zupełnie inne, znośne warunki. W pierwszym okresie był tam rzeczywiście biały chleb,

z mąki dostarczanej przez Amerykę za złoto i inne produkty wydobyte przez "zakluczonych". Więc ludzie już chcieli się dostać do tego transportu, a głównie ci, którzy żyli w chaosie i bezprawiu "pieresyłki". Stresznych i prawdziwych wieści o Kołymie nie byłoby, odwrotnie! Przypuszczam, że dobre wieści były tendencyjnie rozsielane, aby zachować jaki taki spokój, bo ostatecznie to były tysiące ludzi, utrzymywane w rygorze tylko dzięki karabinom i bezprawiu więźniów kryminalnych. A pozbawieni hamulców ludzie-więźniowie są straszeni. Działają tylko specyficzne niepisane prawa obozowe, które są okrutne, w których życie człowieka jest najmniejszą wartością.

Przychodzą ci, którzy mają nas odebrać. Znowu odbywa się wywoływanie, określanie siebie - swoich danych, to co było zawsze na porządku dziennym w takich okolicznościach. I przechodzenie na drugą stronę bramy-wachty, siadanie na ziemi i czekanie aż zbierze się odpowiednia kolumna. Kolumny nie były specjalnie duże. Prowadzono nas piechotą do brzegu morza, zatoki. Tam zostajemy zakładowani na barki i tymi barkami przetransportowani na okręt, który stoi dużo dalej, na morzu. Nie przypominam sobie nazwy statku, wiem na pewno, że był to statek towarowy, nie pasażerski. Wprowadzili nas na pokład, a następnie, schodami, raczej drabiną zrobioną dość prymitywnie z desek w dół pod pokład do „trumu”. I siedzieliśmy w tym „trumie” całą drogę od Władystoku do Magadanu; była to olbrzymia ładownia. Stąd mogę domniemywać, że był to statek towarowy. Ubikacja zbita z desek przy burcie była na pokładzie. Trzeba było prosić „bojca” pilnującego, aby móc wyjść na pokład żeby się zakatwić. To był też moment złapania powietrza; starali się z tego korzystać więźniowie, mimo zabrania przez ochronę. Więzień darł się w niebogłosy: „Grażdanin naczalnik, żywot balit, rozreszy posierić!”, a naczalnik: „niełzia, sieri w briuki”. Wreszcie za którymś razem bojec wspianałomyślnie pozwalał.

I tu się działy tragiczne rzeczy, bo we wszystkich narastała już agresja ! Kiedy po "leśnicy" schodach schodziliśmy do tego trumu, niektórzy więźniowie z dawnych terenów polskich- wileńskie, lwowskie- byli bardzo zasobni, mieli jeszcze worki z sucharami, cebulą, czosnkiem oraz słoniną i kiełbasą już śmierdzącą. Także różne pamiątki i cenne rzeczy które dostali z domów, a które można było zamienić na żywność. Tu przy schodzeniu na dół współwięźniowie po prostu rozpruwali im te worki. Zawartość się rozsypywała, a wtedy wszyscy się rzucali i rozdrapywali, co się dało. Tu nie było już miłosierdzia, poczucia, że ktoś jest starszy czy słabszy. Nie. Tu każdy walczył, żeby zdobyć coś do jedzenia i napełnić swoje brzucho.

Ja w swej całej karierze zeka nie zostałem urkiem ani błatnym bo mnie nie wtajemniczono i nie akceptowano, ale już tu przy załadunku na okręt w Nachodce zaczęłem kraść. Właśnie tu między innymi kiedy urki rozpruwali worki tych z Białorusi, Litwy i Ukrainy, którzy mieli produkty żywnościowe i jechali z pełnymi sunkami, a nic nie można było od nich wyprosić.

Powodował to głód. Głód, głód, głód. Od Grodna jestem wiecznie głodny. Panują nade mną dwa czynniki, kierują moim działaniem- wieczny głód i wieczny strach, że tego dnia nie uda mi się przeżyć. Strach, że mogą mnie zabić, zatłuc, że ja nie wytrzymam tego głodu, że umrę. Nadzieję straciłem kompletnie. W ogóle już przestałem myśleć o powrocie do domu. Nie wierzyłem, że kiedykolwiek wrócę do swoich. Przecież Kołyma to najcięższe łagry Związku Radzieckiego. Stąd się nie wracało na materik. Owszem, było bardzo dużo Polaków, ale trudno mówić o jakimś podnoszeniu na duchu. Byliśmy zazwyczaj, zmaltrretowani i osamotnieni w nieszczęściu. To była walka o przetrwanie. Była indywidualna egoistyczna walka o przetrwanie dnia. Nie o przetrwanie w ogóle, lecz o dzień dzisiejszy.

Po drodze do ubikacji, stała beczka z kiszoną kapustą. Idąc na pokład, kiedy "bojec" się odwracał, kradło się ją z narażeniem życia. Łapali ludzie ją i już w ubikacji, mając pod sobą rozkołysane morze wpychali w usta zjadając bo każdy chciał zapełnić żołądek. Ja też oczywiście korzystałem z okazji i

49

brałem w tym udział. Tu trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że następowala we mnie przemiana. Z domu wyniosłem uczciwość i prawdomówność przemieniłem się powoli w człowieka, który już zaczynał kłąć. Przeżykałem te kwieciste tasienkowe wyrazy z wewnętrznym oporem, ale już potrafiłem kraść, już zacząłem rozumieć kszyczystość języka rosyjskiego, zresztą dość łatwo go opanowałem, oczywiście, na razie z akcentem polskim. Z tego też powodu stale mnie nazywali "pszekiem", faszystą i "pszekiem". Nazywali nas "pszekami", bo to "szepuczy" język. "Wy, polaczki, jak żnijsie macie język, szepuczy". "pszeki" jesteście. Następuje więc przemiana w człowieku, zaczynam powoli, stopniowo, z oporami asymilować się. To jest tak, jak wśród ptaków. Jeśli ptak obcy, bardziej kolorowy, wyrwał się z klatki na wolność, to inne go zadziobią. Tak samo i tu byk: jeśli człowiek wyróżniał się w tej masie ogólnej, to stawał się ~~na~~ obiektem ataku innych. Agresywność narastała samoistnie pod wpływem istniejących warunków życia.

Załadowano trum, tzn. te ładownie, po pewnym czasie, chyba dzień, do dwóch, statek rusza. Płyniemy. Płynęliśmy prawdopodobnie około siedmiu dni w drodze były dwa wypadki. Pierwszy. Zostaliśmy zatrzymani w drodze przez Japończyków przy Wyspach Japońskich w cieśninie Laperousa. Wtedy właśnie przykryto wejście do ładowni jakimiś plandekami. Ochrona siedziała na trapie zejściowym z odbezpieczonymi pepeszami. Była to prawdopodobnie jakaś kontrola, bo słyszeliśmy rozmowę na pokładzie Rosjan z Japończykami. Nawet była pewna iskierka nadziei, że może nas odnajdą czy coś w tym rodzaju. Przy uszczam jednak, że to było jakieś porozumienie między jednymi a drugimi, że przez tę cieśninę przy tych wyspach statki przepływają bez jakiejś gruntownej kontroli, tym bardziej że był to statek towarowy. Zresztą towary były na pokładzie. A Japończycy widocznie nie byli zainteresowani w znalezieniu czegokolwiek.

I drugi wypadek. Któregoś dnia gdzieś w drugiej połowie drogi złapała nas burza na Morzu Ochockim i przez parę dni kołysanie było tak wielkie, że ludzie leżeli nieprzytomni, niektórzy wymiotując żółcią. Nie mogli już jeść, co nie odstraszało tych, którzy mogli. Gdy spuszczano nam jedzenie, bałandę, to zjadali za tych, którzy nie mogli nic przełknąć. Ja znosiłem burzę względnie dobrze, w każdym razie nie wpłynęła ona na zmniejszenie mojego apetytu i chęci jedzenia. Jadłem więcej bałandy, bo można było skombinować, bo nie wszyscy mogli jeść; jeśli chodzi o chleb, to każdy swoją pajkę jednak chował za pazuchę.

Starsi ludzie oczywiście szybciej się wykańczali. Nałożenie się tych dolegliwości choroby morskiej na wycieńczenie dochodzących spowodowało, że w odstępie chyba dwóch dni zmarło dwóch więźniów w naszym trumie. Gdy ustała burza, która przedłużyła naszą drogę do Magadanu, zostali oni z trumu zabrani na pokład, tam lekarz stwierdził zgon. Wsadzono ich w worek i wrzucono do morza. Przypuszczam, że momentalnie zostali zjedzeni przez rekiny kaszeloty. Wracając z Magadanu w 1953 roku widziałem z pokładu stada rekinów, które za statkiem "szły", zjadając zrzucone z okrętu odpady; byłem wówczas w innych warunkach, już się chodziło po pokładzie.

Wreszcie siódmego czy ósmego dnia dopłynęliśmy do Magadanu. I znowu o ponad 3 tysiące kilometrów jesteście dalej od domu, bliżej Bieguna Północnego. Właściwie okręt prawie dopłynął do wysokiego brzegu w porcie Magadan. Do krainy, w której "Dalstroj" zarządza tysiącami obozów, a jedynym prawem i władzą było NKWD.

Port - wielkie słowo, bo to była właściwie większa przystań rybacka do przeładunku więźniów w 1945 r. Załédwie od 1939 r. Magadan stał się miastem jako stolica obwodu "Dalstroj", obwodu wielkości czterech Polsk - około 15 tys. km<sup>2</sup>. Między statkiem a samym brzegiem było kilka barek, schodziło się ze statku po trał na nie i po nich na brzeg. Gały niewielki ten teren otoczony był

ochroną z psami. Tu były formowane marszowe kolumny. Nie wszyscy od razu zostali z okrętu wyładowani. Kolumny otoczone konwojem z psami odchodziły. Wchodziliśmy pod dość stromą górę na taką jakby płaszczyznę, wyżynę, z której otwierała się panorama miasta. Nie wiem, ile metrów miała ta droga pod górę, stroma bardzo. Była nie brukowana, pełna rozdeptanego błota. Pięliśmy się nią, poganiani przez enkawudzistów i ich psy. Może tam były jeszcze jakieś inne wejścia lub przystanie portowe, w których rozładowywano towar. Nas, cały okręt ludzi, kilka tysięcy chyba, rozładowano tam.

Z tej platformy z panoramą miasta przeprowadzono nas kolumną przez szeroką główną ulicę z domkami po obu stronach. Przypominają mi się chodniki z desek z brzegu ulicy, po których szli "bojcy". W oddali było widać murowane kilkupiętrowe budynki w budowie, z których nawet pracujący tam więźniowie machali do nas rękami. Tą ulicą dotarliśmy za miasto, a właściwie na skraj miasta do łagru, do "pieresyłki". Wpuszczono nas na teren otoczony drutami, ale bez baraków, i kazano usiąść na ziemi, jak zwykle przed przyjęciem do obozu. Napływały kolumny wyładowane z okrętu; były to tysiące "zakluczonych", którzy przybyli tym etapem na Kołymę.

W pewnym momencie padł rozkaz, żeby się rozbierać i skierowano nas już nagich (rzeczy pozostały na ziemi) do łaźni. "Bania" była w barakach, otrzymaliśmy po kawału mydła i szaflik z wodą. Przedte golenie całego ciała: głowa, pachwiny, cały zarost, nie zostawiono ani jednego włoska na ciele. Urkowie przechwalali się, że kobiety i dziewczyny były golone na łyżce, którą wkładał im fryzjer w narządy rodne. Po wymyciu <sup>smrodu więźnia,</sup> ciągle poganiani krzykiem przez obsługę, przechodzimy na drugą stronę "bani" do następnej zony. Nie tam, gdzie zostały rzeczy, lecz do zony z barakami. W tych barakach <sup>kazimonne ubranie,</sup> otrzymaliśmy ciepłe "watne" spodnie, "tiefogrejki", walonki, onuce, rękawice, czapki ciepłe. Wyposażenie bez spodniej bielizny, które zresztą nigdy nie miałem przez 9 lat. Już się zaczynały chłody,

52

więc otrzymaliśmy zimowe umundurowanie. Poza tym, jak się okazało tu właśnie nastąpiło wyposażenie więźniów w umundurowanie więzienne, żeby już w pełnym rynsztunku stawili się w miejscu pracy, gdzie byli przeznaczeni. W moim przypadku - dalej na północ, gdzie z każdym kilometrem przebytej drogi było coraz mroźniej. W dużej mierze ułatwiało to transport odzieży na północ, do prysk i kopalń. Za przełęczą za Spornym przybywało ok. 10°C mrozu.

Zona, w której były baraki mieszkalne, przed naszym przybyciem puste, wypełnione teraz nami, nie była jedyna. Oprócz niej była zona robocza męska i oddzielna żeńska; tam przebywali więźniowie pracujący w Magadanie w różnych "zawodach" - w jakichś rybnych, cegielniach. Poza tym ci, którzy stawiali nowe domy. Zony były dużo mniejsze niż w Nachodce.

W magadanie byliśmy niedługo, chyba trzy czy cztery dni. Nastąpiła selekcja pod kątem sprawności fizycznej, poza tym dostawaliśmy jakieś zastrzyki w ramię. Badania lekarskie odbywały się mniej więcej tak samo jak w Orszy. Tych, którzy już byli wycieńczeni całkowicie, albo kierowano do prac w samym Magadanie, albo w pobliże Magadanu. Były tam podobno jakieś prace w lesie, jakieś sianokosy w sowchozach, coś w tym rodzaju. Nawet potem niektórym "aktyrowanych" na "pryskach" odsyłali do Magadanu na poprawę zdrowia i nabrania kondycji. Później do tego wrócę.

Lekarze w komisji lekarskiej to byli zeki, tylko naczelny "wraz" komisji był wolny. I nawet byli jacyś ludzie, wypytywali a nawet sugerowali różne dolegliwości, ale co można znaleźć u osiemnastolatka? Jeden z nich był chyba ze Lwowa, żyd, rozmawiał ze mną, wypytywał, współczuł mi, że źle trafiłem.

Ani ja, ani mój przyjaciel Wielgopolan, nie byliśmy skrajnie wycieńczeni, "zaszkodził" nam pobyt w roboczej zonie w Nachodce. Chociaż głód doskwierał nam strasznie, bo to już przecież prawie

ponad pół roku na pajce. Jedyńielepszy był okres tej pracy przy "rozgruzowywaniu" w Nachodce, kiedy najadaliśmy się do syta. Ale żołądki sobie rozepchaliśmy, więc teraz było jeszcze gorzej.

Głód to była najstraszniejsza rzecz, później doszły jeszcze inne "zabójcze plagi": straszny mróz i cynka, oraz kryminaliści.

Mniej więcej wtedy zaczęło szwankować zdrowie Wielgopolana, już po tych komisjach kwalifikacyjnych. Dostał jakiejś gorączki, trzęsło nim. Nawet radziłem mu, żeby poszedł do "sanczasti", ale pod tym barakiem były takie straszne tłumy! Nie było mowy, żeby się tam dostać. Szli tam i rzeczywiście chorzy, "dochadzaki", i tacy, którzy starali się tam dostać symulując różne dolegliwości, żeby nie iść do transportu dalej na północ.

Wreszcie któregoś dnia podjechały samochody, tzw. "dajmany". Były to duże przyczepy wielkości wagonu kolejowego. Żelazne pudła na dwudziestu paru kołach, bardzo twarde, amerykańskie, ciągnięte przez również bardzo duży ciągnik-samochód z platformą. Na tę platformę załadowano coś około 30 osób, według zasady jeden drugiemu w rozkroku. Trzy czwarte powierzchni platformy-ciągnika zajęli więźniowie, na pozostałej części siedział konwój. Resztę załadowano do dajmanów - do tego metalowego pudła, ponad 70 ludzi.

Transport ruszył na północ. Pierwsze pociągi, osady, tanto były: Palatka, Atka, Miakit, Ortukan, Spornoje, Debin - wszystko po drodze do rzeki Kołomy. We wszystkich tych miejscowościach były obozy przy kopalniach węgla albo innych minerałów. Były to łagry już "na wysoki połysk", pokazowe, że się tak wyrażę, to znaczy zorganizowane, czyściutkie, z pobielanymi alejkami i barakami. Nie takie, z jakimi zetknąłem się później, na "pryskach" północnych, gdzie tworzyły się nowe obozy. Począwszy od rzeki Kołomy łagry stawały się coraz gorsze, obskurniejsze, z większym bałaganem. Koło tych obozów były zazwyczaj między posiołki "walniaszków". Byli to ludzie, którzy podpisywali kontrakty na pracę



na dwa-trzy lata. Im się liczyło wszystko podwójnie: i pensje, i urlopy. Mieli po miesiącu urlopu na miejscu. Oprócz tego mogli wyjeżdżać gdzieś na południe, na Krym, bo tu zarabiali olbrzymie pieniądze. Stać ich było na to, żeby po trzech latach wyjechać na trzy miesiące dodatkowego urlopu zdrowotnego. To byli tzw. "walniaszki". Pracowali w różnych zawodach: głównie w nad zorze, trochę jako inżynierowie oraz inne funkcje, dużo "normdrowszczyk<sup>ow</sup>"  
Ale byli również i tacy, zetknąłem się z nimi na "pryskach", którzy przyjeżdżali tylko po to, żeby myć złoto i zarobić ciężkie pieniądze. Byli też tzw. półwolni, byli więźniowie, którzy zakończyli wyrok i otrzymali tzw. paszport 32.

W posiołku Jagodnoje rozstałem się na zawsze z Edkiem Wielgopolaninem. Było to w drodze do Ust-Nery, po przekroczeniu rzeki Kołomy. To był chłopak spod Warszawy, z Legionowa, chyba Janek czy Edek. Jego choroba zaczęła się już wcześniej, kiedy ładowali nas na dajmany. Już trzęsała go gorączka, z każdą minutą to się pogarszało. W jakimś posiołku po drodze był kompletnie nieprzytomny. Ponieważ siedział u mnie w kroku, ~~miałem~~ miałem go na rękach, a właściwie na nogach. To nie była krwawa biegunka, według mnie to było galopujące zapalenie płuc. Wysoka temperatura, wypieki, ~~brzdzi~~ brzdzi, nie wiedział co mówi. Już nieprzytomnego zostawiono go po drodze w obozie, nie pamiętam, jak ta miękscość się nazywała. Edek zmarł w posiołku Jagodnoje, a Rogien a prawdą - już w dajmanie na moich kolanach. A skąd wiem, że zmarł? Dowiedziałem się o tym później. Kiedy z Pokryszkina wróciłem na Ust-Nerę i przyjechały następne transporty, dowiedziałem się, że Edek zmarł po prostu pozostawiony w tym obozie. Informacja ustna istniała między więźniami, poczty nie było, ale wszystko mieliśmy dokładnie, no, może czasami w wersji wzbogaconej przez informatora, przekazywane. Był to nie pierwszy i nie ostatni kolega, z którym pożegnałem się na zawsze, tzn. który odszedł z tego świata, lub na inny etap, jak kto woli.

Przekraczamy mostem rzekę Kołymę i jedziemy ciągle na północ. Droga trwa kilka dni, odległość do Ust-Negry, dokąd nas dowieziono wynosi ponad tysiąc kilometrów. W Magadanie dostaliśmy suchy pajok - posiłek na jeden dzień, tzn. chleb i pół "sielodki" - taka była przeciętna dzienna norma wyżywienia.. W związku z tym w tych obozach przy drodze pod wieczór dostawaliśmy jakąś bałandę i jedzenie na ~~na~~ następny dzień. Nocowaliśmy też w tych obozach w pustych, wydzielonych barakach. Noclegi były ze względu na ochronę, która musiała wypocząć znośnie w obozie zamkniętym. Rano załadunek na nowo do dajmanu. Sam dajman wielkości wagonu, sztywny, twardy. Nawet gdyby tam weszło 200 ludzi, nie ugięło by to resorów. Ludzie (około 70, może więcej osób), którzy w nim byli, jechali w żelaznym pudełku, ogłuszeni hukiem. Poza tym piach z przedniego ciągnika walił na dach i przez otwór w dachu do środka tej przyczepy. Więc wewnątrz warunki makabryczne.

Gdzieś do miejscowości Miandza, rozwidlenie dróg na Jakuck, szosa była względna. Posuwaliśmy się na północ cały czas wzdłuż gór Czerskiego. Natomiast za tą miejscowością zaczęła się bardzo niedobra droga. Jechaliśmy jakby na półce góry. Góra była podkopana i obsunięty grunt tworzył jakby półkę, drogę pod kątem 90 stopni do osi góry. Z jednej strony szczyt tej góry, z drugiej - bez dna przepaść. Droga szerokości jednego pojazdu. Mijanki mogły się odbywać w następujący sposób: w skałach wyrąbano wnęki zagłębienia i tu się można było ewentualnie mijać. Z tym, że my przez całą drogę ani razu nikogo nie mijaliśmy, nie było z kim się mijać. Tam nie było żadnego ruchu. W tych wyrąbanych wgłębieniach były również zgromadzone materiały do ubijania tej drogi: skruszona skała, sita, małe baraczki, narzędzia.

Dzień za dniem posuwaliśmy się na północ. Odległości od posiołków wynosiły kilkaset kilometrów. W okolicach Dielankiru

zdarzył się wypadek. Osunął się w przepaść dajman z góry z ludźmi, runęło wszystko, również ciągnik. Chyba drogę podmyła woda, topniejący śnieg, w każdym razie szosa była obsunięta. Wszyscy chyba, a właściwie na pewno, zginęli. Transport nawet nie został zatrzymany, przytuleni do wyrąbanej ściany góry pojechaliśmy dalej, natomiast po przybyciu do następnej miejscowości jakaś ekipa z miejscowego obozu wyruszyła na miejsce wypadku. Przepaść była bardzo głęboka.

Podróż trwała chyba ze cztery dni. Koło 30 sierpnia znaleźliśmy się w Ust-Nerze. Wyjechaliśmy z Magadanu. 27 sierpnia, więc gdzieś na przełomie sierpnia i września byliśmy na miejscu, znowu ponad 1000 kilometrów dalej na północ. Po czterech-pięciu dniach podróży "spłynęliśmy" z gór jakby na taką otwartą przestrzeń w dolinę, otoczoną z trzech stron górami. Mieliśmy jak na dłoni całość posesiada Ust-Nery, nadjeżdżając z góry. W pewnym momencie droga rozwidlała się na "siewiernyj projezd" i "jużnyj". Te dwie ulice obejmowały jakby ramionami cały niewielki posesiadek. W 1945 roku była to nieduża osada, wyróżniająca się kilkoma obiektami. Z prawej strony w oparciu o taki laszek - teren otoczony wyżkami, co się kojarzyło z obozem. Łagier ten jednym bokiem dotykał prawie do małej rzeczki o nazwie Protoka, dopływu Indigirki. Po lewej stronie drugi, znacznie mniejszy teren obozowy, również otoczony wyżkami. Widać też było jakiś wystający komin i drewniane domki, murowanych nie było. Potem się okazało, że były to zabudowania Auto-bazy, gdzie remontowano samochody. Na wprost wysoka góra o obłych kształtach, u stóp której płynęła rzeka Indigirka. Przystań nad rzeką z barkami przycumowanymi do pomostu drewnianego.

Nas skierowano do obozu po lewej stronie, okazało się, że była to "pieresyłka". O drugim obozie opowiem później.

Konstrukcja obozu taka sama jak wszędzie. Pierwsza zona pusta, tam siadamy na ziemi, przejmują nas nieliczne obozowe władze,

przyjmują i odliczają jak zwykle. Cała administracja w tym obozie w 1945 roku jest złożona z "ochry", tzn. z byłych więźniów kryminalnych, którzy albo skończyli wyroki, albo podpisali glejt, że będą pracować dla obozu, w obozie. Wtedy ich zwalniano bez prawa opuszczania tego terenu, ze stałym meldowaniem się w komórce NKWD.

W 1945 roku struktura obozowa wyglądała nieco inaczej niż np. w 1949 roku. Po utworzeniu obozów specjalnych w 1948 roku dla politycznych, tzw. specłagrów, na czele obozu stał zazwyczaj komendant enkawudzista. W tym czasie Naczelnikiem "Dalstroju" był gen. NKWD Goglidze.

W głównej administracji był też tzw. KUM, prokurator, który mógł sądzić, dawać wyroki, przedłużać je - też enkawudzista. Ponadto był jeszcze jakiś komendant wojskowy, stojący nad wojskami specjalnymi NKWD oraz najczęściej wojskowy lekarz. Przez cały czas to było NKWD. Po 1945 roku bardzo powoli zaczęło przybywać tu wojsko i było trochę inaczej. Uzbrojona ochrona - też enkawudziści - i wojsko ze służb specjalnych, ale w niewielkich ilościach, obielili we władanie łagry kałymskie w 1949 r.

W 1945 roku pilnowali nas byli więźniowie, "ochra". Wojska jeszcze nie było, bo było na wojnie i w zawojowanych krajach Europy i Azji. Wewnątrz obozu była administracja więzienna, złożona z zeków - błatnych. Główną postacią wewnątrz obozu był "naradczyk", człowiek odpowiedzialny za wszystkie sprawy w obozie. Na nim opierała się władza komendanta, z nim tylko prowadzili rozmowy, przez niego wydawali rozkazy. Miał on całą "psiarnię" różnych pomocników, którzy pełnili jakieś funkcje. To wszystko byli uprzywilejowani więźniowie, w tym czasie najczęściej i w większości - kryminalni. Praktycznie dopiero po 1945 roku zaczęli napływać polityczni, "inostrancy". Podział na obozy kryminalne i polityczne - specłagry, został przeprowadzony w 1948 roku. Polacy, Węgrzy, Rumuni, Niemcy i inni - z Mandżurii, Chin, zostali

wtedy wydzieleni do "specłagrów". Napływowó obcokrajowcy liczyli się jako polityczni. Owszem, byli polityczni Rosjanie ale to była osobna kasta. Ludzie sążeni za pseudosabotaże, "bełtuni" po statii 58-10", za zbieranie pokłosia, oskarżeni na podstawie donosów - czasami najbliższej rodziny, ludzie z Armii Czerwonej, różni niewygodni dla ich miejscowych władz. Sporo było więźniów Rosjan, których sądziło "osoboje sowieszczanije", zaocznie, przedłużając wyrok w nieskończoność co parę lat.

Cała "psarnia" naradczyka to byli więźniowie "przydurki", stanowili dużą część administracji wewnątrz obozu. To był: "powar, chleborez, sapożnik, dniewalni" lekarz. No i w baraku byli starsi baraku i "dniewalni". Wokół tych ludzi jeszcze "psarnia", "przydurki", którzy w jakiś sposób wymigiwali się od pracy. Żyli w jakiejś zależności od tych głównych postaci, byli na ich usługach i posługach. Wytwarzały się układy, zależności, ważność zależała od funkcji. Powiedzmy, "powar" był ważny, bo miał dostęp do jedzenia. Robił lepsze jedzenie dla "naradczyka i chleboreza" na który kroił chleb. "Sapożnik" robił im lepsze buty, obowiązkowo z cholewami w harmonijkę i walonki. Wytwarzała się elita obozowa. Taki jeden z drugim chciał chodzić w lepszych walonkach, eleganckich. Z kelei naradczyk nie wysyłał go na robotę, był w jakimś sensie uzależniony od "sapożnika" itd. Brygadzysta z roboczej brygady dostarczał złoto na pokrycie normy za "przydurków".

Co innego zresztą na "pieresyłce", a co innego na "prysku". Tam, na "prysku", najważniejsze było to, żeby nie być wysłanym do "zaboju", do roboty w kopalni czy przy złocie na "proizwodstwie".

Każdy chciał zostać w obozie. Zależało to od "naradczyka", w związku z tym był on bogiem i carem w obozie. "Naradczyk" rozliczał się przed naczelnikiem łagru. Poza tym była cała ta społeczność "błatnych", "suk" i "przydurków", którzy nie pracowali. Ich się nawet "naradczyk" bał, musiał się z nimi liczyć. To była

53

zupełnie inna elita obozowa. Kasta więźniów, którzy starali się być niezależni. Czasami uginali się przed władzą najwyższą - enkawudzistami, ale nie obozową. A onimrównież w jakiś sposób się dzielili: na tzw. "błatnych" i "suki". "Błatnyje" to byli tacy, którzy nie szli na żadną współpracę z władzami. Natomiast "suki" - od tego pochodziło to ich przezwisko - wchodziłi w układy z władzami wewnątrzobozowymi i administracyjnymi. Wchodzenie w układy polegało na pójściu do pracy i tam pełnieniu jakiejś funkcji nad innymi więźniami, brygadami.

Bardzo często władze administracyjne obozu w imię zachowania spokoju wewnętrznego w łagrzech pełni akceptowały żądania i niepisane przywileje "błatnych". Kiedy w danym łagrze zebrało się zbyt dużo "błatnych", władze organizowały nadzwyczajne etapy w celu pozbycia się uciążliwych więźniów. "Błatnyje" byli praktycznie niezależną władzą obozową. Odmawiali jakiegokolwiek pracy. Potrafili chodzić z zaciśniętą dłonią tak długo, aż im paznokcie wrosły w ciało, żeby udowodnić, że on taczki ani kilofa czy łomu nie weźmie do ręki, ani łopaty, ani "kajka", ani żadnej rzeczy, która znamionuje pracę. Na tym tle były olbrzymie antagonizmy między "błatnymi" a "sukami". Dochodziło do wojny. W zależności od tego, jaki obóz był bardziej opanowany przez "błatnych" czy przez "suki" - zawsze jedni musieli być podporządkowani drugim. Dochodziło do morderstw, do krwawych rozpraw. Wiadomości i wyroki były przekazywane do drugich łagrów, gdy skazany salwował się ucieczką, i tam dokonywano egzekucji.

Jeżeli na przykład "błatnoja" zdradził jakieś układy wewnętrzne to zbierała się "dintojra" - sąd starszych więźniów, przywódców, i w sposób demokratyczny, według "zakonu", ustalała wyrok. Na przykład zatłuc go "kajkiem" czy "kociorożkami", "szfabrą" (taką pałką do mycia belek podłogowych, na którą się przywiązywało szmaty). Tym bili tak długo, aż zabili, jeśli w jakiś sposób

60

"zsuczył się" albo zdradził lub złamał niepisany, ale obowiązujący "zakon". Ich wewnętrzny kodeks był bardzo srogi.

Podział wśród błatnych zależał od wysokości wyroku, np, 100 - 130 lat, od siły fizycznej, bezwzględności więźnia lub jego zdolności przywódczych i prestiżu. Na przykład o wielkich ich przywódcach fama szła od łagru do łagru, wraz z nimi.

Grali w karty złotem, całymi garściami samorodków, ale też i o to, że zaszywał sobie przegrywający oczy lub usta. Bo brak kobiet, brak wyładowania emocji seksualnych powodował daleko posunięte deformacje psychiczne. Gdzieś musiało wystąpić wyładowanie, zboczone. Robili także tatuaże na całym ciele i szczególnie w wyjątkowo czułych miejscach, np. na członku, mosznie lub brzuchu. Z tatuażami i produkcją kart do gry był związany cały rytuał i niepisane prawo. Wykonawca zaliczany był do wysoce uprzywilejowanej grupy więźniów. Zwykły więzień mógł być nawet zaliczany do grupy "błatnych". Produkcja deseczek lub papieru na karty, farb z gum, sadzy, cukru, tuszu i specjalnych igieł z drutu do nakłuć pod skórę. Gry w karty odbywały się w baraku przy "kopciłce", po prowierce i zamknięciu. Za bezpieczeństwo był odpowiedzialny "łniewalnyj" i marny jego los, gdyby przegapił sprawę.

Tak było w każdym obozie, w którym przebywałem. - do 1953 roku. Nawet zresztą w 1953 roku w Połmie pod Moskwą, w Mordowskiej obłasti, około 1000 kilometrów od Moskwy, choć nie było tam "błatnych", my już tym wszystkim przesiąkliśmy, uważaliśmy za normalkę i były rozgrywki między nami. Na przykład była olbrzymia wojna między Polakami a Rumunami, którzy do Połmy przyjechali wcześniej, obsiedli kuchnię i okradali nas. Doszło do tego, że była interwencja aż z zewnątrz, przyjechało samochodami NKWD, s strzelali po terenie obozu z karabinów z wyżek. Jeden enkawudzist: zginął uderzony cegłą w czasie tej wojny polsko-rumuńskiej.

Stały koloryt obozu przez te wszystkie lata był obecny.

Wracajmy do Ust-Nery. Na tej "pieresyłce" trzymano nas niedługo, bo pryski „wołały” o ludzi. Był to okres olbrzymiej rozbudowy, prosperity "prysków". Z Matyrka, z centralnej Rosji napływały transporty ludzi, bo jak wiadomo, Rosjanie zbierali ich całymi garściami z połowy Europy i przywozili tu. Zwiększone były plany wydobywania, zwłaszcza złota, diamentów i in. Spowodowała to konieczność zwrotu długów zaciągniętych na Zachodzie w czasie zbrojeń wojennych - spłacanych w złocie. Amerykanie - takie do nas dochodziły informacje - nie brali rubli, tylko złoto. I wszystkie "iskowatory", buldożery, spychacze, które później się zaczęły pojawiać, były spalane złotem. Wydajności nie zwiększano poprzez lepsze wyżywienie ludzi, lepsze warunki bytowania, organizację pracy. Wydajność zwiększano tylko przez zwiększenie liczby ludzi. Plan w każdej dziedzinie życia był z roku na rok powiększany o jakiś tam procent.

Wszystko jedno, jakim kosztem - transport przychodził, wydobywał większą ilość złota, ginął. Zależnie od rodzaju kopalni, a pracowałem na różnych, norma wydobywania była różna. Na odkrywkowych trzeba było dziennie namyć 15 gramów złota. Jeśli się go nie namyło, to nie było mowy o tym, żeby dostać jedzenie. Brygadzysta decydował, na ile kto zasłużył jedzenia, była to ocena wyjątkowo krzywdząca. Zostawało się na drugą zmianę, pracowało się po 12 godzin, bez żadnych świąt, na okrągło. Świętowało się 1 maja i rocznicę rewolucji, bez niedziel i bez żadnych innych świąt, okrągły rok.

Teren był oświetlony i trzeba było pracować, aż się normę zrobił Macierzysta brygada odchodziła do zony, pozostawiając więźnia w "proizwodstwie" z drugą zmianą. Były i paradoksy, bo z kolei nie opłacało się zdać więcej namytego lub znalezionego złota, ale do tego wrócimy. Nie wiem dokładnie, jakie były normy w kopalniach głębinowych, nie w odkrywkowych.. W nich nie pracowałem bezpośrednio



12

na dole pod ziemią, a tylko przewoziłem rudę taczkami do mycia, na powierzchni.. Była to mordercza praca, bo trzeba było pewną <sup>wywiódł</sup> liczbę taczek przypadającą na grzejących się przy ognisku "błatnych" i ich kochanki.

Przy podziale jedzenia, pajki chleba były uszczuplane, zmniejszane a w pracy zwiększone normy wydobywania, aby pokryć potrzeby tych "pridurków" .

atlas  
Nw 135

Ale wróćmy do chronologii. Gdzieś po trzech-czterech dniach na "pieresyłce" w Ust-Nerze rozeszła się wiadomość, że zostaniemy przetrzuceni na "prysk" Pokryszkim. Wszystkie informacje były nieoficjalne i docierały do nas pocztą pantoflową, przez więzienną wewnętrzną administrację. Przed wyruszeniem w drogę dostaliśmy przydział na cztery dni: po pochenku chleba i po 4 połówki "sielodki". Każdy marzył, żeby dostać połówkę z głową i łuska śledzia. Chleb był w 1945 roku przepiękny, do dzisiaj go pamiętam, jak słońce, wysoki, biały, z amerykańskiej mąki. Na rzece Indigirce było kilka barek ciągnionych przez holownik. Barkę podciągano pod pomost przy brzegu i ładowano nas do niej, ponad stu ludzi do jednej barki. Indigirka na prawo patrząc z posiołka płynęła z prądem, na lewo - pod prąd. Jeśli się stało na przystani twarzą do tej góry, wyrosłej po drugiej stronie rzeki przed posiołkiem.

Ruszamy na lewo, pod prąd, w górę rzeki. Później, w 1947 roku, do "prysku" Terechciach, płynąłem barką w drugą stronę, w dół rzeki. Podróż Indygirką, cały czas w górę rzeki, trwała chyba trzy dni. Zdaje mi się, że w pewnym momencie spłynęliśmy z głównego nurtu Indygirki w jakąś inną rzekę. Teren otoczony jest górami. W każdym razie płynęliśmy na południowy zachód. W kierunkach co do stron świata orientowaliśmy się z promieni słońca, ich odblasku, kładącego się na szczytach "sobak". Słońca nie widziałem na oczy przez całe 9 lat. Chodziło strasznie nisko przy ziemi, a góry swą wysokością ~~wznosiły~~ dochodziły do 3,5 tysięcy metrów, a nawet więcej.

Wieczorami przybijaliśmy do brzegu, jakieś ognisko - "kaścior", dla ochrony i nocleg na łodzi dla nas. Przykryci plandekami ze względu na samouspokojenie ochrony, śpimy.

Na barce zdarzył się incydent, który przez długi czas rzutował na moją psychikę. Do dzisiaj go pamiętam. Mianowicie na dziobie łodzi stał "bojec" (dłódziś mam go przed oczami), który w pewnym momencie wyjął jabłko i zaczął je obierać. Siedziałem na dnie łodzi w pierwszym szeregu, blisko niego. Obierka z tego jabłka zwisała do ziemi, bojec chyba specjalnie to robił. Kiedy się urwała, ja i kolega rzuciliśmy się, żeby ją złapać. Złapałem ja, ale "bojec" tak mnie kópnął, że wypuściłem obierkę i zwinąłem się z bólu na dnie łodzi. Oczywiście, wykorzystał to mój towarzysz, złapał obierkę i wepchnął ją sobie do ust. A "bojec" zaczął mnie wypytywać: "Od kuda ty?" - "Iz Polski, Polak;" "a Polaczok, pszek, faszysta !" Zaczyna się śmiać, że chciałem zjeść te obierki z jabłka. "No, nie uwidisz ty swajoj Warszawy, tak jak i uszu swoich nie uwidzisz". (bo powiedziałem, a właściwie wystękałem, że jestem z Warszawy), I to jego powiedzenie utkwilo mi w pamięci na długi czas, wpłynęło na mnie przygnębiająco. Ale jednocześnie przyszła, a właściwie zrodziła się refleksja, że nie ma co marzyć i roztkliwiać się nad sobą, nad powrotem do domu, do Ojczyzny. Trzeba walczyć o przetrwanie dnia dzisiejszego i tylko aby do wieczora, do zbawiennego snu. W dodatku to uderzenie i wszystko ... Ciągłe znęcanie się, głód - wszystko działało deprymująco, zabierało siły, a niektórych zamykało całkowicie.

Mogę teraz wrócić do drogi na Pokryszkin, do barki. Płynęliśmy tymi barkami, nocowaliśmy na nich. Wszystkie czynności fizjologiczne były wykonywane na oczach wszystkich, wprost do rzeki. Ciężki los był więźniów, którzy mieli słaby żołądek. Ja w tym względzie byłem inny, mój żołądek nic nie oddawał w awaryjny sposób, z tego, co do niego wrzuciłem. Nawet najgorsze świństwo nie było w stanie mnie zaszkodzić ani złamać. Pod tym [względem mój "żywot" był moim

sprzymierzeńcem. Chyba na trzeci dzień przybiliśmy do brzegu.. Było po trzy barki na holownik, na ostaniej było więcej żołnierzy, a na holowniku był karabin maszynowy. Nie bardzo wiem, czego oni się obawiali, jakiej uciezki z naszej strony, bo nikt nie skakałby do wody, bo nie było dokąd uciekać, nikt nawet o tym nie myślał, no, morze marzył. Ale takie widocznie były wymogi.

Wykładowali nas, uformowano kolumnę, weszliśmy w jakiś gęsty iglasty las dziewiczy, nie sadzony. Było widać, że to tajga pierwotna. Żadnej drogi, tylko jakaś przesieka, dowodząca, że już tędy przed nami przechodzili ludzie. Tymi lasami szliśmy przez cały dzień. Zdawałem sobie sprawę, że chodzę po ziemi, po której nigdy przedtem nie chodził człowiek. A trzeba powiedzieć, że chleb zjedliśmy właściwie pierwszego dnia na barkach, drugiego dnia zostały zjedzone "sielodki", a potem to właściwie umieraliśmy z pragnienia. Bo człowiek zjadł ten suchy "pajok", nie było żadnej zupy, żadnej bałandy - tylko zaczerpnięta woda z rzeki, czysta jak łąza. To spowodowało, że w drodze przez ten las jak się dorwaliśmy do jakiegoś strumyczka, to rzucaliśmy się do wody i opijaliśmy niesamowicie. Tak że potem ci słabsi nie mogli nawet iść i trzeba było ich ciągnąć, puchli, nerki nie wytrzymywały. W każdym razie pod koniec dnia doszliśmy do właściwego "prysku" Pokryszkin. A śledzie to dawali, bo nic innego nie było, a one były najtańszym pożywieniem. Pragnieniem więźniów nikt się nie przejmował.

Na Kółymie przez te wszystkie lata nie jadłem mięsa - żadnego, świniny, wołowiny. Jadłem tylko ryby i tzw. "mor zwierzy". Przez te wszystkie lata człowiek miał w ustach smak rybiego tłuszczu, innego nie było, tylko rybi. Na nim piekli chleb, nim krasili bałandę. Czasami używano oleju transformatorowego, ale on przelatywał przez człowieka, żołądek go nie trawił. Przez ten cały, prawie dziesięcioletni okres udało mi się tylko raz zjeść mięso z psa i raz z kota. To było jedyne inne pożywienie, treściwe. Później nauczyłem się

zbierać biały mech, gotowało się go razem z "pajką" i z zebranymi resztkami ości ze śledzi, głowami, które znajdowało się na śmietnikach na wolnym "pasiołku" - to było pyszne jedzenie. Na resztki można było jeszcze polować na śmietniku koło wachty.

Przyszliśmy na "prysk Pokryszkin". Okres pobytu na Pokryszkinie jest chyba dla mnie najbardziej tragiczny, ponieważ był to pierwszy rok na Kołymie. Twierdzono, że jeśli się rok przeżyje na Kołymie, to człowiek już się na tyle przyzwyczai do warunków, zaaklimatyzuje, że prawdopodobnie przetrzyma to wszystko. Ale ten rok był dla mnie straszny. Nie tylko byłem fizycznie wycieńczony, ale trzeba było się przestawiać na zupełnie inne stosunki międzyludzkie. Z tego okresu nie przypominam sobie specjalnie nikogo z Polaków. Dopiero kiedy mnie już wywożono z Pokryszkina zetknąłem się z jednym Polakiem z którym razem zostaliśmy przerzuceni do Ust-Nery. Ale o tym później.

Ten okres to wieczny głód. Otaczający zewsząd tuman i trzaskający mróz, wycieńczenie i czekanie na śmierć. Jak zamknę oczy, to widzę w tym czasie noc rozświetloną białą poświatą śniegu. I to przenikające do kości zimno oraz chęć zaśnięcia, wyłączenia się z rzeczywistości. Te skurcze żołądka pod pępkiem i uczucie strachu skoncentrowane gdzieś w środku. Nie w głowie, nie w piersiach, lecz wewnątrz, w środku.

Na Pokryszkinie obóz jak wszystkie inne, na które trafiłem później. Urządzane były one na jedno kopyto. Pokryszkin był kopalnią złota, nie odkrywkową, lecz głębinową. Był szyb, zjeżdżali ludzie na dół, tam były chodniki. Jest ciekawostka, że wyrobiska nie były jakoś specjalnie stęplowane, umożliwiała to wieczna zmarzlina. Wydobywali żyłę na wierzch, a na wierzchu wydobyta ruda była przemylana. Nasza grupa od razu była przeznaczona do budowy drugiego "uczastka", drugiego obozu. To była tragedia. W starej strefie byliśmy tylko jednej dzień. Została uformowana kolumna, grupa, która poszła jakieś 15 kilometrów dalej, w tajgę. Tam został wytyczony teren i

mieliśmy tam budować nową zonę. A zaczynał się już okres chłódów, już było zimno, a przecież tam nie było żadnego pomieszczenia dla nas! Wytyczono nam palikami i kupkami kamieni w tajdze kawał miejsca i zabraliśmy się do budowy. Spaliśmy w nocy na ziemi przykryci <sup>plan</sup> deką, pilnowani przez ochronę. Brygadzystą był więzień kryminalny, "suka", psychopata i sadysta. Pierwsza rzecz, którą budowaliśmy to była wachta, pomieszczenie dla ochrony. Potem otoczenie terenu słupami, rozciągnięcie siatki, zrobienie "zapret-zony", tzn. kilkumetrowego kawałka pasa ziemi, która była zawsze zaorana lub skopana i zagrabiona. Potem budowa "wyżek", tak żeby żołnierz spoglądający z "wyżki" od razu widział, czy nie ma jakichś śladów na "zapretzynie". Oczywiście, wszystkie materiały były tutaj przenoszone z obozu macierzystego, z odległości 15-20 kilometrów. Nikt nas nie pędził do tamtego obozu na noc. Ognisko na noc i pod plandekami się nocowało. Budulec na miejscu. I jak tylko przyszliśmy, zaraz pierwsze funkcje. "Chleborez" jest? - "Jest" - i wychodzi z szeregu. Potem stolarze, cieśle, ich pomocnicy, bo o nich głównie chodziło, jakiś "powar" - to był załączek administracji: późniejszej tego nowego obozu.. Zgłaszały się przeważnie stare wygi więzienne, nie koniecznie fachowcy, ale cwaniacy: oni mieli z góry 50% na przeżycie, awansem. Ja podglądałem życie, uczyłem się. To był uniwersytet, który w późniejszych latach owocował. Na razie nie miałem odwagi, za mało było we mnie bezczelności i siły przebicia. Zresztą ciągle jeszcze byłem "pszekiem", parszywym polaczkiem, faszystą.

Z dnia na dzień następowało większe wycieńczenie ludzi. Bo była tylko ta pajka, 600 gramów chleba, i bałanda na rybim tłuszczu, (płatki owsiane bez żadnego mięsa). Niby one zawierają dużo witamin, ale nic poza tym. Więc wycieńczenie wzrastało z każdym dniem. Pracowaliśmy tam przez 2 miesiące chyba, może trochę dłużej a potem nastąpiła

wymiana nas na nowych ludzi. Resztki nas poszły do tego centralnego obozu, a tu przyszły nowe brygady z nowego transportu. To się odbywało już w listopadzie-grudniu. Mrozy dochodziły do 40 stopni i więcej, były już dni "aktirowane" powyżej 55 stopni Celsjusza. Już były śniegi, a spało się na ziemi, jeszcze nie było zbudowanych baraków. Niektórzy po prostu zamarzlili, umarli pod tymi plandekami, szczególnie ci z brzegu, słabsi, wypychani przez silniejszych.

Kiedy stanął pierwszy barak, to był wielki sukces - już pod dachem można było nocować. Ogrzewanie w baraku to była zwykła metalowa beczka po "garuczim" z rurą dorobioną z blachy. Dobrze było, jeśli w baraku były dwie takie beczki. Beczka była zazwyczaj cały czas czerwona, o to dbał "żniwalny". Ale jak się człowiek kładł na narach, to czapka przymarzała do ściany, bo ściany były oblodzone. Tragedia, makabryczny okres. Baraki były z bali, utkane mchem, żeby wiatr nie dostawał się do środka. Od zewnątrz ściany oblepiane były śniegiem z wodą, tworzyło to taką skorupę. Nary nie były z desek, tam nikt desek nie robił. Cienki bal był po prostu przecinany wzdłuż na połowę i był przybijany płaską połową na wierzch. Tak też robiona była podłoga. Jedyne okienko na końcu długiego baraku było zasłonięte materiałem z worka po amerykańskiej mące; w baraku zawsze panował mrok, rozświetlony kopciłką w rogu nar brygadzisty "żniwalnego". Oczywiście nie było żadnej pościeli, żadnych koców. Jedyne przykrycie była kufajka - "ciełogrejka", poduszka - zgięte ramię. Jeśli ktoś zdobył buszłak - nakrycie większe niż kufajka - a jeszcze czarny amerykański to były to nieliczne wyjątki. Przeważnie mieli je "pridurki", "błatnyje" czy inni tacy. Natomiast nikt się nie liczył z więźniami skazanymi "po stacji 58", nazwijmy to otwarcie - na zagładę, bo wiedzieli, że nowy transport i tak przyjdzie. W związku z tym nikt nie dbał, żeby ich lepiej ubrać. Nie było również żadnej bielizny, tylko wierzchnie rzeczy na gołe ciało. Jeśli udało się komuś nie zdać letniego okrycia, tzn. letnich spodni to wciągał je pod watowe i to był wielki sukces. Najczęściej

wszystkie te zdobycze, schowane rzeczy, były zabierane podczas "szmonu" co pewien czas lub podczas bani albo w parówce odwieszalni. Najgorszy był okres przejściowy z zimowego na letni. Było jeszcze bardzo zimno, a już zabierali watowane odzienie, zamieniając je na drelichy. Jeśli komuś udało się zrobić "bezrukawkę", tzn. obciąć rękawy z "ciełogrejki" i wkładać ją pod "tiągorejkę", to też był wielki sukces. Jednak podczas "szmonu" dodatkowe rzeczy były zabierane, to było nielegalne. Z rękawów "ciełogrejek" robiło się obuwie na nogi, ponieważ lepsze walonki były zabierane więźniom przez "błatnych" i "pridurków", ewentualnie sprzedawane wolnym za chleb, kaszę. Więc naciągało się rękaw na nogę, związany na końcu, a pod stopę kawał jakiejś gumy z opony, jeśli się udało taką zdobyć.. Jakimiś drutami umacniało się jeszcze kilka warstw materiału. I tak wyglądało całe umundowanie więźnia w latach 1945-1946. Była to więc makabra: pierwszy rok na Kołymie, walka o każdy dzień.

A rok miał 360 długich, ciemnych, mroźnych i głodnych dni. Rano tuman, to jest huk, ciągle huczenie w uszach tej ciszy mrozu - takie buczenie: u-u-u-u-u Makabra. Jedyłą metodą, aby nie odmrozić twarzy i rak, było nachylenie od czasu do czasu głowy tak nisko, aby krew uderzyła do niej i rozgrzała. Dłonie natomiast co pewien czas wkładało się w krocze dla rozgrzewki. Śnieg był suchy i ostry, jak morki piasek i roztarcie nim ciała powodowało zdercie skóry.

"Aktirowany " był dzień dopiero przy 55 stopniach. To było naprawdę makabryczne i zabójcze, nie wiem jak nie oszalałem. Dużo ludzi nie wytrzymało, wariowali, , niekontaktowali, nic do nich nie docierało.

Wróciłem stamtąd do obozu centralnego. Z naszej grupy zostały resztki, niedobitki. Dużo ludzi umierało, zamarzali pod pałatką. Znajdowano ich rano. Trwała tam stała walka o przybliżenie się do ogniska - przy nim ziemia była bardziej nagrzana. Dla ochrony

w nocy o ogniska dbał uprzywilejowany więzień.

Ochrona miała pałatki, lepsze jedzenie, *czyfirot* i spirytus.

Wróciłem do obozu prawie na swoją zgubę. Bo właściwie nie wiadomo, gdzie było lepiej zginąć - czy przy budowie uczastka, czy po powrocie w "zaboju". Nie zginąłem, ale przeżyłem następną swoją tragedię, to znaczy zostałem wcielony do vrygady, która przewoziła rudę z kopalni do myjni taczkami. Byłem już praktycznie "dochodziągą". Nie było tam innego transportu. Trap - i po tym trapie ("katało") woziło się taczki. W czasie zmiany trzeba było wywieźć 120 taczek. Przy końcu trapu "normowszczyk" Błatnoj albo prydurek zapisywał liczbę wywiezionych taczek. Trzeba było krzyche swoje nazwisko, było ciemno, a normowszczyk pisał komu chciał, z kim się dzielił albo komu kazał zapisać brygadzista.. Ja tych taczek nie ładowałem ani nie "rozgrużałem" - byłem wielbłądem pociągowym do przewożenia tych taczek. Ale byłem już dochodziągą.

Do samej kopalni szło się z łagru jakby płaskowyżem, na prawo od bramy wyjściowej, pod górę. Potem był mostek zawieszony nad głęboką przepaścią i wchodziło się z tego płaskowyżu na jeszcze wyższą górę, na teren kopalni. <sup>Mostek był wraz z przepaścią dużą pokusą, aby skończyć z sobą,</sup> I tam na takiej naturalnej polce wydobywano rudę, był szyb i cała szachta. Byłem już u kresu sił, na skraju ostatecznego wyczerpania. W związku z tym wywieźć tej normy taczek nie miałem siły, a brygadzista był bezwzględny, bo rozliczano go z całej brygady, a poza tym bronił własnego interesu miał za zadanie wydusić maksymalną wydajność z tych, którzy jeszcze się ruszali. Na pewno na dochodziągów miał jakiś upust, ale myśmy o tym nie wiedzieli. Trwało to do wiosny, gdzieś do czerwca-lipca, wtedy jest tam ocieplenie. Ja, opadając z sił, nie wykonywałem normy, dostawałem mniej jedzenia i coraz gorzej się czułem. Ale jeszcze zdobywałem się na jakiś wysiłek i przewoziłem te taczki dalej przez całe lato, do jesieni. Po pracy włóczyłem się po śmietnikach wachty, kuchni, sanczasti, szukając resztek śledzi,



70

które gotowałem z białym mchem. Nikłe były nadzieje na znalezienie czegokolwiek, bo szukających było wielu i to nieraz silniejszych ode mnie.

Ustawiano mnie potem ~~na~~ już do lżejszych prac, pomocniczych powiedzmy, do naprawiania trapu, bo ciągle się psuł, do reperacji taczek i innego sprzętu. Ale już prawie chodzić nie mogłem. Coraz bardziej osłabła moja psychika, odporność. Fakt, że mam przed sobą tysiące takich beznadziejnych dni, miliony minut tego ~~spania~~ głodu załamywały mnie. Traciłem kontakt z rzeczywistością. Przecież każda minuta liczyła się 60 skurczami głodnego żołądka. Każda minuta to wieczność, to walka o przetrwanie. Boże, jak łatwo opowiada się w książkach o bohaterach! W ciągu jednej sekundy podjął decyzję, skoczył do rzeki, poświęcił się za kolegę przeznaczony do rozstrzelania. <sup>A przecież</sup> w jednym przypadku umiał dobrze pływać, w drugim nic nie miał do stracenia oprócz życia. Ale jak ciężko wiele milionów razy podejmować decyzję o przetrwanie i dalsze życie. W każdej sekundzie walki o istnienie, kiedy cię mordują, ale nie do końca, kiedy instynktownie osłaniasz ramionami głowę i brzuch, choć chciałbyś, żeby te uderzenia było ostateczne, decydujące, po którym będzie cisza i błogi spokój.

Nogi mi puchły, byłem jak szkielet - tylko nogi grube. Mało tego: jak kładłem się na bok, to puchłem z jednej strony, jak przewracałem się na drugi bok, puchłem z drugiej strony, ta woda się we mnie przelewała. W końcu doszedłem do takiego stanu, że w ogóle przestałem kontaktować. W pewnym momencie następuje taki wypadek: Nie mam siły się ruszać, zaczęły się znów chłody, ~~xxxx~~ znalazłem jakieś wygasłe ognisko, zgarnąłem ten popiół i położyłem się na nim. Skulony przykryłem się tacją, chciałem żyć, trwać dalej. Zapadłem w taką drzemkę-nieprzytomność. W każdym razie, kiedy przyszła chwila powrotu do obozu, nie mogli mnie znaleźć. Zginął człowiek! Jest to rzecz nie do przyjęcia! I dla brygadzysty, i dla

ochrony. Musi być, choćby martwy, ale szczot musi się zgadzać. Pobiegnij - ucieczka! "Uszoł w pobieg". Znalaziono mnie w końcu pod tą taczką, zauważyli wystający kawałek nogi. Brygadziści z wściekłości uderzył mnie kajłem kilka razy, chciał mnie dobić, ale jedno z uderzeń w biodro spowodowało, że noga mi się podkurczyła i ja już nie mogłam stanąć na obu nogach. Więc jeszcze długo mnie bił i kopał, żeby jednak poszedł, ale nie mogłem. Byłem na czworakach, nie mogłem się z nich podnieść mimo katowania dalszego. W końcu brygadziści przywołał innych więźniów i oni mnie przywlekli na jednej nodze do obozu. W latach 1945-1948 brygadziściami byli zawsze więźniowie kryminalni, zbrodniacy i sadyści. Więźniowie z paragrafem 58, z takim z jakim byłem ja, polityczni, byli przywiezieni na Kołymę do stopniowej likwidacji - poprzez pracę ponad siły.

Tu na Pokryszkinie opowiadano o naczelniku "Dalstroju", generale NKWD, nazwiska dobrze nie pamiętam, ale chyba Garanin, który podczas inspekcji obozów, strzelał do więźniów jak do białych kuropatw. Zabijał w obozie i na "proizwodztwie", niezależnie czy ktoś pracował, czy nie, wykończając dziesiątki tysięcy więźniów. Podobno był to podstawiony szpieg japoński i dopiero siostra jego własna go zdemaskowała; przyjechała w odwiedziny z "materika" i stwierdziła, że to nie jest jej brat. Podobno został rozstrzelany. Na Pokryszkinie brygadziści, <sup>+</sup> sarsy stażem więźniowie kryminalni straszili nas powiedzeniem: "ubju ścierwo faszystowskie, kak grażdandin naczalnik Garanin". Wzorowali się na tym sadyście, z tą różnicą że oni to tobili "kajłami" i "drynami", byli bardziej bezwzględni niż on. On poprostu humanitarnie zabijał jednym strzałem.

Od tego dnia praktycznie zacząłem nie wychodzić do pracy. Stwierdzono, że się do niej nie nadaje i zostawiano mnie w baraku. Oczywiście, dostawałem tylko skromną pajkę, nikt się mną nie interesował i to trwało miesiąc lub dwa., gdzieś chyba do listopada 1946 roku.

42

Chyba w listopadzie przyleciała komisja lekarska do "aktirowania" ludzi, to znaczy do przeprowadzenia selekcji: kto się jeszcze nadaje, aby tu zostać, a kto ewentualnie na inne tereny ma być przeniesiony, do jakichś lepszych prac. A przedtem robiono z nami różne próby. Po dwóch czy trzech ciągnęli moją nogę, żeby mi ją rozprostować, ale się nie dało. To był jakiś skurcz, była cięgle podkurczona, dorobiłem sobie coś w rodzaju szczudła i ruszałem się na tej jednej nodze. Komisja orzekła, że nie nadaje się do tej pracy i podjęła jakąś decyzję. Jaka to była decyzja, dowiedziałem się później. Zdecydowano, że zostanę przerzucony na Ust-Nerę.

W pobliżu naszego "prysku" było takie pseudolotnisko, zniwelowany zrównany śnieg, ubity i oczyszczony. Stała tam jakaś chatka - nieduży baraczek, jakieś magazyny. Były tam przyjmowane przerzuty z samolotów, to znaczy benzyna, jakieś produkty. Złoto też wywożono samolotem w woreczkach. W grudniu 1946 roku zaprowadzono nas na to lotnisko przy strasznym mrozie. Miał przylecieć samolot i nas zatracić. Mówię "nas", bo był ze mną drugi więzień, Polak, Woroszyło Zbyszek nazywał się. W tym okresie dzień trwał godzinę-dwie. Noc polarna, widna, rozjaśniona poświatą śniegu. Czekaliśmy dość długo. I znów tragedia - dla tego kolegi. Może nadużywam tego słowa, ale niestety to była tragedia, bo ten człowiek w konsekwencji tego czekania na mrozie został bez rąk i nóg i później zmarł. Więc jak to inaczej można nazwać teraz? Wtedy to było normalne, na porządku dziennym zdarzenie.

Pyta Pani, jak zmarł. Po prostu tak, jak się umierało w tych latach na Kołymie. Obcieli mu dłonie i stopy, kiedy mu się już oddzieliły czarna linia od zdrowego ciała. Pracował potem w kuglarni, miesił glinę do wyrobu naczyń i ~~innych~~ innych przedmiotów. Musiał przecież zarobić na pajkę. No a później stracił chęć do życia i skończył się. Pyta Pani jak, no, ja nie wiem, ale wystarczy mego masochizmu. Poza tym on był przecież czyimś dzieckiem, bratem

więc po co o tym mówić.

Opowiem coś bardziej przyjemnego. Coś co też pozostało na długo w mojej pamięci. Tej pierwszej zimy na Kozymie kiedy budowaliśmy ten drugi ucza-  
stek zdażyło mi się obejrzeć niezapomniane zjawisko przyrodnicze zorzę  
polarną. I mimo nędzy fizycznej w jakiej się znajdowałem ogarnął mnie  
niewypowiedziany zachwyty. Zdarzenie było nieoczekiwane i zaskakujące.  
Kiedy się obudziłem aby się załatwić, podniosłem się z ziemi i stane-  
łem oniemiały. Dookoła grała orgia barw, różnorodną formą łuków, wstęg, prze-  
lewających się smug. To było zachwycające zjawisko które spowodowało, że  
na krótki moment zapomniałem o tragicznym swej sytuacji zafascynowany  
widokiem potęgi i piękna przyrody.

Na nieboskłonie falowały i spływały na mnie, promieniste, pofałdowane  
barwne zasłony. Świat grozy i fascynacji otaczający mnie, bez przerwy  
był w ciągłym ruchu. Bardzo szybko zmieniał swą formę. Zabarwienie, inten-  
sowność świecenia, miejsce na niebie oraz dookoła mnie. Stałem oniemiały  
malutki pyłek, przytkoczony wielkością Boskiej potęgi. Ukorzony w swej  
nicości wobec piękna i wzniosłości zjawiska. Gdy się ocknąłem i wruci-  
łem do rzeczywistości dusza moja z jeszcze większym bólem zaskomlała  
nad swoją nędzą.

Świat przyrody tutaj na Kozymie był przepiękny w swej dziewiczej,  
nieskalanej postaci. Niezakłócona harmonia i równowaga zjawisk fizycz-  
nych i odradzającego się życia w przyrodzie. Kiedy miały niekończące  
się miesiące sześćdziesięciostopniowych mrozów, następowało krótkie  
bardzo intensywne obudzenie się przyrody żywej. W czasie niewiele dłu-  
ższym od jednego miesiąca, tajga ożywała. Wieczna zmarzlina powieszchnio-  
wo odmarzała. Miesiąc czerwiec doprowadzał do zrównania dnia z nocą. To  
nowe zjawisko fizyczne zaskakiwało nas europejskich katorżników, którzy  
po raz pierwszy to przeżywaliśmy. Brak było nocy. Fascynowało swym pię-  
knem oraz stwarzało nowe możliwości żywnościowe. Białe mech który był  
łatwiej dostępny zwiększał objętościowo uczucie sytości. Znalezione  
kępki skrzętnie chowaliśmy w zanadrzu a miłosierna tajga rodziła nowe  
dodatkowe nie "kazonne" pożywienie.

Wróćmy jednak do tragicznej rzeczywistości, zejźmy z obłoków na  
ziemię. Czekaliśmy na ten samolot, a on nie przylatywał. Nikt się nami nie  
interesował. Ja w pewnym momencie podszedłem, przykuśtykałem do tej cha-  
tki, niedużego baraczkę "ciepluszki", w którym byli ludzie. Nas zostawio-  
no na zewnątrz na pastwę losu. Nie wpuszczono mnie do środka, wykopano  
mnie stamtąd. Otworzyłem drzwi - do dziś czuję tuman ciepła, obłok buchają-  
jący na

74

mnie, uderzający we mnie - i kopniak, który miał z powrotem wyrzucić za próg. Kierowany jakąś podświadomością położyłem się na progu, gdzie przez szczelinę pod drzwiami wydobywało się ciepło i w ten sposób doczekałem przylotu samolotu. Natomiast tamten po prostu zamarł. No, na tym progu było miejsce dla jednego. On nie czuł tego, że stracił przytomność. Śmierć z zamarnięcia jest zgodna, śni się i czuje ciepło. Kiedy samolot wylądował, wylądowali beczki z benzyną, załadowali puste - był to kukuruźnik - a nas dwóch po prostu wrzucono do niedużego pomieszczenia w środku w kabine razem z pustą beczką. Oczywiście nikt nie sprawdzał, czy on czuje ręce, czy czuje nogi. O tym, że je sobie podmarzałam, dowiedziałem się w Ust-Nerze. Nie zapomnę i mam przed oczami widok jaki zobaczyłem z samolotu. W dole wierzchołki sobek, białe pofalowane prześcieradło otulające ziemię. Jedynym ciennym akcentem były zabudowania obozu, kopalni, całego przysku, z dymami bijącymi prostopadle w górę. Natomiast w oczy buchało ogniem, oślepiało promieniami, roziskrzona orgia światła słonecznego. To był pierwszy i ostatni raz w ciągu 9 lat kiedy je zobaczyłem i zachłystywałem się nim. Natomiast takiego koloru nieba nie widziałem nigdzie w ciągu całego swego życia w żadnym zakątku ziemi gdzie byłem. Co za błękit, co za niepowtarzalny odcień koloru niebieskiego nieskażonego nawet smugką białej chmurki. To był niezapomniany widok mimo ogromu nieszczęścia i tragedii która była naszym udziałem. Po przylocie przetransportowano nas do obozu. Nie do tego, z któregośmy wyjeżdżali, tylko do tego pod lasem, roboczego, koło rzeczki chyba Protoki, był tam szpital. Więźniowie tam przebywający pracowali w Ust-Nerze. W części baraków przebywali dochadzający i nie chodzili do pracy. Wszystko zależało od tego, czy organizm wytrzyma, czy zregeneruje siły przez sam fakt niechodzenia do pracy. Jedzenie dostawaliśmy w miarę normalne, racje takie, jakbyśmy chodzili do pracy. Był to tak zwany OK - Odrobitwisinskie Komando.

75

Gzekano, jak organizm zareaguje, lekarstw nie było. Leżeliśmy na narach i nic nie robiliśmy. Dawano do picia chłoję a obrażenia leczono margancówką. Jedni przychodzili do zdrowia, inni umierali. Barak nazywał się OF - oddychająca palatka.

Był barak w rogu zony, gdzie te trupy składano, tzw. "morgi". Zamrożone były. Jak przyjeżdżała komisja "aktirująca", to się je rozgrzewało, stemplowano je, opisywano i spisywano w tzw. "archiw III". Leżeli w tych "morgach". Zresztą potem, duto później kiedy już się ruszałem jak doszedłem do zdrowia, miałem tam zdarzenie trochę humorystyczne. Chcąc zarobić dodatkową pajkę, bo za rozgrzewanie trupów dostawało się dodatkowe jedzenie, poszedłem tam. Paliło się po prostu w "pieczce", żeby się one miękko zrobiły. Praca polegała na cięciu drzewa, rozpalaniu "pieczeni" do czerwoności, żeby trupy odtajały. Trupy leżały, stały podparte pod ścianami, leżały na narach. I kiedy to się zaczęło rozgrzewać, zaczęło się to ruszać. Jak napaliłem w piecu, (beczka spłaszczona lekko tworząc rodzaj blatu) wokół którego była taka płaskownica, żeby ogień się nie rozlewał, ukołysłem się przy niej i przysnąłem. Obudził mnie trzask i potrącenie przewracających się trupów. Kiedy zobaczyłem jak zaczęły się ruszać, pod wpływem ciepła ruszały nogami i rękoma, nie wiedziałem gdzie jestem - wyprysnąłem stamtąd z krzykiem, po prostu ze strachu.

Ponad rok byłem na Pokrysskinie. /.../ A jeśli ktoś rok przetrwał, to na ogół adaptował się do tych warunków klimatycznych, do sytuacji. Zaczynał dostosowywać się elastycznie do wymogów dnia codziennego. Udało mi się przetrwać ten rok i trzy miesiące. To był uniwersytet kokylski. /.../ Dostawaliśmy na OF 500 g chleba i dwa razy dziennie bakandę. Raz w ciągu dnia była porcja gęściejszego owsa tzw. zapiekanka. To dawało organizmowi możliwości odnowy, powrotu do jakichś sił. Warunki w baraku szpitalnym były bardzo ciężkie, nie było tam żadnej pościeli. Lekarz, Boh jego raczy

75

wiedzieć, czy był lekarzem był więźniem, wyznaczonym, tak jak wszystkie inne funkcje. Przyjeżdżał etap i po prostu przyjmujący pytał o specjalność, która akurat była potrzebna. Jeśli ktoś odpowiadał tak, na pytanie "wracz" - to zostawał lekarzem. Bez okazania dokumentów ani egzaminu z posiadanej wiedzy. Ja m. in. tylko dlatego, że trochę liźnąłem łaciny i umiałem odczytywać nazwy na lekarstwach, zostałem w pewnym okresie sanitariuszem w takim szpitaliku. Oni nie znają się na tym. Zresztą podstawowym lekiem była margancowka. Pędzlowano nią odmrożenia, wylatujące zęby, ropiejące dziąsła i wrzody na ciele, głównie uda i brzuch, od cyngi. Przestrzegano się tylko kolejności pędzlowania przed syfilitykami i więźniami z „kapustą w żopie.”

Bardzo dużo było dochadziaków, którzy mieli tzw. elementarną dystrofię, tzn. organizm był wykończony. Ja dochodziłem do tego stanu wyniszczenia organizmu kilka razy. Duża część z odmrożeniami rąk i nóg. Na te odmrożenia nie było leków, praktycznie rzecz biorąc nic się nie robiło. Czekano, aż odmrożenie wyraźnie "odetnie się" od zdrowego organizmu, np. palec szernieje. Potem sanitariusz szedł z miską przy narach, bo nogi wystawały, a lekarz obcęgami odcinał członki, które nie rokowały nadziei, na krawędzi tego odmrożenia. To były głównie palce rąk i nóg. Potem następowało bandażowanie, pędzlowanie i na tym kończono leczenie, rana się zasklepiła. O masciach i tego typu lekach w ogóle nie było mowy. W latach 45-46-47-48 o więźniach nikt nie dbał, bo było go bardzo dużo. Dostarczała go podbita Europa. Z jednej strony wzrastające z roku na rok plany, z drugiej z Ameryki napływające kontyngenty więźniów. Wzrastający plan wydobycia zakatowano napływającymi więźniami. Ci, którzy nie wytrzymywali, to umierali i na tym sprawa się kończyła. W tych latach /45-46/ przychodziły z Ameryki beczki z gęstą mazią, jak z płynną czekoladą. Ona zamarszała i czasem w zimie trzeba ją było odkuwać, o gorzkim smaku którą

77

zjadaliśmy. Był to lek przeciw cyndae, awitaminozie. Cynga atakowała, rzucała się na zęby, na brzuch i uda, na których tworzyły się wrzody i otwieraly rany. To były zewnętrzne objawy cyngi, braku witamin. Ta maść bardzo pomagała, nie pamiętam, jak się nazywała. Śladnik chyba był w latach późniejszych, kiedy skończyły się dostawy z Ameryki. To był wywar z chci do picia, z karłowatego cedru syberyjskiego, z Kolumy, z szyszeczek. Nie mogę sobie przypomnieć, ale chyba jednak śladnik to była ta nazwa tego leku amerykańskiego, może się mylę /.../.

Mój pobyt na Hat-Narze po Pokrysskinie trwał gdzieś około sześciu miesięcy, do lipca 47 roku. Przez pierwsze cztery miesiące tej nogi w dalszym ciągu nie było można rozprostować. Zawziął się na nią nasz lekarz, podszedł do problemu ambiejonalnie. Ciągłe byłem w baraku OF dla ozdrowieńców. Robiono z tą nogą różne próby i eksperymenty. Kąpiele w beczce z gorącą wodą, ale nic nie pomagało. Wrzucano rozpalone kamienie do beczki z wodą i mnie wsadzano - wszystko na nie. Noga była ciągle podciągnięta. Robiono próby siłowe pod dyktando wracza. Mało mi jej nie pokłamało, wrzeszczałem z bólu i strachu. Po kilku miesiącach <sup>mojego pobytu</sup> doszło do naszego baraku drogą pantoflową, a właściwie walonkową, że na terenie obozu jest cysterna z tłuszczem rybia. Poszczególني więźniowie zaczęli się do tej cysterny dobierać, nabierali tego w jakieś puszki, dodawali do jedzenia i pili. Pamiętam z dzieciństwa przed wojną, mama dawała mi na wzmocnienie organizmu to świństwo, po żyłecsku dziennie. Ilo przy tym było wybrzydzenia. Tran był modnym lekiem przed wojną. Teraz go piliem puszką obлизując się ze smakiem. Oczywiście i ja zacząłem z tego korzystać. Z początku w drodze wymiany, towar za towar, pajka - bańka rybiego żyru. Zaobserwowałem, że po pewnym czasie zacząłem nabierać ciała, a i ta moja noga zaczęła się rozprostowywać. Pewnego dnia obudziłem się na narach, wyciągnąłem się i czuję, że mogę rozprostować nogę. Duże zaskoczenie. Przesz



78

następne tygodnie ukrywałem to, żeby przedłużyć okres dobrego koczenia w tym szpitalu. Ale robiono dalsze próby z tą nogą - już nie mogłem na siłę jej podciągnąć, kiedy sanitariusz robił mi np. masaż. Jeszcze niby kulakem trochę, ale zacząłem chodzić. I wtedy udało mi się zostać "sanitarem" w tym szpitaliku.

Co pewien czas była komisja lekarska. Ci więźniowie, którzy nabrali ciała i stan ich zdrowia się poprawił, kwalifikowani byli przez komisję jako zdolni do pracy. Przerzucano ich na "piaroszki" w Ust-Nerze i wysyłano na poszczególne pryski. Więc każdy się bronił jak się tylko dało, żeby przedłużyć okres pobytu w tym lepszym obozie. Nawet kosztem własnego zdrowia robiono różne mastyryki. Jak się odbywały te komisje. Dwie czy trzy osoby, pseudo-lekarze, siadały w baraku za stołem, a więźniowie byli wywoływani po kolei, z nar. Schodził taki, ściągając spodnie i odwracał się tyłem do komisji. I oni po prostu patrzyli, jak wyglądają pośladki, czy są wypełnione tłuszczem czy obwisłe. Do tego praktycznie sprawdzała się kwalifikacja, ocena, czy więzień nadaje się do pracy, czy nie. Jeśli był w miarę "pulchny" to mógł pracować. Ci, którym poobcinano palce u nóg na skutek odmrożenia, szli na etap jeśli nabrali ciała. To ich wcale nie dyskryminowało, mógł taki pracować na prysku, w kopalni czy gdziekolwiek. Inaczej z tymi, którzy nie mieli palców u rąk. Tacy byli przeważnie kierowani na takie prace jak dniwalny, jakieś funkcje. Ręce były ważne, bo w tym okresie główna praca na pryskach polegała na przewożeniu rudy taczkami, ewentualnie bicie "szurfów" kajłem czy łonem, a tych narzędzi taki już nie mógł wziąć do ręki. Do grupy więźniów, którzy stracili palce przy odmrożeniach, trzeba zaliczyć tzw. "samorubów". Taki, nie mając już siły pracować, wykorzystywał moment, kiedy wysyłano więźniów np. po drzewo. Wtedy dawano brygadzie sikiery czy piły. Podchodził do pieńka, kładł na nim rękę, odcinał sobie palce,

79

a potem, zaciskając dłoń krzyczał: "Naczelnik, naczelnik, spasi, (ratuj) bo obrubał ja siecia raku". Chodziło o dokładne odgrąbanie palców, o zagięcie dłoni - nie można było już wtedy chwycić ani rączek od taczek, ani łomu. W ten sposób się niektórzy więźniowie ratowali. "Samoruby" byli sądzeni i dostawali dodatkowe wyroki, ale nieduże. Albo uzupełniano wyrok o odsiedziane już lata, albo najwyżej do 5 lat. Rok czy dwa dodawali do wyroku, z którym przyszedł taki, a pracę miał już lżejszą. A w konsekwencji chodziło o uratowanie życia, a nie poszczególnych członków, każda cena była dobra za przeżycie. Wszące ciągle nad nami plany - i ludzie napływający i wykonujący te plany, to była konkurencja.

Alc nie dokończyłem sprawy z tą cysterną tłuszczu. Był to prawdopodobnie tran. Tam zdarzył się wypadek. Cysterna po cichu była opróżniana, tłuszczu było coraz mniej. Coraz niżej trzeba się było nachylać przy czerpaniu. I któryś z więźniów wpadł, pośliznął się na oblodzonym metalu przy takim nachyleniu do otworu cysterny. W tym tłuszczu znalezione jego ciało, utopił się. To nie odstraszało od dalszego korzystania z „łyru”, odpychano go tylko od otworu i czerpano. Więźniowie wszystko rozkradli. Kiedy władza się zorientowała, w cysternie już nie było oprócz utopionego. W ogóle trudno powiedzieć, czy działało się to za przyzwoleniem, czy nie. Według mnie, to było, jak wiele innych rzeczy na Kozymie, przez nie uwagę, brak odpowiedzialności i nadzoru naczelnstwa, zostawione i zapomniane.

Zostałem więc "sanitarem" przedłużając okres swego pobytu w tym szpitalu dzięki temu, że „chromałem”. Tu się zetknąłem z syfilitykami. Byli to, ale nie tylko, błatnyje i ich męskie kochanki. Między nimi głównie szerzyły się choroby weneryczne. Pospolitym więźniom ale w głowie były takie rzeczy, sprawy seksualne. Po prostu ze względu na wysiłek i wyczerpanie fizyczne, sprawy seksualne nie wchodziły w grę. Natomiast tymi sprawami parali się silni, ci,

30

któży cały czas mieli dobrze, nie pracowali, a więc błatnyje i suki. Choroba zaczęła się od tak zw. "kapusty" - owrzodzenia odbytnicy, głównie u kochanek męskich, ale praktycznie to oni wszyscy byli bierni i czynni i gnili po kawałku. I zarażali się wzajemnie. Dla wenerycznych była w baraku wydzielona "klatka". Jedna osma baraku, róg, przy wejściu do baraku z lewej strony. Ogródzona sztachetami, tak żeby nie mieli kontaktu z resztą chorych w baraku. Podawało im się przez otwór jedzenie, mieli tam wstawianą paraszę, byli izolowani. Niektórzy byli w sytuacji tragicznej, zaniedbany syfilis, z odpadającymi częściami ciała: nosa czy ust. Leków nie było, degorywali. Chyba że w jakiś sposób organizm zaleczył to sam, choroba przechodziła w stadium chroniczne. Co się z nimi stało dalej, nie wiem. Zbliżał się już okres mojej przydatności do dalszej pracy. Z dnia na dzień oczekiwałem, że któraś z komisji zakwalifikuje mnie do transportu na jakiś przysk. Ciągłe na razie ratowała mnie funkcja "sanitara" w baraku. Skończyło się to mniej więcej w lipcu 47 roku. Na komisji zostałem zakwalifikowany do przeniesienia na "piersyjkę" i dalszy transport. I tak zakończył się mój drugi pobyt na Ust-Nerze.

Ja mam dwa wspomnienia związane z niedźwiedziem Północy. Pierwsze z Ust-Nery, a drugie z Terechciachu. O tym drugim opowiem później. Tu, w Ust-Nerze, nie w piersyjkę, tylko w tym głównym obozie przez pewien czas niedźwiedź woził w beczce wodę na kuchnię. Było to ciekawe, bo on był wytresowany. Przewyższający do tego, że kiedy gong uderzał w relsę na ustawianie się więźniów w stołówce po balandę - on również stawał i dostawał miskę śarcia. To trwało dość długo, przez pewien okres, aż została wymieniona ochrona obozu. Nowi nie wiedzieli o tym, że niedźwiedź może wychodzić na zapretzoną do ciepłego źródła, skąd dostarczał wody do kuchni. Sam ja jakoś czerpał i na sankach dociągał do kuchni. Pewnego razu żołnierz z wyłki zobaczył, że ktoś się porusza na zapretzonie,

strzelił i zabił niedźwiedzia. Wydarzenie z 47 roku, może również kto inny o nim wspomni. Wszyscy strasznie ubolewali z tego powodu, mimo że byli tacy wykończeni i panowała ogólna znieczulica.

Obóz podstawowy składał się częściowo z baraków dochadziagów OP. Natomiast w innych barakach byli więźniowie zatrudnieni w Ust-Nerze. Na konbazię, w niechocchu i w innych instytucjach komunalnych Ust-Nery, których coraz-więcej powstawało. Z każdym rokiem, z każdym powrotnym moim powrotem na Ust-Nerę, dostrzegało się rozbudowę tego osiedlenia i zwiększanie się liczby mieszkańców. Droga dochodziła przecież droga utwardzona i utrzymywana w gotowości z Magadanu. Praktycznie rzecz biorąc do 53 roku jedyną drogą z Magadanu, innej nie było. Z Ust-Nery po przepłynięciu Indygorki był jeszcze tylko kawałek drogi - 150-200 km do Kłginska i do Alaskitowa, też na północ. Droga na Jakack odchodziła od głównej drogi Magadan-Ust-Nera wcześniej, nie dochodząc do osiedlenia Arkagała, na południowy zachód od tych speokagrów, gdzie zostałem sesłany w 1949 roku. A z przysków płynęło się rzeką lub szło się na piechotę, ponadto była komunikacja samolotowa /.../ do przetrzucania różnych zapasów no i głównie do transportu złota.

W lipcu 47 roku do Ust-Nery przyjechała komisja i zakwalifikowali mnie jako pełnosprawnego do roboty. Zostaje przetrzucony na tę pieresylkę, formuje się transport i zapada decyzja, że mam być dostarczony na przysk Terechoiach. W pierwszej wersji famy miał to być przysk Marszałski. Wtedy nikt o tym nie mówił oficjalnie. Odbywało się to tak zazwyczaj, że przychodził naczelnik i "Taki siaki, sobirajaja z wieszczami", prowerka, ustatowanie w grupy i transport. Nikt nie mówił, gdzie i dokąd. Potem dopiero człowiek dochodził, gdzie jego "docelowe przeznaczenie". Tak jak poprzednio razem doprowadzają nas na brzeg Indygorki na przystanek i odbywa się droga w odwrotnym kierunku jak na Pokryszkin. Tam przynajmniej w górę, teraz natomiast z biegiem Indygorki na północ wzdłuż "hrabta" Czerskiego. Płynięty łodziami do Prędpożnego. To była miejscowość

u zbiegu Indygirki z jakimś dopływem, ale nie wiem, jak ta rzeka się nazywała, jakaś nieduża rzeczka. W tej miejscowości wyładunku nas i dalsza droga odbywa się na piechotę, ponieważ kilka kilometrów dalej były "progi", wodospady i trudno było ładkami się przewinąć. Cała grupa z żołnierzami, z psami idzie wzdłuż brzegu Indygirki na północ. Idziemy, idziemy, z prawej strony brzeg bardziej płaski, kamienisty, widać, że rzeka wylewa i kamienie wyrzuca na brzeg. W dalszej perspektywie widać „sopki”, góry. Natomiast lewa strona rzeki bardziej górzysta. Idziemy ciągle brzegiem Indygirki, trafiamy na jurkę jakucką, w której się zatrzymujemy. Jurką jest okrągły szkielet z drzewa, kości i skór zwieszony u góry w komin z którego wydobywa się dym. W zimną porę obsypywany jest mokrym śniegiem tworząc ochronną warstwę lodu przed zimnem. W jurcie mieszczą się ludzie i domowe zwierzęta, razem. Przy palenisku stara Jakutka rozklepuje na udzie placuszki, które piecze w popiele i podaje domownikom. Jakuci są bardzo prawdomówni i gościnni. Używają swoich żon i córek w swojej obecności za przepierzeniem. Za spirytus i „cayfirok” zrobią wszystko. Przegrane w cieszko długi np. w zlecie, zaracają o oznaczonym czasie. Są wykorzystywani i oszukiwani przez wolnych. NKWD i władze ochrony płacili Jakutom za złapanego, zdesperowanego więźnia, który szedł w „pobieg” - spirytusem i herbatą oraz jakimś symbolicznymi rublami. Nas oczywiście do samej jurty nie wpuszczają, żołnierze tam wchodzą, posilają się, piją szałę, mleko reniferów, którym Jakuci gościnnie częstują i jedzą placuszki. Potem idziemy dalej. Dochodzimy do kolejnego dopływu Indygirki - rzeki Momy. Od tego dopływu skręcamy na wschód, już nie idziemy nad Indygirką, tylko wzdłuż rzeki Momy. Natrafiamy na większe rozlewisko po kilku kilometrach i przepławiamy się na drugą stronę rz. Momy powyżej koryta, wanieśnieniem lekkim z lewego brzegu rzeki. Cały czas idziemy na wschód. Cała ta podróż z ust-Nery do

88

Terechciacha trwała około 5-6 dni. O tyle nie była tragiczna, że nie odbywała się zimową porą, nie marzliśmy przynajmniej. Poza tym ochrona, nie wiem dlaczego, nie była zainteresowana pośpiechem, pogoda piękna, krajobraz bajkowo-dziwiczny. Cały czas dostawaliśmy suchy pajek, najpierw do Pieredporożnego, a stamtąd następnego zasilenie do samego Terechciacha. Cała ta podróż na północ odbywa się między dwoma pasmami górskimi - jedno z nich to Góry Czerskiego, w środku Indygirka ze swymi licznymi dopływami. Wszystkie te rzeki mają swoje ujścia na północy w Oceanie Lodowatym. Po drodze lasy: cienkie drzewa, gęste. Dostajemy się na odkrytą dolinę pomiędzy wysokimi górami, u stóp których płynęła rz. Moma. Po lewej stronie rzeki, nad którą idaliśmy, rozciąga się poziłek. Widać po dymach z kominów i po oświadczeniu ochrony, która nas ponagla i staje się bardzo rygorystyczna, że zbliżamy się do miejsca przeznaczenia. Nasza ochrona składała się z dwóch żołnierzy z psem, bo praktycznie nie była potrzebna. To byli bardziej przewodnicy niż ochrona. Zresztą ich spolegliwość była być może wybiegiem taktycznym. Mogliśmy ich przecież ukatrupić, brak było tylko prowadzącego. Nikt nie miał zamiaru, nie miał gdzie i nie wiedziałby gdzie uciekać. W pobieg szli tylko zdesperowani, wykończeni więźniowie, załamani całkowicie. Było nas około 20 osób, w tej grupie nie było Polaków. Natomiast na Terechciachu zetknąłem się z Polakami, kilka nazwisk pamiętam: Stanisław Enap oraz Andrzej Kamiński, który tam zmarł. Jego żona dowiedziała się o tym ode mnie po moim powrocie. Zwróciła się do władz radzieckich z pismem i dostała oficjalne zaświadczenie, że tam został pochowany.

Teraz może o samym Terechciachu. Od strony północnej było bardzo wysokie pasmo gór skalistych, na szczytach cały rok leżał śnieg. Od południa granicą była rzeka Moma. Od strony zachodniej również pasmo górskie, ale już o obłych szczytach. Na jednym z tych szczytów był postawiony krzyż. Jak się później dowiedzieliśmy, był to

84

grób zamarzniętej na śmierć ekipy geologicznej, która tutaj pro-  
wadziła "rozwiadkę", odkrywała ten przeklęty i zapomniany przez  
Boga Terechciach. Od strony wschodniej był płaskowyż, płaszczyna  
trochę zalesiona. Tam było również bliżej rzeki Momy lotnisko, po-  
tem konbaza, a przed konbazą domy wołnych. Natomiast na zachodzie  
pod górami był usytuowany obóz, do którego nas zapędzono i przyję-  
to. "Wchodziliśmy" w strefę podbiegunową. Wołni, z tego powodu,  
że się w tej strefie znajdowali, dostawali "zapobiegawczy", tzn.  
dodatkowe urlopy, podwójne pensje i tym podobne przywileje i pro-  
fity.

Od szczytu tych północnych gór aż po rzekę Momę to był teren,  
gdzie znajdowało się złoto. Wzdłuż tego stoku spływającego w dół  
jakby dolinki, płynęła jakaś rzeczka, która wpływała do Momy. Taka  
rzeczka - nierzeczka, bo ona nikła, ginęła w pewnym okresie roku.  
Na zachód, wschód i na północ wzdłuż tego stoku cały teren był  
odkrywany, kryty dynamitem. Po zachodniej i wschodniej stronie były  
odwały kamieni i skruszonej skały. Kamieni wywiezionych taczkami  
przez więźniów, odkrywających, odsłaniających teren złotodajny,  
teren eksploatacji.

Okres zimowy był bardzo długi. W tych najgorszych okresach zi-  
mowych, grudzień i styczeń, prace nad wydobywaniem czyli przemysła-  
niem złota były zminimalizowane. Natomiast w tym okresie trwały  
przygotowania terenów następujących do "zrywania" w powietrze. Na czym  
to polegało: kopano się szurfy o głębokości dwóch, trzech metrów  
w zależności od terenu - w taką szachownicę. Każdy więzień dosta-  
wał dom i przydział takiego szurfu w szachownicy - na bardzo dużym  
terenie. Kopał dół, w jego bokach robił "kamery", które były zala-  
dowane dynamitem. Trzeba wiedzieć, że teren ten to wieczna zmarz-  
lina dochodząca do 140 m w głąb ziemi. Potem szurfy były z powrotem  
zasypywane ziemią. Cała ta "płaszczyzna", która miała być zerwana,  
była zasypywana i wyrównywana. Następowало wyprowadzenie więźniów

85

z obozu ze względu na stosunkowo niedużą odległość i wysadzenie, zerwanie całego terenu w powietrze. Odłamki leciały aż na obóz, na posesłek. Chcąc się uchronić przed ziarnem, z worków po dynamicie uszyłem sobie coś w rodzaju kałasontów i z tego powodu mało nie oblażłem ze skóry. Wysadzali specjaliści minierzy, „arywaczycy” więźniowie. To była bardzo niebezpieczna praca. Zdarzały się dość często wypadki, że ginęli rozerwani na kawałki. Zabijało ich, urywało nogi czy ręce, jeśli nie dość ostrożnie uważano przy obchodzeniu się z materiałem wybuchowym /.../. Ta ziemia wysadzona w powietrze to była odkrywka, a nie złoty piasek. Złoto znajdowało się do 40 cm powyżej skały i 20 cm w skałę. Cały ten zerwany grunt trzeba było wywieźć na dwie strony na odważy taczkami, to była katorżnicza praca, pod górę po trapach z desek.

Ten przygotowany w ten sposób teren podlegał przeszyciu. Szurfy swą głębokością nie dochodziły do samej skały, żeby nie zerwać terenu złotego, tej złotej żyły. Tu warto powiedzieć, że jeśli się mimo wszystko znalazło potem jakiś samorodek uszkodzony, rozerwany wybuchem, to trzeba było go wyrzucić, zdjąć go nie można było bo by się dostało dodatkowy wyrok za umyślne uszkodzenie go. Cały teren i wszystkie szurfy były sprawdzane i mierzone aby nie były za głębokie przez rozmerowszczyka wolniaszkę, odpowiedzialnego za dokładnie wykonaną pracę. Pomiar tej pracy był też potrzebny do wyliczenia wykonanej normy przez brygadę. Taki jeden szurf kopał więzień w wiecznej zmarzłocie kilka dni. Poza tym cały teren wczesniej był badany przez „geologów” więźniów, w szurfach rozwiędzonych, bardzo skrupulatnie. I tak w odwałach znajdowało się do trzech procentów złota określonego dla tego terenu, które podobno w późniejszych latach jeszcze się opłacało przemyśleć. Bo w tym okresie nie.

Po wybuchu trzeba było ten cały grunt wywieźć na taczkach na wschód i zachód, żeby się dostać do ziemi złotodajnej. W związku



28

z tym nordestersza praca - gorzej niż ta na Pokryszkinie - wywołanie tego odwała, pod górę rosnącej coraz bardziej. To była ciężka ale nieodczuwalna praca przygotowująca do wydobywania złota. Na każdego człowieka, czy to wolnego, czy więźnia, czy z ochrony - wyznaczono normę złota do wydobywania. Ci, którzy wyli złoto, musieli wykonać normę np. za brygadę wynoszącą ziemię. Bo normę wydobywania obliczano się z całego poziomu. Wynosiła ona 15 g dziennie na osobę.

W obozie było bardzo ciężko, jak we wszystkich tego typu łagrach kołymskich - już się nie będę powtarzał... Pewni ludzie znowu zaczęli tracić zdrowie, siły. Zaczynało się pojawiać coraz więcej dochadziagów w łagrze. Ta sama procedura: ci, którzy rzeczywiście nie mogli pracować, byli "aktizowani", przerzucani znowu na Urst-Narę, a stamtąd przychodziły nowe posyłki do pracy. Były tu różne zdarzenia w czasie zimy. Niektórzy więźniowie, głównie urkosie, chcąc przetrwać ten najcięższy okres, praktycznie 10 miesięcy mrozu, zabijali w zabójcu jakiegoś więźnia. Właśnie jak kul taki szurł to z góry go kajłem lub czymś ciężkim. Oczywiście takiego sądzono, ale dopóki nie odbył się sąd, siedział w spec-karcercie dla podsądnych, nie wychodził do pracy, siedział w ciepłym pomieszczeniu, wymyślał coraz to nowe powody przestępstwa. Dla niektórych bandytów z przysku to był rynek, sposób na przetrwanie trudnego okresu zimowego. Warunki w takim karcercie nie były lepsze, nawet gorzej, ale dla tych którzy odmawiali dalszej pracy. Potem opowiem, bo się tam dostałem w pewnym okresie. Była jednak zasada, że więzień, który podlegał sądowi, musiał mieć warunki w miarę możliwe, żeby nie staniał zarzutów, że był szykanowany itp. Takie pseudo-prawa. Ten karczer "przedsądowy" był lepszy. Te wypadki były rzadkie, ale mówię o nich, bo się zdarzały. Tutaj również zetknąłem się z "samorubami", którzy sobie odcinali palce, żeby nie ganiać tych taczek, też siedzieli w takim karcercie czekając na sąd.

Zabójcom najczęściej dawano wyrok "dobawiany" tzn. jeśli odsiedział np. 5 lat, a miał 25 lat, to mu "dorównywali" z powrotem do 25 lat. Inna sprawa, że byli tam więźniowie, błatnyje, którzy mieli po sto lat wyroku. Bo w pewnym czasie została zniesiona w Kossji kara śmierci. A błatnyje uważali więzienie i obóz za swoje środowisko, dom. W związku z tym popełniali takie czy inne przestępstwa, zabójstwa, również wewnętrzne dintojry i dostawali następne wyroki - dokładano im. Błatnej Grysza Orłow z prysku Terechciach miał już wyrok 130 lat.

Cały obóz był usytuowany pod niedużym wzniesieniem. Pod górą z grobem i krzyżem, można go umiejscowić, że leżał na pierwszej półce. Obóz składał się najczęściej z jednej zony lub dwóch, rzadziej z kilku. Teren obozu był otoczony najpierw od 2 - 3 m pierwszą zapretzoną, od strony zewnętrznej. Następnie był pas terenu pomiędzy dwoma płotami z siatki i drutu kolczastego szerokości ok. 3 m. I wreszcie od strony wewnętrznej obozu znowu pas 2 do 3 m szerokości kolejnej zapretzony. Tereny zapretzone były nie naruszalne pod karą śmierci dla więźniów. W środkowym pasie po rogach obozu stały wyżki z których pilnowali całego terenu bojoj z ochrony. Wyżki miały łączność wizualną i telefoniczną. W środkowym pasie biegały psy a teren w zapretzonach był codziennie grabiony. Było to zajęcie zaufanego więźnia, u którego zawsze można było kupić za chleb machorkę z okurków zebranych pod wyżkami. Teren obozu był oświetlony od zewnętrznej strony elektrycznie. Już poza terenem obozu był karcer, mniej więcej pod wyżką lub w jej pobliżu. Przetrzymano tam więźniów, którzy w jakiś sposób podpadli władzy obozowej lub nie chcieli wyjść do roboty. Więźniowie-zabójcy i w ogóle czekający na sąd byli w osobnych pomieszczeniach, w lepszych warunkach. Ściany ich celi w karcerze były utkane mchem i szmatami. Natomiast część pozostała karceru była dla reszty. Karcer był tak usytuowany - specjalnie - że były tam olbrzymie wiatry - przeciągi pomiędzy

szparami w balach. Baraki natomiast były budowane z bali drewnianych nie obijanych deskami, tylko bale utykano mchem, szpary między belami. A tu w karczerze specjalnie nie było mchu, żeby było zimniej. Specjalnie tak zrobiono. Ten, który miał władzę nad karczerem, był w jakimś stopniu sadystą. Nie mogę sobie przypomnieć w tej chwili nazwiska, ale był to były więzień w randze starszyna na osiedleniu, był w ochrze. I znęcał się dosłownie sadystycznie nad grupą więźniów, którzy się dostali do karczeru. Robił różne eksperymenty, np. nie dawał dzień - dwa jedzenia, potem dawał śledzie i palił do czerwoności w piecyku. Więc więźniowie po prostu mocz pili, żeby trochę zwilżyć usta. Były wypadki, że nie wytrzymywali, wieszali się na kratkach.

Podczas mojej bytności na pryskach i łagrach kolumbskich "Dalstroju" zetknąłem się z różnymi typami zakluczonych, których władza radziecka izolowała z przeznaczeniem na zagładę poprzez pracę przy zakładaniu fundamentów komunizmu, przyszłego raju i szczęśliwości na ziemi. Byli to: wszystkie narodowości, około 150 zamieszkujące Kraj Rad, narodowości podbitej Europy: Polacy, Węgrzy, Rumuni, Litwini, Łotysze, Estonczycy, Niemcy, Finowie, Żydzi, Austriacy, Włosi, Japończycy i inni. Więźniowie ci rekrutowali się z: byłych oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej po gehennie obozów niemieckich, zasłużeni narodowi artyści Związku Radzieckiego, dyrektorzy i administratorzy biurokracji sowieckiej, konstruktorzy i inżynierowie niewygodni swoim przełożonym, byli białogwardziści i ich potomkowie z Mandżarii, rolnicy i kolchoźnicy, kulacy oraz zbieracze pokłosów, kryminaliści najbardziej okrutni, żołnierze A.K. z całej przedwojennej Polski, różnej maści polityczni ze szczególnym okrucieństwem tępieni przez nadzorców enkawudzistów jak i ochrę - byłych zwolnionych więźniów kryminalnych.

Na Terechciachu byłem około dwóch lat, do początku 49 roku. W pierwszym okresie zostałem skierowany do brygady na sam prysk,

do mycia złota. I tam pracowałem. Nie zawsze udawało się wymyć tę normę - wtedy nie dawali obiadu i zostawiali na następną zmianę. Teren był oświetlony i pracowało się dotąd, aż człowiek zdał tę normę. W związku z tym znów zacząłem zapadać na zdrowiu, stawałem się powoli dochadziagą. Pod koniec 47 roku zaczęły się trzaskające mrozy, przyszedłem tutaj w tak zwany lecie. Warunki były coraz gorsze. Nie będę tu już opowiadał o błatnych i wewnątrzobozowych stosunkach. Wszędzie było jednakowe znęcanie się, szczególnie polityczni byli na nie narażeni. Powoli zaczynałem tracić siły. A te 15 gramów złota były rozłożone na wszystkich w obozie: na kucharza, na lekarza, na chleboresa, na powara. Cui za balandę rozwodnioną, za jedzenie, które nie dodali innym więźniom, wykupywali to złoto, które się przemycalo do obozu - żeby zdać swoją normę. Za to lekarz dawał zwolnienie, powar jakąś balandę, dolewając kuboł wody do kotła, chleboresz dodatkową pajkę chleba, którą kradł z innych pajek więźniów. Jako ciekawostka. Przykład jak powar kradł sachar. Zасыpywał go komisyjale przy naczelstwie w środek kotła i kręcił dokoła wielką chochłą po obrzeżu kotła, kiedy naczelstwo wyszło zlewał ledwie słodki czaj do drugiego kotła, a cukier który został na dnie w środku kotła miał dla tegoż naczelstwa, naradczyka i innych. Trzy papierosy, skręty w gazecie, ow. "karobka" od zapalek, tytoniu machorki krupczatki - kosztowała również 15 gramów złota. Najlepiej ze wszystkich gazet nadawała się do robienia skrętów z machorką gazeta "Prawda". Najrówniej się dala, i najrówniej paliła, używali jej wszyscy wolni i zeki, była najcieńsza. Tak samo pajka chleba - 300 gram. Taki był przelicznik. Alternatywą było, jeśli się udało, a ochrona nie "rozreszała" pozwalała - wejść na samym prysku w kontakt z walniaszka i nadatki złota dać wolnemu za jakąś kaszę, krupę, chleb. Po opłaceniu złotem bojców otwierała się możliwość kontaktu z wolnymi. Więcej złota jeśli się znalazło to nie warto było zdawać bo nie się z tego nie miało, lepiej było gdzieś pod kamieniem schować na normę

następnych dni. Pozostawali ewentualnie jeszcze wolni i funkcyjni w zonie, ale to było karane i ryzykowne. Ja największy samorodek znalazłem wielkości płaskiego pudełka "spiczek", około 300 g.

Zaczęła się zima, warunki coraz gorsze. Ponieważ ziemia tam to wieczna zmarzlina, ponad 100 m w głąb zmarznięta, scementowana lodem ziemia, muszę powiedzieć jak się przemyślało to złoto. Jedna zmiana drugiej zmianie musiała przygotować teren, to znaczy rozpaść ognisko przy brzegu tych wyrw, założyć kamieniami tak, żeby ogień "szedł" w głąb ziemi, żeby "odgrzać" tę ziemię. Jak przychodziła następna zmiana, to część więźniów odwalala ten popiół i kamienie i odtajały teren przemywała a druga część szła po drzewo na odgrzanie nowego terenu. Najpierw "skrybkami" wybierało się samorodki. Drobniejszy grunt myło się w „klatku”, drewnianym prostokątnym talerzu, a resztę grubszego gruntu przemywało się na "amerykankach" przechodnuszkiach. Były to krótkie amerykanki. Krótka do trzech metrów "kołoda" - koryto z drzewa, wyłożona jakimś włochatym materiałem i kratką z wąskimi patyczkami poprzecznymi z drzewa. Ustawiona pod kątem 40°. U góry się nalewało wodę, a na dole u końca tej kołody też ustawiano pół beczki a pod nią nieduży ogień. Nie wolno było tracić wody, bo woda była cenna - z rozgrzanego sniegu. Na górze sypało się grunt do takiego czworokątnego zbitego z drzewa bunkierka u góry kołody i czerpakiem polewało wodą. W ten sposób przemywało się złoto na amerykankach. Wszystko to na mrozie, na powietrzu - dopiero przy minus 55°C był dzień "aktirowany". I to była jedna praca trójek więźniarskich. Natomiast indywidualne mycie złota wyglądało trochę inaczej. „klatok i skrybek” to było podstawowe wyposażenie więźnia szukającego złota. Klatok to prostokątny drewniany talerz, którego dno było zagłębione poprzeczną linią w stosunku do bocznych ścianek. Tu zbierało się przemyte złoto. Wprawy i umiejętności przemywania złota, wykonywania pewnych ruchów trudno było się nauczyć. W początkowym okresie nie raz

91

złoto spływało z ziemią do półbeczki z roztopionym śniegiem. Skrybok to narzędzie podobne do ogrodniczych ręcznych grabek-motyczek. Na drewnianej ręczce osadzona dwustronna zastrzona blacha do prze-grabywania złotodajnego gruntu. Wyłuskiwania samorodków, podważa-  
nia skał między którymi spoczywała żyła złota. Część brygady wywo-  
ziła odwały na jedną i drugą stronę taczkami. No i tu największe  
znęcanie się brygadzystów i błatnych, którzy nie pracowali, siedzie-  
li przy ognisku w ciepłe. Jeśli więzień nie miał już siły wyjść do  
pracy, obowiązywała reguła przejścia na lewą stronę bramy wyjścio-  
wej z łagru. Znaczyło to, że się "odkazuje" od pracy. I tu były  
dwie możliwości. Jeśli ochrona doszła do wniosku, że taki już nie  
da rady rzeczywiście, to go wsadzano do karceru i tam się znęcano.  
Ale był jeszcze i taki sposób na wypróbowanie sił więźnia i jego  
możliwości fizycznych i psychicznych. Przyprawiano z konbazy ko-  
nia z "przedkiem" - małymi saniami. Przywiązywano za ręce albo za  
nogi do tego przedka i po śniegu ciągnięto więźnia na proizwodstwo.  
Zaciągano, odwiązywano i koń wracał do konbazy. I teraz: do ogni-  
ska brygadzysta nie pozwalał się zbliżyć, natomiast mróz zmuszał  
człowieka do ruszania się. I albo tracił przytomność, padał i koń-  
czył się, albo się "szewielił". Brał za jakąś łopatę, taczkę czy  
łom, starał się ruszać. Niektórzy z wycieńczenia nie mogli za  
tymi "wołokuszami" iść z obozu do zaboju, przewracali się, ale koń  
mimo to ciągnął po śniegu, było ślisko. Tiagrejka się zawijała,  
podciągała aż na głowę, a pod nią nic nie miał więzień - to było  
makabryczne. Koło listopada już doszedłem do takiego stanu, że  
praktycznie nie miałem siły iść do pracy mimo bicia i zmuszania.  
Dobijała mnie świadomość, że przede mną jeszcze tyle beznadziejnych  
chwil. Że już dalej nie dam rady, że to już kres, że nie wykrzeszę  
z siebie więcej sił aby to przetrzymać. Przecież to był dopiero  
początek wyroku i mej katorgi. Kiedyś z Edkiem, jeszcze na pere-  
syłce w Nachodce siedząc pod barakiem i licząc patykami na ziemi

92

zrobiliśmy rachunek życiowych strat. Wyszło nam wtedy, że to ponad 5 tys. dni i ponad 130 tys. godzin mamy przed sobą. Kiedy wreszcie przewyciężając strach doszliśmy w swych dalszych wyliczeniach, że to ponad 7 mln minut, które nas dzielą od naszych marzeń o domu, o kąpiel w promieniach słońca nad Wisłą, załamaliśmy się i przestaliśmy wracać do wyliczeń i nierealistycznych marzeń. Teraz ta na Terechciachu kołatała mi w głowie, docierała do mej świadomości poprzez otrzymywane razy jedyna myśl - każdy kopniak to sekunda piekącego bólu. Ale ile sekund moja kość mogą wytrzymać, bo kiedy ciała nie ma to kości straszenie boją. Nie chcę nawet teraz o tym myśleć. Przechodząc do rzeczowej relacji tu trzeba powiedzieć, że na "naczalstwie" spoczywały pewne obowiązki. Jeśli więzień wychodził do pracy, musiał być w pełni wyposażony, tzn. musiał dostać rękawice, walonki, albo coś na nogi, ciężogrejkę dziurawą lub nie, czepkę - musiał te rzeczy mieć. A tych rzeczy był niedostatek, ciągle ich brakowało, więźniowie specjalnie niszczyli, sprzedawali wolnym. Losa tym na naczalstwie spoczywał obowiązek wyprowadzenia jak największej liczby ludzi do "produkcji", rozliczano ich z tego. Tym wykazywali swoją operatywność i dobrą organizację pracy. Oni musieli raport składać z tego, ilu ludzi było wyprowadzanych do pracy. Stąd zękanie się i zmuszanie - żeby maksymalna ilość wyszła do "produkcji". Mówiono, że Moskwa musiała mieć codziennie raport z ilości wyprowadzonych na roboty zeków, i ilości wydobytego złota. Mówiłem już wcześniej, że norma namycia złota ciążyła na wszystkich. Niezależnie od stanu zdrowia, sił czy zajmowanej funkcji, złoto musiało pokryć i tych którzy nie wyszli, nie wykonali normy czy zwyżajnych obowiązków. To był ścisły rozrachunek: tylu wyszło, tylu zostało w zonie, odkazyków i funkcyjnych, ci co nie namyli normy, to nie wracali do zony, więc była współzależność. Oni wyrównywali ilość tych którzy nie mieli sił wyjść. Szort musiał się zgadzać, a że

prysk nie wykonał założonej normy to winni są zakluczeni, że źle pracują, całość się zgadzała. Winni są zeki, faszyci. W środku zimy dochodzą więc do takiego stanu, że też nie mogą wychodzić. Już mi wszystko jedno co ze mną się stanie, chcę tylko jednego - zwinąć się w kłębek i zasnąć. A wyprowadzanie odbywało się tak: godzina 5 rano gong w rejsę zawieszoną w środku obozu, ciemno, тумan, mróz. Prowierka w głównej alei, liczenie wszystkich więźniów. Mówiłem już, jak niekiedy kilkakrotnie liczący mylą się, kogoś brak, bicie, krzyki, wyzwiska. Potem powrót do baraków, rozdawanie pajek po ciemku. Baraki z jednym oknem bez szyb, okno było zakrywane białym materiałem z worków po mące amerykańskiej. Przy jakiejś "kapciłce" oświetlającej niewielki krąg. Wszystkie "dobawki" przyszpilone specjalnymi zapawkami za zrobienie których chleborez dawał pajkę dodatkową były przez dniewalnego zrywane na jego korzyść. Były wypadki przytrzymywania słabego więźnia, zatykania mu ust i „poluczania” za niego przynależnej mu pajki. Dostawał człowiek tę okrojoną pajkę, niby 300 gramów. Trzymając ją już w ręku, albo najlepiej od razu zjadając, żeby nikt nie wyrwał, biegło się do stołówki, żeby dostać czaju, jakąś balandę. Ten czas trzeba było też wykorzystać na oblecenie śmietników koło wachty, kuchni. I ustawiało się potem na drodze apelowej przy bramie brygadami - do wyjścia, za bramę. Bo liczyło się wyjście za bramę. Za to był odpowiedzialny naradczyk i jego psiarnia - pomocnicy. Brał niekiedy do pomocy właśnie powarów, chleborezów, wracza i innych. Wszyscy oni byli zainteresowani tym aby wyszło jak najwięcej ludzi za bramę. Z prawej strony budynek ochry, ciepły, gdzie czekają żołnierze z psami, aby przejąć brygady, policzyć za bramą i prowadzić do "proizwodstwa". Całe "naczalstwo" wraz z komendantem obozu również na ganku werandzie, przyglądają się, jak wyprowadzają więźniów. Za bramą następuje moment kulminacyjny: albo odchodzisz na lewo, albo idziesz na "pr-oizwodstwo". I nastąpił ten moment kiedy



ja już nie mam siły i "odkazuję się" od pójścia na produkcję. Więc zaczyna się bicie, zerwanie rękawic, zabieranie rzeczy tych tak cennych, z takim trudem zdobytych, które ogrzewają. Otrzymują je ci, którzy nie mają, którzy nieraz specjalnie pozbywają się tych rzeczy. Wiedzą, że ja już do karceru, albo na te "wolkusze". Więc kopanie, bicie - i w pewnym momencie musiałem krzyknąć, czy jęczeć po polsku. I co się okazało. Żona naczelnika obozu była Polką i stała przy tym wyprowadzaniu więźniów, przyglądała się. Kiedy mnie usłyszała, zawołała, żebym podszedł. Podpełzłem, człokając się pod ten ganek gdzie stało osnute parą, w kożuchach naczalstwo. Zaczęła mnie wypytywać, skąd ja i co za jeden. I kiedy dowiedziała się, że jestem z Warszawy, nie wiem, czy zajęta li-tością, zadecydowała, że zostanę dniewalnym w jej domu poza terenem obozu. Było to kuriozalne wydarzenie, bo więźniów ze "stacji" 58 nie wolno było rozkonwojowywać. Rozkonwojowany mógł być bytowiek, kryminalista, czy jakiś inny więzień, złodziej, natomiast nie polityczny. Stacja 58 podlegała zróżnicowaniu pod względem paragrafów i one też klasyfikowały stosunek do więźnia. Ona spowodowała dzięki swojej władzy, że mnie rozkonwojowano, zostałem dniewalnym, mogłem bez konwoju wychodzić do pracy na wolny posesłek, do niej. Praktycznie uratowało mi to życie. Może zresztą by mnie "aktrowali" i wysłali na Ust-Nerę, trudno przewidzieć, może ubili? Ale jest faktem, że ten najgorszy okres przeżywałem jako dniewalny i, co najważniejsze, bez konwoju. Bo kiedy zrobiłem robotę u niej, przygotowałem wszystko, drzewo, wodę etc., to potem mogłem jeszcze wyskoczyć na posesłek. Naciąć drzewa, przynieść wody innym "wolniaszkom" za jedzenie. W związku z tym w stosunkowo niedługim czasie, parę miesięcy znowu stanąłem na nogach i nabrałem sił. Poza tym mogłem przynosić, być dostawcą dodatkowego pożywienia. Stałem się uprzywilejowany i w związku z tym przychodząc do obozu musiałem w jakimś stopniu dawać haracz więźniom

w baraku. Przynajmniej dla działającego baraku, brygadzysty etc. Więc część produktów zdobytych na posesioku przynosiłem do obozu. I tu nastąpiło coś, co spowodowało, że trafiłem z powrotem do obozu, pod konwój. Czysta ludzka zachłanność! Mianowicie, opowiadając o swoich warunkach pracy bez konwoju, powiedziałem, że ta Polka ma u siebie kota. I więźniowie zaczęli odcie mnie, żebym kota przytłaszczyl do obozu. Oczywiście musiałem to zrobić. Ukręciłem mu łeb i przytłaszczyl. Tam go <sup>b</sup> odarli ze skóry, ugotowali z kaszą i zjedliśny. Ale jednemu idiocie odbilo, żeby sobie zrobić ze skóry kota rękawice. Każda dodatkowa rzecz, każda szmatka była wartoscią bezcenną. Wygarbował ją, oczyścił z tłuszczu, natarł popiołem i żeby wyschła, "wywiałila się", powiesił na baraku. Rozłożył na dachu - słońca nie było, ale było powietrze. Ta babka zaczęła marudzić: "Gdzie kot, gdzie koszka?" - "Nie znaju, czort, jego znaju, kuda uszol". I trzeba przypadku, że podczas bytności w zonie ona tę skórę na baraku zobaczyła. Skończyło się - zostałem obwiniony i z powrotem skierowany do obozu pod konwój. Warto tu powiedziec, że słońca nie oglądało się tam przez cały rok, chodziło nisko, za sobkami, tylko w pogodne dni odblask i poswiata na szczytach i na niebie mówiła nam, że ono gdzieś tam jest i komuś świeci. Kobieta ta była żoną oficera, komendanta obozu. Jest już 48 rok, więc część tych enkawudystów "frontowików" zostaje przeniesiona do nadzorowania tych obozów. Ten oficer był w Polsce z armią rosyjską, tam się ożenił z Polką, razem z nią wyjechał do Rosji. Tu został skierowany na Kółymę do obozu jako naczelnik łagru. Kobieta ta była prosta, nie z inteligencji, pochodziła z Warszawy. Sentyment ją ruszył.

Tu jeszcze wspomnę o jednej sprawie: Piekarnia była usytuowana nad samą rzeką Moną, w posesioku dla wolnych. W związku z tym codziennie chleborez brał kilku więźniów z workami i szedł do piekarni po świeży chleb dla całego obozu. Chleb brano codziennie

96

jeszcze ciepły aby więcej ważył, był to interes chlebożera i piekarza. Była to wielka rzecz i dlatego zazwyczaj rano, jeszcze przed powierką więźniowie kręcili się już koło chlebożerki, żeby chlebożerowi wpaść w oko i pójść po chleb. Była okazja dostania dodatkowej pajki, był to los szczęścia, a poza tym przez wywierconą palcem w worku dziurę można było zjeść przez drogę nawet cały bochenek. Worki niesło się przewieszane przez ramię z przodu i z tyłu na plecach. Jakie straszne katusze przechodził więzień grzany ciepłym chlebem i nęcony zapachem świeżego chleba. Przechodziło się przez strumień mostkiem o około półtora kilometra od obozu. Później jeszcze z 1,5 km przez pasiołek koło magazynów i miechcechu. Tu drugi raz - nie bezpośrednio - spotkałem się z niedźwiedziem. Piekarnia była tak usytuowana, że ściana pieca - to nie była cegła, tylko kamienie i glina - przytykała do rzeki. Niedźwiedź od strony rzeki poznał po zapachu pieczony chleb. Był to niedźwiedź, który nie zasnął na zimę. Obruszył kamień, wyciągnął brytfankę, bo to był chleb "nalewnoj", pieczony w formach, ostudził na śniegu i zjadł. To był jeden przypadek. A drugi: W połowie drogi na tym strumieniu był wielki magazyn produktów, wszelkich dobrych rzeczy. Były tam beczki z kapustą i ze śledziami dla wolnych. Niedźwiedź głodny zwęszył zdobycz, dobrał się do tych zapasów - ukradł niepełną beczkę ze śledziami z magazynu, przeniósł przez rzeczkę i uciekł. Musiała być niepełna. Ja tego nie widziałem, ale fama krążyła po obozie. Nad Momą była również łaźnia, bania, w odległości ponad dwóch kilometrów w prostej linii od obozu. Co dwa tygodnie po 12-godzinym dniu pracy więźniowie byli prowadzeni do tej łaźni. Przed barakiem "bani" rozbierali się do naga, wchodziłi, tam byli goleni i myli się w szaflikach z niewielką ilością wody. Natomiast ich wszystkie rzeczy szły do odwieszalni, parówki. To była po prostu beczka, w której zawieszano ubrania. Było w niej trochę wody, była przykryta, pod nią palił się ogień. Para zabijała wszy i pluskwy,

których były niesamowite ilości. Nigdy w życiu nie widziałem takich ilości pluskiew, nawet sobie nie wyobrażałem, że może tyle istnieć. Parówka częścią żywych wszy zabijała, natomiast gnidy nie wszystkie. Po dwóch tygodniach trzeba było rozpocząć wszystko od nowa. Raz jedno z ubrań spadło z haka i zamoczyło się w tej wodzie. Jak wyszliśmy z kaźni, to więzień musiał to zmoczone ubranie włożyć na siebie. I przy tym mrozie około 20 stopni - przechodząc z powrotem do obozu, odmroził sobie przyrodzenie. Ubranie mokre, on był słaby, kiedy przyszedł do obozu był cały skostniały. I tu wyszła na jaw jego tragedia. Dostał się do saneczki, oczywiście. Co się z nim później stało, nie wiem.

Tu jeszcze chcę powiedzieć o jednej rzeczy. "Cmentarz" był tak uytuowany: najniżej był ten strumień wpadający do Momy, po lewej stronie patrząc na sobkę z krzyżem teren trochę wyższy, pierwsza półka - tam był obóz. Nad obozem jakby druga półka płaskowyż, a na niej cmentarz. To znaczy nie normalny cmentarz tylko "chroniliszcz". A jeszcze wyżej góra z tym krzyżem w miejscu, gdzie zginęła ekspedycja, która ten teren odkrywała. Ile jobów było kierowane pod adresem tych co leżeli pod tym krzyżem, tam w górze. Oczywiście taka postawa była prymitywna, ale na wskroś spontaniczna, i życiowo wytłumaczalna. I chciałbym o tym cmentarzu opowiedzieć. Trzeba pamiętać, że to jest wieczna zmarzlina, że jest śnieg i siarczasty mróz. Ludzie, którzy umierali, a umieralność była bardzo duża, byli chowani na tym "cmentarzu", to znaczy miejscu zakopywania trupów. Więzień, który miał w ziele zakopać nieboszczyka, dostawał dodatkową pajkę, w związku z tym była to korzystna sprawa. Ale wykopywanie w "marzłocie" grobu było niesamowicie ciężkie i oczywiście żaden z więźniów się nie trudził. Po spisaniu nieboszczyka w archiw III więzień brał trupa na sanki i ciągnął na górę. Rozgrzebywali śnieg, troszkę z wierzchu ziemi odkopywali kajłem czy łomem - niedużo - i śniegiem przykrywali trupa. Leżał on jakby w lodówce, do wiosny, gdzieś do czerwca.

W czerwcu na tej półce śnieg zniknął. W wyższych partiach leżał cały rok. Te trupy wychodziły na wierzch, pokazywały się na wierzchu, spływały z wodą. I tu strzymywało się następną pajkę - już żeby zakopać nieboszczyka głębiej w ziemi, która w okresie letnia tajęła, powieszchniowo odmarzała. Praktycznie każdego zmarłego grzebano się dwukrotnie.

Mówiłem już o okresie mojej "prosperity" - potem z powrotem dostaje się do obozu. Warto opisać jak wyglądał barak, których było dwa rodzaje. Mniejsze z wejściem z czoka z 2 niedużymi pomieszczeniami wyizolowanymi od reszty dla brygadzysty z pomocnikami oraz dniewalnego z jego nocnym pomocnikiem. Na końcu tego długiego baraku było niewielkie okienko, oczywiście bez szyby. Zakryte najczęściej workiem, które nie dawało żadnego światła. Wzdłuż obydwu długich ścian stały podwójne nary zbite z przepołowionych okrągłaków. Mniej więcej na środku baraku stała żelazna po gorluczym beczka - pieczka otoczona piaskownicą. W baraku zazwyczaj zamieszkiwała jedna lub dwie brygady. Beczka stała była czerwona i w dzień i w nocy, to należało do dniewalnych, do ich obowiązków. Nad pieczką suszyły się stałe, walonki, onuce, mokra przepocona odzież. Spród w baraku był taki, że nie jedną a dwie sikiery można było zawiesić. Beczka z wierzchu była spłaszczona, bo na niej dniewalny grzał wodę. Oświetlała barak kaptiołka zrobiona z puszeki od konserw, paliwem było gorlucze. Jeśli więzień po pracy nie przyniósł z sobą kawałka drzewa na opał nie dostawał pajki lub był wyganiany z baraku. Po nocnej powierce, apelu praktycznie nie można było chodzić po zonie. Ewentualnie tylko do pisuaru lub latryny. W spełniarach baraki były zamykane a parasze wstawiane do środka. Na Terechciachu jeśli bojec zauważył z wyżki szwendającego się więźnia to strzelał. Do baraków większych wchodziło się pośrodku. Były to jakby dwa mniejsze baraki połączone czokiem. Pośrodku na dwie strony były usytuowane najpierw pomieszczenia elity.

29

Wymiary baraku mniejszego były następujące: szerokość od 7 do 8 m, długość od 15 do 20 m. Wymiary baraków dużych podwojone na dwie strony. Osobnymi pomieszczeniami była: wachta, kuchnia ze stołówką, sancesaś, chleborozka - portnaja - sapożna były razem oraz karcer. Baraków zamieszkałych przez więźniów było: 2 duże i 5 mniejszych. W mniejszym baraku było na ogół 12 pozwolonych nar. Mieściło się w nim przeciętnie od 50 do 60 więźniów, co na dwie zmiany stanowiło około 120 zeków. Przez okres letni pracują już w zaboju na produkcji. Trzeba powiedzieć, że zaczyna się wtedy pewna mechanizacja. Mianowicie pojawiają się buldożery, iskowatory, czyli czerpaki, które po parę kabometrów ziemi za jednym zaczep-  
nięciem <sup>był</sup> zagarniają. Sprzęt ten jest amerykański sprowadzany w ramach Lend-Lease i dostarczany na Kołymę. Duże, olbrzymie koparki odrzucają tę ziemię, zerwaną wcześniej dynamitem, na odwał. I w okresie 48 roku po ponad 3 latach morderczej katorgi przestało się ziemię wyciągać łopatkami, to była olbrzymia ulga. Na prysku zainstalowano minielektronię dla najważniejszych potrzeb na polsku. Poza tym pojawia się pierwszy "przybor" mechaniczny do przewyżania złota. Jest to olbrzymia machina. Beczka wielkości cyster-ny w górze, pochylona pod pewnym niezbyt wielkim kątem, na poziomym podwyższeniu. Obraca się ona na wyłobieniach z szyn, u jej jednego otworu wylotu pochylonego pod kątem jest dwunastometrowa "kołoda" z drzewa. Wyłożona jest ona jak te małe amerykanki, dywanem, na nim poprzeczone pręgioty z drzewa, z deseczek, gdzie złoto ma się zatrzymywać. Do beczki z drugiej strony tej podwyższonej, wpada ziemia z bunkra-zaypu. Z drugiego bunkra umieszczonego na dole, w ziemi poniżej poziomu złotodajnego - po lencie taśmie gumowej przesuwana się gruntu z złotem. Lenta obraca się na "kransztej-nach", ta ziemia na niej pnie się w górę i wpada do bunkra zaypu na górze i następnie do beczki. Tam ruszani doprowadzony na górę jest "nasos", pompa z wodą - i ziemia z wodą miera się w tej beczce, beczka się obraca. Ale do bunkra na dole, w ziemi z całego

100

złotodajnego terenu to buldożer-spychacz zgarnia ziemię. Trochę pomagają więźniowie taczkami. Bunkier się rusza, drga, konwulsyjnie miarowo zsypując ziemię na tę rezinową lentę, która transportuje kilkanaście metrów do góry grunt. Wszystko usytuowane na rusztowaniu, na wysokości mniej więcej 15 metrów pod kątem ok. 60 stopni. Po obu stronach lenty i tego rusztowania stoją więźniowie. Większe kamienie wybierają z lenty i zrzucają na dół, żeby nie wpadały do beczki. Przy okazji wychwytyują dostrzeżone samородki złota i chowają w ustach. Na jedną i drugą stronę zrzucają większe głazy. Co trzy metry więzień na tym ażurowym rusztowaniu zrobionym ze skłupów i desek. Tak że kamienie zrucane na dół tworzyły wielkie piramidy. Pod tym wszystkim powstawał duży odwał kamieni wzdłuż rusztowania. Po sezonie mycia trzeba było lentę, bunkier w ziemi, przesunąć obok odwału w inne wolne miejsce. Mycie trwało 12 godzin. Po dwunastu godzinach następowała zmiana. Przychodziły nowe brygady do pracy i dokonywano "znimki" złota. Grunt przestawał być przesyłany do góry, do beczki. Beczka jeszcze długo się kręciła z samą wodą przemywając całą "kołodę" z ziemi. Specjalny utajniony "znimszczik", wolny człowiek, grubsze kawałki samородki złota z tej "kołody" zbierał ręcznie. Woda jeszcze w tym czasie przepływała. W pewnym momencie przestawała płynąć i widziało się wtedy 12 metrów ścieżki szerokości około 1,5 m ze złota, samородków. To był codzienny niesamowity widok. Obok stała olbrzymia misa z blachy, w której ten "znimszczik" w asyście żołnierzy jeszcze to wszystko przemywał. Część piasku z drobnym złotem w tym dywaniku zostawała. Woda była podgrzewana, a on w asyście żołnierzy, którzy mu patrzyli na ręce, mył, żeby nic nie zostało ukradzione. Krasć nie było wolno, pilnowano. Każdy był zainteresowany w ukradzeniu. Następnie złoto było suszone na patelni nad ogniskiem i wreszcie złoto było ubijane wstępnie w takich moździerzach aby oczyścić je z grubsza. Wreszcie ładowano złoto do woreczków, plombowano i przesyłano na Ust-Nerę.

107

Nanywano od dziewięciu do dwunastu kilogramów złota na jednej zmianie a nieraz więcej, wszystko zależało od tego, jaki grunt dostarczano do beczki. Ale średnio takie ilości. Okazywało się później, że na odwałach przy końcu tej długiej kołody drobniejsze kawałki złota w piasku były. Ale wtedy już się nie opłacało tego przemywać. Jak się dowiedziałem, podobno później te odwały o zawartości ok. 1,5 proc. złota w stosunku do gruntu, przemywano. Na prysku było jedno takie stanowisko pracy, jedna machina myjnia. W 48 i 49 roku praca więźniów zaczyna się powoli sprowadzać do prac przygotowawczych. Do przygotowania terenu do zerwania, robienia szurfów i zakładania dynamitu. Zerwania terenu i ściągania budulca z coraz dalszego terenu. Indywidualne brygady nadal jednak odgrzewały brzegi odwałów i ręcznie szukały i przemywały złoto, to się jeszcze opłacało. Odpadło jedynie wożenie taczkami. Duża część więźniów zatrudniona była na tym "przyborze". Na "przyborze" były też uprzywilejowane miejsca pracy. Na przykład przy bunkrze na dole, który się czasami zapychał jeśli więźniowie przeczyli duży kamień. To samo przy zsyple do beczki na gorze. Więźniowie którzy drewnianymi grabiami przegarniali kołodę, tu można było ukrąść jakiś samorodek, kradło się zawsze, gdzie się tylko dało i wazędzie, tylko trzeba to było robić sprawnie aby bojcy pilnujący na górnej platformie "przyboru" nie zauważyli. Karą był nocleg w bunkrze po skończonej pracy bez jedzenia. Segregacja tego gruntu na lencie, odsuwanie tych kamieni, które z rusztowania wciąż spadały na jedno miejsce zrzucane z góry. Więźniowie również rozdrabniali większe kawałki gruntu. Usuwanie przemytego odwału u końca kołody który ciągle narastał w miarę mycia.

W tym okresie zmieniają się warunki techniczne. Również zmienia się ochrona, tzn. z matierika przybywają enkawudziści, którzy zajmują się konwojowaniem i ochroną obozu. Między innymi na



102

Terechciach przybył komendant-naczelnik, o którym wspominałem. "Ochra" jako taka już nie jest złożona z więźniów, którzy do niej przechodzili przedtem. Całość spraw przejmują nad wszystkim służby specjalne.

Na Terechciachu byłem prawie dwie zimy, w 49 roku stamtąd odjechałem. Chciałem opowiedzieć o olbrzymim głodzie, który tam był ostatniej zimy i który spowodował śmierć bardzo wielu osób. Był to przełom 48-49 roku, straszna zima, wichury, purga. W pewnym momencie zabrakło kompletnie żywności, tak że my około siedmiu dni piliśmy tylko gotowaną wodę. Do pracy nas nie wysyłano, leżeliśmy w barakach. Próbowano nam dawać jakiegoś zgnię, ostatnie produkty z magazynu wolnych. Przez siedem dni doszło do tego, że nie było co jeść. W pewnym momencie przetarło się niebo i przyleciał samolot. Zrucił kilka worków mąki. To był pierwszy transport, jaki z Ust-Nery dotarł do Terechciachu. I wtedy od razu z tej mąki - dla wolnych i dla nas, więźniów - przygotowano chleb. Mówię o tym, bo on był powodem śmierci kilku osób. Umarł nawet jeden ze współwięźniów, z którym wspólnie leżałem na narach. Brałem jeszcze później na niego pajki nie ujawniając jego śmierci od razu. Myśmy nie wstawali, nie poruszcaliśmy się. Kiedy nam dali po pajce ciepłego chleba, niektórzy po prostu nie wytrzymali i zaczęli ten chleb jeść. Ja wtedy byłem w szpitalu, w szpitalu. Rozbełtałem ten chleb w ciepłej wodzie podgrzanej na pieczce i w postaci papki zjadłem. A ci, którzy ten chleb zjedli od razu w całości, dostawali skrętu kiszek. Rzucali się na wodę, która grzała się na pieczce, pili - kolega z nar wspólnych zmarł już przed ranem. Były to straszne, makabryczne warunki. Potem dopiero przebił się jakiś traktor z saniami z większą ilością mąki, powoli to się unormowało. Była to straszna zima i straszny głód, na pewno był to przełom 1948/49 roku. Makuchów nie jedliśmy. Natomiast pojawiła się tzw. czumiza, mandżurska kasza, podobna do ziarenek naszego chwastu rosnącego

103

przy płotach - siana po ugotowaniu. To nam dawano. Ale nasze główne pożywienie to był owies. Kartofla nie widziałem przez całe 9 lat, dopiero w Połmie w 1953 r. Owies otrzymywaliśmy we wszelkich rodzajach i postaciach. Niewymyślną potrawę - jakąś zapiekanka, zupa, na okrągło itd., krupa ganiająca krupę.

Chyba to był początek 49 roku, styczeń albo luty, kiedy zostaje komisyjnie jako dochadziaga "aktirowany" i przesłany z powrotem na Ust-Nerę. Jest to okres zimowy, znów stwierdzono u mnie elementarną dystrofię. Z Teruchciachu do Indygirki jesteśmy transportowani na saniach reniferami. Na Teruchciachu była konbaza, gdzie chowano konie, renifery, a nawet krowy. Rodziny wolnych na pasiołku miały dzieci, tylko dla nich było mleko. Nie mogę sobie przypomnieć miejscowości nad Indygirką, do której nas przetransportowano tymi reniferami na saniach. Przeprowadzaliśmy się na przełaj tajgą i przez sobki, bezdrożem znanym tylko przewodnikowi. Dalej, do Ust-Nery, "buldożerem" na saniach. Tu elekawostka. Wszystkie nitki do łap buldożera były robione z bardzo miękkiego żelaza. Stal na tym mrozie pękła jak szkło. Zamierznięta Indygirka była w zimie naturalną drogą transportu. Były nią przetrzucane duże transporty z materiałami budowlanymi, żywnością itp. Transport głównie odbywał się zimą, samolotem bardzo sporadycznie. Zapasy robiono na cały rok.

W Ust-Nerze jestem w szpitalu, w obozie, o którym opowiadałem wcześniej. Powoli dochodzę do siebie i po dwóch-trzech miesiącach zostaje skierowany pieszo na prysk "Pobieda". Prysk ten znajdował się na wschód od Ust-Nery. Szliśmy tam przełęczami przez Góry Czerskiego. Szliśmy około pięciu dni. Na Pobiedzie byłem wszystkiego miesiąc czy półtora. Z okresu pobytu na prysku Pobieda wspominać dwa niezbyt istotne zdarzenia i jedno przepiękne zjawisko. Po pierwsze w dość krótkim czasie pracowałem jako pomocnik przy

102

wypalaniu węgla drzewnego. Jest to ciekawa i dość trudna specjalność. Trzeba umieć ułożyć drzewo, odpowiednio dobrane, zarzucić, zasypać ziemią tak żeby się nie paliło ale i żeby nie zgasło - musi się żarzyć, bez dymu i ognia. W tym czasie udało się nam zsiapać psa z wolnego poseszka i zjeść. Była to ucztka która pozostała mi w pamięci długo w ciągu następných lat pobytu w łagrach. Natomiast niezapomnianym do końca życia cudownym zjawiskiem był widok płonącej sobki. To trudno opisać, szczególnie widok w nocy. Trzeba sobie wyobrazić ognisko wielkości kilku kilometrów. Wyjące, buchające jezorami ognia, cakanów gorących, szalejących wiatrów. A przy tym żywioła bezradność ludzi którzy czekają aż po kilku dniach ogień dokona samozniszczenia i wyładuje swą niszczycielską moc. Właśnie wtedy, w 49 roku, zapada decyzja zorganizowania spektakrów o specjalnie zastrzonym reżymie dla więźniów politycznych. Oddalenie ich od bytowików kryminalistów. Jest to wielki plus. Jest to związane w pewnym stopniu z tym, że dotąd z matierika szły transporty więźniów bez ograniczeń ilościowych. Transporty te szły z zajętych terenów Europy Wschodniej obozu socjalistycznego: Polska, Lotwa, Litwa, Estonia, Rumunia, Węgry, Niemcy - po kolei. W 49 roku a może wcześniej zaczyna się kryzys. Pozostaje plan - nawet zwiększony - natomiast nie przychodzą nowe transporty ludzi. Przychodzą coraz rzadziej. Plan pozostaje i zobowiązania spłaty długów a siły roboczej brak. I prawdopodobnie dlatego zapada gdzieś tam w Moskwie lub w Dalstroju decyzja że trzeba jakimś bodźcami ekonomicznymi podnieść wydajność pracy. A więc stworzyć lepsze warunki bytowania i pracy. Stąd decyzja oddzielenia więźniów politycznych. Równie dobrze decyzja mogła być podyktowana wykorzystaniem więźniów politycznych do prac wybitnie szkodliwych. Przecież na lagpunkcie nr 7 w kopalni, płuca więźniów ulegały zwapnieniu, po 6 miesiącach pracy. A docierały do nas informacje, że w niektórych spektakrach więźniowie chodzą w łańcuchach i po zakończeniu

wyroku nie są wypuszczani na wolność ze względu na tajność prac. To była chyba połowa 49 roku - było ciepło - ale mogą się mylić. A to są wspomnienia *po* *wielu* latach! Ale ja sobie to uprzytomniałem na "lato" 1949 roku. Po krótkim pobycie na Febiedzie, gdzie warunki podobne są jak na prysku Tarschela, zostaje przetransportowany z powrotem na Ust-Nere, i w ciągu paru dni jest formowany transport. Jak się później dowiaduję, że Alaskitowa, to jest lagpunkt numer 7. Jak to się odbywa: Parę dni na Ust-Nerza, przetransportowują nas promem na drugą stronę Indygirki. Tam czekają na nas samochody i - szczerą tak, mniej więcej jak, kiedyś jechaliśmy z Magadanu do Ust-Nery - jedziemy na północ. Dojeżdżamy do rzeki Elgi do miejscowości Elgińsk. Stamtąd jeszcze dalej na północ do Alaskitowa. Jest Alaskitow Dolny i Górny oddalone od siebie o jakieś 7 km. Dolnego nie znam zbyt dobrze, byłem tam tylko przejazdem do Górnego, ale wiem, że mieścił się tam szpital, urządzenia socjalne, ale był również obóz. O Dolnym mógłby więcej powiedzieć Łońka Paszkowski, stamtąd przybył na Górny do karceru *Buru*. Alaskitow leżał pomiędzy pasmami Gór Ozerskiego, na północ od Ust-Nery. Ciągłe jechaliśmy pod górę - droga się kończy. Przy tej drodze obóz, Alaskitow Dolny obóz I, a następnie Alaskitow Górny obóz nr 7, do którego zostajemy dotransportowani. Droga idzie jeszcze za ten lagpunkt nr 7 niedaleko, parę kilometrów i na jej końcu jest kopalnia. Mówiono, że jest to wolfram. Ale ja podejrzewam, że to jakiś pierwiastek promieniotwórczy, dlatego, że nawet trawy w okolicy nie było. Bliżej obozu i na Dolnym Alaskitowie była roślinność. Chyba promieniotwórczy pierwiastek, może się myłę.

Więc cały czas od Dolnego Alaskitowa - pod górę, aż do kopalni około 15 km. Z prawej i lewej strony wysokie góry. Dolina między nimi dość szeroka, przepływał nią strumyk, który prawdopodobnie wpływał do Elgi. Kopalnia, nie odkrywkowa, była dość głęboka. 100 albo i więcej metrów w głąb ziemi. Była tu pełna mechanizacja,

m. in. własna elektrownia, kompresornia i warsztaty elektryczne, mechaniczne. Pomiędzy obozem a kopalnią był posesłek wołnych. Kopalnia była po lewej stronie tej kotliny, wbijała się w sobkę i rozbudowywała się pod nią. Po prawej stronie elektrownia, na samym końcu drogi miechcech, za miechcechem magazyny i szyb numer II. Z boku naprzeciw miechcechu "lampeczna" i "mołotoczna", w której suto, naprzawiano młotki pneumatyczne na powietrze do borowania otworów pod dynamit. Między "mołotoczną" a samą kopalnią była duża kuźnia, spawalnia i kompresornia. Do tych młotów pneumatycznych, którymi borowali dziury na dynamit, było potrzebne ciśnienie z kompresora. I następnie szyb głębiny numer I a zaraz za tym szybem podobna do tej na ślotekajnym prysku machina, tylko bez tej beczki. Ale również pod kątem 60 stopni stojące rusztowanie-pochylnia, na której znowu z dwóch stron stali więźniowie i segregowali rudę, tzw. „sortirowka”. Wagonki z rudą dąły w górę bezpośrednio z szurfu-szybu do takiego bunkra do tej konstrukcji sortirowki. Następnie po lencie spływała ruda w dół, do ziemi, gdzie po drodze już, sortowana była, zbierana i magazynowana. Ruda była niebieska, z żyłkami... Jeśli był większy kawałek zanieczyszczenia to na dole, było to odkupywane i magazynowane w workach. Odrzucano większe kawałki skały, ale czyste bez rudy. Gdy brygadzieta zobaczył, że na dół spada kawałek skały z żyłkami, to więzień, który siedział na rusztowaniu sortując i był temu winien. był kerany. Mówiło się po prostu o rudzie, raczej o wolfranie.

Przez środek doliny leżącej pomiędzy dwoma łańcuchami gór przepływał strumień. Całość zamknięta była górą, zresztą była tam zaprzeczona, nie wiem co tam dalej było. Łagier był typowy. Obóz składał się z dwóch zon. Pierwsza jeszcze podzielona na dwie części: wchodząc na prawo administracja obozu NKWD i wołnych i na lewo administracja więzienna całego obozu. Pośrodku przejście, gdzie po

powrocie z pracy przejmowała nas ochrona obozowa. Nad bramą wejściową do obozu, zwieszanie z desek, na których widniało zawsze hasło w rodzaju "Sną pracą budujesz komunizm i lepsze jutro". Droga do kopalni prowadzili nas żołnierze z psami. Oczywiście sakramentalne "szag w lewo, szag w prawo..." - cały czas i to makabryczne ujadanie i wycie szczutych psów. Przechodziliśmy przez bramę, kazali nam siadać, obozowa administracja nas liczyła. Następnie wpuszczano nas za drugą bramę po podniesieniu szlabanu do właściwego obozu. Środkiem, nieco "podwyższona" biegła główna aleja, gdzie odbywały się powierki. Po jednej i drugiej stronie głównej drogi stały baraki. Najbliższej drugiej bramy po lewej stronie stołówka, a na samym końcu, patrząc od bramy, też na lewo była "bania". Po prawej stronie w samym rogu, prawie pod "wyżką" był karczar. "Bur" był na terenie obozu, nietypowo. Żyliśmy w barakach po obu stronach głównej alei. W pierwszych latach byliśmy zamykani na noc, wstawiano paraszę i praktycznie nie wolno było wychodzić. Załatwiali się w baraku, potem to trzeba było wynosić. Potem się trochę rozluźniło. Rano gong, powierka, do stołówki - normalnie. Nie wiem jacy więźniowie budowali łagier przed nami. To był już spektakier, tam dostaliśmy numery. Nosiło się je na czapce z przodu, na plecach i na lewym udzie nad kolana. Sznatki z numerem musiały być czyściutkie zawsze, to przy przejmowaniu przez ochronę było sprawdzane. Numer musiał być wyraźny, czytelny, czarna farba w każdym baraku była. Na białej sznacie czarny numer, każdy musiał dbać, żeby to było wykonane we właściwy sposób, bo inaczej dostawał kopniaka czy w mordę. Numery nie były drukowane, lecz pielęgnowane przez więźniów. Ja miałem M-1-950. Nie mogę sobie przypomnieć, a już niejedną noc nad tym myślałem, ale myśmy już wcześniej mieli numery, ale inne, bez liter i więzka. Chyba pod koniec pobytu na Terechciachu. Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, nie chciałbym udzielać fałszywych informacji, ale były to numery bez liter.

W specjalnych była jakby modyfikacja numeru, z literkami na początku. Może ona była związana z wydzieleniem więźniów politycznych. Te wcześniejsze, jak przez sen sobie przypominam, były bardzo długie, chyba sześciocyfrowe albo więcej. Byliśmy jakoś oznaczani, bo mi się kojarzy, że przy sprawdzaniu, transporcie itp. musiałem mówić nazwisko, imię, imię otczestwa, god roźdienia, stację i właśnie numer. To były te elementy, które musiałem powtarzać. Pamiętać choćby i w nocy i nigdy się nie pomylić bo inaczej to beśtało. Jeśli naczelnik, ochrona lub ktoś z naczalstwa wołał więźnia to on meldując się musiał recytować wyuczoną formułkę. A na ten numer M-1-930 mam nawet dokument książeczkę "saczną", którą na Alaskitowie wprowadzono w celu zwiększenia wydajności. Złudną nadzieję na wcześniejszą wolność. Jeśli ktoś wykonywał ponad 100-procent normy, to w zależności od wysokości wykonania odpisywano jeden, dwa czy trzy dni za jeden dzień wyroku. I taką książeczkę mam: co kwartał mam wpisany zmniejszony wyrok.

Kiedy przybyłem do Alaskitowa już byłem "społagiernikiem", tan. człowiekiem doświadczonym. Już sobie nie dawałem w kaszę dmuchać, wybierałem momenty korzystne dla siebie. Dla ustawienia się, przeżycia, pokonania przeciwności, nie dawałem się stłamsić. Oczywiście był tu brygadista, ale był to przewaźnie polityczny. Były już inne stosunki między ludźmi, nie było tego katowania. Choć białny-je też byli - już z tych politycznych, którzy postępowali na wzór bytowych, białnych. Było natomiast większe zęncanie się naczalstwa zgodnie z prawem, w ramach prawa. Zresztą prawa pisanego i niepisane-go ustanowionego przez to naczalstwo.

Pierwszy moment w Alaskitowie: dowiaduję się, fama krąży po obozie, że przy pracy pod ziemią grozi po sześciu miesiącach zwagnienie płuc i pełna aktizcwka. Zesłanie już nawet nie do Ust-Nery lecz w okolice Magadanu na specjalne lżejsze prace. Po sześciu

miesiącach praktycznie ludzie ci, pracujący pod ziemią, tracili apetyt, a dostawali lepsze pożywienie, np. cukier - i tak się kończyło. Mówiło się o zwapnieniu płuc. Dowiedziawszy się o tym, zacząłem kombinować, jak się od tego uchronić, bo zostałem wcielony do brygady, która miała zejść do kopalni na dół. Poza tym miałem lęk zamkniętych przestrzeni, ogarniał mnie strach w zamkniętym pomieszczeniu. Widziałem, co się dzieje, kiedy "proarab", który wyznaczał zakres prac i ich miejsca, która brygada gdzie idzie, wyznaczył nas do kopalni na dół. Siedział on w "ciepluszce", małym baraczkach, przy ciepłej "pieczce". "Ciepluszka" była usytuowana mniej więcej przy pierwszym szybie. Zorientowałem się ostatecznie, że idę na dół. Kiedy zostałem do niego doprowadzony, miał mi wydać narzędzia: kajło, jakąś lampę... I tu moja reakcja: "Nie pajdu do kopalni "w szachtu"! - "Szto ty gaworisz - poczemu nie pajdziesz?" - i do bicia! Zamierzyłem się na niego kajłem, które mi dał. Widocznie dostrzegł w mej twarzy determinację. Zobaczył, że już idę na całego. Wyskoczył z tej "ciepluszki" i machnął ręką na stojącą brygadę, żeby szli do szachty. Natomiast do mnie: "Uspokojsia, uspokojsia, cichońko, cichońko, ostaniesz się adies" - i zostałem wyznaczony do palenia w pieczce przy tym proarabie.

I znów los się do mnie uśmiechnął: naczelnik wiechcecha był Polakiem! W wiechcechu znajdowały się warsztaty, strugarka, tokarka, frezarka itd. Warsztaty obsługujące kopalnię, kompresornię i w ogóle wszystkie urządzenia mechaniczne w tej kopalni. Kierownik nazywał się chyba Łogwin Siemion Pietrowicz. Brał udział w rewolucji październikowej, był potem dyrektorem zakładu produkującego wagi. Posażono go o sabotaż w 37 roku, ale chyba nie szkodziło mu polskie pochodzenie. Sądzony przez "osoby sowieszczanie" dostał 5 lat i do 5 lat mu ten wyrok powielali zaocznie. Na Alaskitowie był więzieniem, ale na trochę innych, lepszych prawach. Raz przyszedł do "ciepluszki" do "proaraba", byłem tam. Ponieważ dla ważnego słuchacza



miałem trochę akcentu i naleciałości polskiego - widocznie to wy-  
czuł i zaczął mnie wypytywać, jakiej ja specjalności, skąd jestem.  
Zainteresował się mną /.../. Zdecydował: "Wzjęć cię do miechcechu  
jako tokarza".

I tu się zaczyna lepsza część mojego pobytu na Alaskitowie. Za-  
czynam pracować w miechcechu - najpierw na "szepingu" strugarec  
jako frezer, potem jako tokarz. Jestem fachowcem a nie buri-  
szczykiem. Dostaję się do brygady Miny Piotrowicza Zawieruchy  
z Odessy, ul. Karajnska 10. Rosjanina, który był również tokarzem.  
Bardzo dobry człowiek, bardzo dobry przyjaciel. Mam od niego pa-  
miątki, któreśmy tam wyrabiali później z ebonitu z jego monogramem  
wygrawerowanym przez zasłużonego artystę rosyjskiego, też więźnia.  
Był brygadystą-więźniem, brygadystą tej całej brygady miechcechu  
Pracowaliśmy - on na tokarce DTP 350, a ja na Kujbyszowie. Tokar-  
nia Kujbyszow, pamiętam jak dzisiaj! Dziwne, że niektóre szczegó-  
ły z tamtych lat utrwaliły się w pamięci bardziej a niektóre zo-  
stały wymazane. Czas płynie, wkraczają już lata 50, zmieniają się  
warunki życia w obozie.

Zaczynamy tutaj nabierać trochę cech ludzkich, zaczyna się pew-  
na organizacja. Jedynym konstruktorem w miechcechu był Lotysz, na-  
zwiska nie pamiętam, też więzień, inżynier. Nad całą kopalnią był  
również inżynier trzeciej chyba rangi, Borys Fiodorowicz. Oni mie-  
li chyba wtedy jakieś gwiazdki. Rosjanin, zresztą bardzo dobry  
człowiek, nazwiska nie pamiętam. Wspominamy go jako pozytywną jed-  
nostkę. Była też wolna kobieta, mistrzowa w miechcechu Zina Iwa-  
nowna. Nie nie umiała, próbowała uczyć się pracować na maszynie.  
Była na tym stanowisku chyba postawiona po protekcji, robiła egzam-  
iny nam, brudas i flejtuch. Pracujemy, są "zaczoty". Reperujemy  
te siłki pneumatyczne, obok jest "mołotoczna" i "lampoczna".  
Główny inżynier a właściwie gł. mechanik miał zacięcie nowatorski,  
racjonalizatorskie, więc robimy pewną konstrukcję. On sobie

wymyślił, że przy iluś tam tysiącach obrotów tarczy żelaznej będzie ostrzył bory z widlą wtapianą na końcu. Bory do robienia dziur z plastinką widlową wtapianą w kuźni. Bor to taki do 2 m długości sześciokątny pręt o średnicy 25 mm. Bor miał w środku otwór, przez który przechodziło powietrze i wydmuchiwano grunty z wywierconego otworu. W wywiercony otwór "zrywacz" wkładał i odpalał dynamit. Trzeba było te bory na ostro pod różnymi kątami zaostrić, te dwie "plastinki" widli. To było ostrzone na tarczach karborundowych, które szybko się ścierały. Związane były z tym duże koszty. On sobie wymyślił, że jeśli zrobi żelazną dużą tarczę, to będzie można na niej ostrzyć. I będą duże oszczędności oraz chwala jego i zaszczyty. I zaczęliśmy w niechętchu tę konstrukcję tworzyć. Zrobiliśmy to. Średnica tego koła była w granicach 40-50 cm, nie pamiętam ile obrotów. Całe to urządzenie było zabetonowane. Przed tym, był zrobiony bunkier, gdzie siedział więźniak. Wprowadzał/przez prowadnicę do ostrzenia. Włączało się to koło, które nabierało obrzajnej obrotowej szybkości i ten więźniak zaczynał to ostrzyć. I trzeba trafić, że to się rozzerwało. Konstrukcja ale była przez tego Lotysza obliczona. Łotyska nie wytrzymała tej siły obrotowej i poniosło całe to koło het-het, gdzieś tam na przeciwną stronę. Rozzerwało całą tę obudowę i więźniak, który ostrzył, zerwało część czaszki. Został szybko przetransportowany do Dolnego Alaskitowa. Tu więźniowie lekarze wykonali operację i uratowali mu życie. Byli tu lekarze z prawdziwego zdarzenia, polityczni więźniowie, nie to co na przyskach, gdzie wszystko jedno kto zostawał "wrazem". Skroń odsłonięta z włosów z ubytkiem czaszki była widoczna jak mu pulsowała, miał ubytek mózgu. Miał kłopoty z mową i z pamięcią. Wrócił do nas do obozu i już nie chodził na robotę, tylko był w baraku pomocnikiem. Miał mieć robioną drugą operację uzupełniającą ubytek kości i osłaniającą. To zdarzenie bardzo dobrze pamiętam, było głośne na całym

172

Alaskitowie ze względu na lekarzy i operację. Konstruktorowi ani projektodawcy nic nie zrobiono: eksperyment się nie udał i na tym się to zakończyło. Wypadek przy pracy, dobrze, że więzień to przeżył.

Mój byt się ciągle polepsza, coraz bardziej i łatwiej się dostosowuję. Nie jestem krezusem, ale coraz częściej i bardziej jestem najedzony, syty. Z roku na rok coraz łatwiej dorobić dodatkową pajkę.

Kiedy podsumowuję te katorżnicze czasy, kiedy je analizuję to widzę, że dobrze wyciągałem wnioski ze zdarzeń i faktów i stąd nie je realizowałem. Podstawową sprawą aby uratować życie było nauczenie się języka rosyjskiego. Tak aby nie wyróżniać się z otoczenia. Aby nie być białą wroną w stadzie czarnych. Cała droga od momentu sądu do przyjazdu na Kółymę była dla mnie szkołą. Poznawałem inny świat. Świat brutalny, przestępczy. Lata 1945-47 pobyt na przysku Pokryszkin zaliczam do najtragiczniejszego okresu mego zakluczenia. Okres ten postawił przede mną alternatywę, jeśli chcę żyć muszę się dostosować do warunków narzuconych bez mojej woli. Wtopić się w grupę więźniów o największych szansach na przeżycie. W okresie tym byłem biernym uczestnikiem zdarzeń. Okres 1947-49 pobytu na przyskach Terechoiach, Pobieda, Ust-Nera był okresem dostosowawczym, w którym z różnym szczęściem wychodziłem jak najmniej zranionym i okaleczonym w konfrontacji z otoczeniem i codzienną rzeczywistością. Tu już niektóre zdarzenia świadomie sterowałem lub unikałem. No i cholerne szczęście w nieszczęściu. W domu mówiono zawsze, że rodziłem się w czepku. Okres 1949-53 lata specjalistów nr 7 i 385/7 to czas w którym mogę siebie określić jako rasowego 100-procentowego zeka. W tym okresie byłem już w stanie pomagać innym. Nieśó pomoc Polakom z nowych transportów i etapów. Mam w domu listy w których dawni współwięźniowie o tym pamiętają i dziękują mi za uratowanie im życia. Pobyt mój w Rosji dzieli się na trzy podstawowe okresy: lata 45-49 to okres straszego bezprawia. Ostat

Brak jest słów w ludzkiej mowie na określenie tego kiedyś byli razem z bytowymi, kryminalnymi, błatnymi, urkami. Potem lata 49-53 - to były specjalniery, m. in. Alaskitow - o zastrzonym reżimie. Wszystko co się tutaj odbywało - a byli tu przeważnie więźniowie polityczni - odbywało się w imieniu prawa. Tam było przez prawie pięć lat bezprawie, a tutaj działało w imieniu prawa, prawa w dużym cudzysłowie. Bo jakież to prawo, które pozwalało znęcać się nad ludźmi. I trzeci okres tj. lata 53-54, kiedy mnie przerzucają na матерik 600 km od Moskwy, do Połny, do specjalnego o zmniejszonej reżimie, gdzie praktycznie doprowadzają mnie do stanu używalności. /.../ Oddzielny okres to lata po 1954 r. w Polsce. Również burzliwe i tragiczne. Okres człowieka napiętnowanego, wroga ludu ze wszystkimi skutkami takiej klasyfikacji. Okres w którym zaseregowanie do kategorii ludzi gorznych, "niebłagonadziejnych" ma swoje wymierne straty, fizyczne i psychiczne w życiu mej rodziny. Konsekwencje mej oficjalnej klasyfikacji zaczęły rzutować nie tylko na moje życie się i na życie mojej żony, która nie w pełni świadomie wyszła za mnie. Na życie mej córki, na jej przyszłość.

Teraz przechodzę z powrotem do tego drugiego okresu. Specjalny reżim. Czyni się on przejemniał, na czym polegał... Wyżywienie było takie samo. Tak samo tu kradli. Tak samo rano, jak się przychodziło do ciemnej stołówki i podczas jedzenia zębami natrafiało na coś to znaczyło, że to tarakany, i wtedy je się wypluwało./ twardo./ Nigdy nie potrafiłem określić nazwy zupy bałandy, wszystkie były identyczne. Pluskwy i francuzy karaluchy z twardymi grzbietami były plagą baraków, stołówek i magazynów. Głównie byliśmy jedzeni przez pluskwy, które wisiły nad naszymi, całe winogrona. Myśmy je niszczyli, udało się nam skonstruować i wykonać w miechocchu przenośną parówkę. Bywało tak, że się człowiek moczył w wodzie, kładł dokoła siebie tęgą siatkę zamoczoną w wodzie, żeby się nie mogły przedostać - a one wchodziły na górne nary, spadały na człowieka z góry i piły krew. Mroź nawet do 50° nie im nie robił -

114

robiliśmy różne eksperymenty. Byliśmy bez przerwy kłanani. Ciało było w cętki, no i adrapane. Na noc byliśmy zamykani, wstawiano paraszę, nie wolno było wychodzić za swoją potrzebą. Pracowało się na dwie zmiany po 12 godzin. /.../ Nie było wolno mieć przy sobie żadnych ostrych narzędzi. Sikiery i inne narzędzia trzeba było po robocie oficjalnie zdać na wachtę. Robiliśmy, nawet dla wolnych, np. brzytwy z oboja-kożysk, ale szło się za to do karcera o zaostrozonym reżimie. Następną sprawą to nadanie tych numerów na łbie, na udzie i na plecach. I ciągle troska o ich czytelność, byliśmy naznaczeni, inni, bardziej wyizolowani. Rano uderzał gong, następnie prowierka, która trwała godzinami, tak jakby ci ludzie nie potrafili liczyć. Mylili się. Komendant robił to często specjalnie aby nas pognębić. Mróz. Mimo wszystko stało się w szeregach. Niektórzy nie wytrzymywali, tracili przytomność, ale stało się w szeregach na tej głównej alei, która przebiegała przez cały obóz. Po jednej i drugiej stronie baraki. Naprzeciw naszego baraku żyła brygada Malcowa burylszczyków. Nie było żadnego porozumienia między więźniami z jednego baraku i z drugiego. To było również srogo karane. Po prowierce następowało potem karmienie więźniów brygadami i barakami i odprowadzanie pod wachtę. Tam sadzali nas na ziemi, następnie przychodziło NKWD z psami do tej drugiej zony, o której mówiłem. Następowало ponowne liczenie, zaczytywanie wszystkich, przejaowanie przez tę następną ekipę i przechodzenie do tej drugiej zony. Znowu siadanie na ziemię - aż uformowała się kolumna, około NKWD z psami. Naczelnik kolumny odpowiedzialny za całość wygłaszał tę rytualną sentencję "szag w lewo, szag w prawo zaczytaju pobiegiem strelaju bez predupreżdzenia" - i cała kolumna ruszała. Wszystkie te opisane wcześniej czynności odbywały się kosztem naszego snu i wypoczynku. Ciemno, poświata tylko od śniegu, szło się do pracy. To się odbywało dwa razy "dziennie" dzień trwał godzinę, dwie a potem półmrok: dla dziennaj i nocnej zmiany.

115

Prowierka odbywała się w ten sposób, że staliśmy w kolumnach i odpowiedzialny na dany baryk zdawał relację temu enkawudzistce, który przechodził i na kartce spisywał że jest tytu a tytu. I następnie jeszcze liczył palcem, czy wszyscy z tego baryku są. Myśmy nic nie mówili, staliśmy jak murze na tym mrozie, na tym śniegu i czekali, aż banda tych nieuków dorachuje się wreszcie, że się zgadza szczerot. No akurat, powiedzmy któryś był w karczerze, innego wzięto do sprzątniania czy gdzie indziej o nim zapomniano, potem godzinami go szukano, aż znaleziono. Takie rzeczy były na porządku dziennym. Albo najczęściej szczytający się pomylił i opisać od nowa liczenie, wrzaski na nas jak byśmy to my byli winni ich nie-uctwa.

Naczelnik tego łagru był w całym tego słowa znaczeniu sadystą. Kiedy przychodziło się z pracy, znowu ta prowierka! Znajdował jeszcze jakieś inne roboty. Jak nie mógł znaleźć już nic, to nawet z miejsca na miejsce kazał przenosić jakieś kamienie, czyścić cały teren - takie sprawy.

Tutaj warto powiedzieć o jednym wypadku: zastrzeleniu więźnia w drodze do przetworstwa, do kopalni. Formułka "szag w lewo, szag w prawo..." została tutaj zrealizowana dosłownie. Staliśmy w kolumnie po pięciu w szeregu, któryś z więźniów z brzegu zatoczył się i odpał z kolumny. Oczywiście ochrona nie wytrzymała nerwowo i strzeliła. Była wielka afeta, bo myśmy na tym miejscu usiedli na znak protestu, coś w rodzaju buntu, strajku, tak określało to naczelnictwo. Oni zaczęli nas szczerć psami, żebyśmy szli dalej - a my nie, tylko ogólny krzyk całej kolumny kilkuset ludzi: "Kuma, kuma, kuma!" Nie bardzo wiem jak określić jego funkcję w każdym razie był to człowiek najważniejszy w obozie i na wolnym posiołku. Mógł sądzić, dawać wyroki, najważniejszy pracownik aparatu NKWD. Prawdopodobnie był to skrót od jakiejś nazwy funkcji. Pełnomocnik sędziego, prokurator - chcieliśmy doprowadzić do jakiejś konfrontacji. No i rzeczywiście zjawił się kum, ścignęli go - bo kopalnia stała.

Podobno - tak nam przynajmniej powiedziano - ten żołnierz miał być z tej ochrony zabrany. Miał być sądzony czy coś w tym rodzaju, może awansowany. W każdym razie myśmy się już z nim nie stykali. Jak było naprawdę, trudno powiedzieć. Ale przynajmniej do tego doprowadziliśmy. Ponadto w pewnym sensie uświadomiliśmy sobie, że możemy w jakiś sposób protestować. Podniosło nas to na duchu, co też było bardzo ważne. Wszyscy przecież byli więźniami politycznymi. Po tych ciemnych nocach ponad pięciu lat bezprawia, zaczął się rodzić powien powrót do ludzkich wartości, godności człowieka. To było dla nas bardzo istotne.

Już mówiłem, jak się dostałem do miechcechu. To był mój wielki sukces. No, po tych pięciu latach czegoś się nauczyłem, jakiejś walki o byt, o przetrwanie! To, że nie dostałem się do kopalni na dół, że te moje płuca i zdrowie nie zostały całkowicie zniszczone, zawdzięczam w dużej mierze sobie i swojej postawie. O tym już mówiłem. Dostaję się do brygady Myny Piotrowicza Zawieruchy, Rosjanina gdzieś z Krymu, żołnierza, który dostał się do niewoli i był sądzony w związku z tym. Tak jak sobie przypominam, dniwalnym w naszej brygadzie był Łońka Kucharski, Żydek, patriota polski i chyba Łysakowski Stasio. Polak Łogwin był mistrzem całego miechcechu i mnie pomógł bardzo. Nota bene podobno po moim wyjeździe stamtąd, przyjechała do niego rodzina, żona z dwoma córkami i synem. On ich ściągnął, jako że miał ten ciągły wyrok, wciąż zaocznie przedłużany o 5 lat. Snuł projekty w stosunku do mnie, podobno i do innych, na małżeństwo z jego córką po moim wyjściu na wolność.

Mija rok za rokiem. Tu zaprzyjaźniałem się z Rosjaninem Arkaszką Korniewem z Mandżurii. Był on kowalem w kuźni. Jego ojciec był generałem Carskiej Armii, uciekł z rodziną do Mandżurii, założył tartak, eksportował drzewo. Ja pracowałem jako tokarz, Mina Zawierucha też jako tokarz i jednocześnie był brygadzystą. Z tego

112

okresu także pamiętam etap, z którego "wyłuskuję" Łońkę Paszkowskiego z Niemenczyna, Polaka, byłego partyzanta spod Wilna, którego udaje mi się uratować od zejścia do kopalni na dół. Łońka siedział w burze u nas na Górnym. Proteguję go i uczę zawodu tokarza. Po moim wyjeździe on zostaje i dalej pracuje w miechocchu jako tokarz. Trzecim człowiekiem, z którym nawiązuję przyjaźń jest Janosz Węgier. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć nazwiska, zresztą bardzo nad tym ubolewam, bo byłem kilkakrotnie w Budapeszcie i chciałem nawiązać jakiś kontakt. Był technikiem dentystycznym, z którym próbujemy zorganizować gabinet dentystyczny. Ruda, którą wydobywano, z lenty odrzucane były z niej kamienie, spadała na specjalne sita z chromoniklowej nierdzewnej siatki z drutu. Przedtem była mielona i selekcyjonowana. Pomysłowość więźniów i ludzka jest olbrzymia. Potrzeby życiowe stwarzają wynalazki. My na Alaskitowie zaczynamy myśleć o gabinecie dentystycznym! I co wykombinowaliśmy wspólnie z Arkaszką: w ogniotrwałej cegle borewaliśmy dziury. Zwijaliśmy z tego nierdzewnego drutu elektrody, po trzy takie druty 2-3 mm. Wytwarzaliśmy łuk Wolta ze spawarki i topiliśmy tę nierdzewną stal nad tymi otworami w tej cegle. Powstawały takie gule, które Arkaszka rozkuwał w "plastinki" - sztabki sześciokątne. Z tego później robiliśmy plombę wypełniając ubytki. Z grubszych kawałków Arkaszka formował sześciokąty pół cm na centymetr, z których potem robiliśmy mostki, które spawaliśmy z koronkami. Jest to więc duża ciekawostka. Całością sprawy zajmował się ten Węgier, on był inicjatorem stworzenia gabinetu. Znalazł podatny grunt: naczelnym lekarzem łagru, kpt. Bukawa, który - jak podejrzewaliśmy - chciał wykazać się umiejętnością dobrej organizacji sanitarnej obozu, wyraził zgodę na zorganizowanie tego gabinetu. Lekarz naczelnym był, zdaje się, w randze kapitana, oficer enkawudzista. Warto tu wspomnieć, że o lekarzu naczelnym chodziła fama, że on nie może być mężczyzną. Podobno w czasie walk na froncie był



postrzelony w przyrodzenie. Była też jeszcze lekarka obozowa, młodzianka Maria Siemionowna. Z nią było kiedyś zdarzenie, kiedy przyszła do baraku na komisyjne badanie więźniów. Był u nas więzień imieniem Girej Girajewicz, który miał bardzo duży członek, do kołana, pracował na noc. Kiedy Maria Siemionowna zasiadła na skamieniec za stołem i rozpoczęła badanie myśny niespodziewanie zbudzili Girejowicza i postawili przed komisją. Girej ściągnął bruki, powiernął się a jego członek huknął w udo. Maria Siemionowna nie wytrzymała i uciekła z baraku. Wracając do sprawy, ja jako tokarz i Mina Piotrowicz Zawierucha wykonujemy prasę do robienia koron. Jest to krąg z takimi palcami. To się kręciło śrubą dociskając i wytłaczając podobnie jak wyciskałem olej w okupację z ojcem na Starówce. Podkładamy wycięte z blaszki krążki rozklepanego na gorąco drutu chromoniklowego z siatki i wyciskamy z nich koronki. Mało tego, wykonujemy także maszynę wiertniczą do borowania zębów. Jest to maszyna nożna, ponieważ nie mamy silniczka, któryby to poruszał. Zaczęliśmy ręcznie robić te zęby, koronki, mosty spawanie, polerowanie na negatywach z ołowiu odciskanych w gipsie. Zaczęli się do nas zgłaszać i wolni, ponieważ byliśmy jedynymi dentystami w promieniu kilku tysięcy km. Oni chcieli mieć "fiksy", to nakładano się koronki błyszczące i na zdrowe zęby. Początkowo nie żądaliśmy od nich niczego innego, jak żeby ściągnęli z natierika materiały do plombowania, bory do borowania, lekarstwa. W ten sposób rosło wyposażenie naszego gabinetu. Pierwsze nasze prace i produkty były bardzo prymitywne, ale próby robiliśmy na więźniach i sprawdzały się. Bory do borowania też robiliśmy sami z drutu hartowanego. Projektodawcą wszystkich urządzeń technicznych był ów Węgier, bo był "prawdziwym" technikiem dentystycznym. On wyszedł z inicjatywą, Arkaszka jako kowal, ja i Mina Piotrowicz jako tokarze - w czwórkę stanowiliśmy zespół, który stworzył tę obozową instytucję. Pomysły rodziły się wspólnie. Brali w tym udział np. "młotobójcy", Czapko - Białorus,

Cusik Tadek, ci, którzy rozkuwali później te druty na blaszki. Cała robota była pozaprodukcyjna, po godzinach. Plotkowano w baraku, że my z Arkaszka żyjemy razem. Spaliśmy w wydzielonej części baraku - Mina, Arkaszka, ja i ten Węgier, stanowiliśmy pewną elitę obozową. Każdy chciał mieć leczone zęby od naradczyka po prostego więźnia, wolniaszkę i z ochrony. Nasza czwórka stanowiła grupę która przeprowadzała i narzucała swoją wolę, ustalała pewne reguły postępowania innym współwięźniom i nie tylko im. Arkaszka był niezwykle silnym fizycznie, łagodnie sprawiedliwym, ale jednocześnie bezwzględny. Urkowie z innych baraków liczyli się z nim i żaden mu nie podskoczył. Uczyłem go języka polskiego, on mnie próbował nauczyć chińskiego. Z mojej nauki nic nie wyszło.

Zaczęliśmy stawać na nogi. Oprócz lekarstw zaczęliśmy żądać produktów żywnościowych. Stąd mogliśmy już i ludziom pomóc i sami mieliśmy. To już były końcowe lata pięćdziesiąte, przed opuszczeniem łag punktu nr 7. Atmosfera zaczynała się zmieniać, bo coraz mniej ludzi było, z matierika nie przychodziły już te kontyngenty. Coraz więcej musieli o nas dbać. Już przed samym moim wyjazdem pojawiła się jakaś kantyna "łarok". Zaczęli nam płacić jakieś drobne pieniądze. Już w tej chwili tych proporcji dokładnie nie pamiętam. Zdaje się, 60% szło na utrzymanie więźnia w obozie. Następnie jakaś część zarobku na ubranie, umundurowanie. Iles procent szło na tzw. książeczkę, aby więzień niby miał w momencie wyjścia na wolność. I wreszcie jakaś część otrzymywaliśmy na rękę, znikomą, szczątkową, ja jeszcze nie zdążyłem z tego skorzystać. Można było właśnie w tym "łarku" kupić jakiś tytoń-machorkę, dodatkowy chleb czy coś innego. Z tym że to była końcówka 52 roku, początek 53 - ledwo zahaczyłem się o to. Nie wiem, czy był to efekt jakiegoś porozumienia między zakładem pracy a władzami obozowymi, to, że nam płacono. Trzeba wyodrębnić wyraźnie władzę administracyjną

✓  
kopalni i obozu. W 7 lagoddzieleniu szeregowy więźni podlegał:

- władzy obozowej

- a/ naradczyk i jego pomocnicy, brygadziści-więźniowie
- b/ naczelnik łagru, kum, wracz, administracja-wolni, NKWD

- ochronie, Oddz. specjalne NKWD

- a/ żołnierze pilnujący obozu
- b/ żołnierze pilnujący całego terenu, posiołka i kopalni
- c/ żołnierze ~~żołnierze~~ konwojujący
- d/ psy konwojujące

- władzy kopalni - wolni na kontrakcie

- a/ majstrowie zespołów
- b/ naczelnicy uczastków
- c/ główny inżynier i gł. mechanik
- d/ administracja kopalni

- niepisanemu kodeksowi więziennemu

- a/ prawo błatnych i przydurków uzurpatorów
- b/ prawo silniejszego
- c/ współzależności funkcyjne, powar, chleborez, sapoźnik, sanitar, portnoj, bańszczyk, dniewalny baraku i karceru.

Wiem natomiast, że co gruzień paliła się administracja kopalni, księgowość itp. Podobno - jak niosła plotka - nadużycia w sprawie wykonania planu tak zacierano. Praktycznie co rok "goreła" księgowość, budynek usytuowany niedaleko kopalni.

Do czego jeszcze wrócić... Tak na Alaskitowie płynęło życie, z każdym rokiem zaczęło się polepszać - w stosunku do tych pierwszych początkowych lat bezprawia. Jako dentyści nie zarabialiśmy żadnych pieniędzy prywatnie. Tylko za jedzenie lepsze. Zaczęliśmy już nawet ze złota robić niektórym wolnym, z ich materiału. Tu jeszcze warto by powiedzieć o epizodzie z tym sadystą, naczelnikiem łagru, którego nam się udało załatwić. Właśnie m. in. my we czterech doprowadziliśmy do jego likwidacji, w sensie zabrania go z obozu. Jego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Jak powiedziałem, myśmy nie mieli prawa mieć żadnych ostrych narzędzi, noży, siekier

itd. Trzeba je było zdawać na wachtę. I któregoś dnia właśnie ten naczelnik łagra przyniósł nam noże do zaostżenia. Finki które były robione na lewo przez nas w miechcechu. Bo myśmy sobie otworzyli taki warsztat przy tym gabinecie, gdzie mieliśmy małą spawarkę na spirytus, bo przecież te mostki myśmy spawali, oraz inne urządzenia. No i przyniósł do naostrzenia te noże. I myśmy ugadali go, że w tej chwili nie, że mu na jutro naostrzymy te noże. Zostawił je nam. A był antagonizm między tym naczelnikiem a kumem, myśmy o tym wiedzieli. Żył on po prostu z żoną tego kuma, podrywał ją. Kuma nie było na Terechciachu, na Pokryszkini, czy był, może, nie przypominam sobie. Zresztą wtedy ja nie bardzo wiedziałem na jakim świecie żyję. Natomiast tu, na Alaskitowie był - od strony prawnej, jako sędzia - władcą całego obozu, całej kopalni - wszystkiego. Za nadużycie mógł sądzić nawet wolnych. Miał olbrzymią władzę. Wykorzystując tę sytuację, antagonizmy, myśmy donieśli właśnie jemu, że naczelnik zostawił nam te noże do naostrzenia nadruży dzień. To był pretekst dla kuma, który zaczął się odgrywać na naczelniku i doprowadził do tego, że go z Alaskitowa zabrali. Ze stanowiska i z obozu wyleciał. Ze strony kuma było to podyktowane prywatą, ale w tle było nasze działanie w sprawie tych noży.

Powoli zbliżamy się do roku 53, do śmierci Stalina. W marcu Stalin umiera. Myśmy się w obozie wszyscy cieszyli, albo odbierali to obojętnie, nie rozumiejąc w pewnym sensie, sprawy. Ale niektórzy wolni byli w rozpacz. Enkawudziści rozpaczali autentycznie po śmierci Stalina. Odbierali to jako wielką, olbrzymią tragedię w życiu własnym i narodu. Jakimś elementem ich trwogi, jednym z wyjaśnień jest charakterystyczne powiedzenie Stalina: "Wieś naród sowietskij, wy wsie, jak ślepyje koszki żywotie, pogibniecie, izczeczniecie, kagda mienia nie stanie". Były to proce słowa dla wierzących i nawiedzonych komunistów. I zaraz w krótkim czasie po śmierci Stalina najpierw szerzy się plotka.

Potem plotka nabiera bardziej realnych kształtów: wiadomość, że wszyscy, którzy nie przyjęli poddaństwa radzieckiego albo są "in- strancami", zostaną z obozu wywiezieni. Olbrzymia radość dla ob- cokrajowców i olbrzymia rozpacz tych Polaków, którzy urodzili się na terenach polskich za Bugiem. Ich traktowano jako obywateli ra- dzieckich i oczywiście pozostaną w obozie. Między innymi ten Leo- nid Paszkowski z Niemenczyna spod Wilna również pozostaje w obo- zie. Całe masy Polaków zza Buga, berlingowców którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Więc olbrzymia ich rozpacz, kiedy już do- chodzi do urzeczywistnienia tej decyzji. Tu warto powiedzieć, że była możliwość warunkowego wcześniejszego wyjścia na wolność. Przy stałym osiedleniu bez prawa wyjazdu z tego terenu. Był to ożenek lub zamążpójście za wolnego człowieka i przyjęcie obywatelstwa radzieckiego. On odpowiadał za współmałżonka - byłego więźnia. Stałe osiedlenie inaczej zsyłka lub tzw. paszport 32 otrzymywali ci ludzie. Nie mieli prawa opuszczania wyznaczonego miejsca za- mieszkania. Poza tym raz na 2 tygodnie musieli się meldować w miej- scowym oddziale NKWD, gdzie ten fakt odnotowywano potwierdzając pieczęcią. Już z dnia na dzień czekamy, nie wychodzimy do roboty. Prawie do ostatniego dnia wychodziliśmy. Dostaję jakąś część, do- kładnie nie pamiętam, rubli na rękę. Dostaję "zaczotną książkę", w której odpisywali mi wyrok. Chowam ją i udaje mi się ją prze- wieźć do Polski zwiniętą w waciacu, w wacie. Rewizja była w Maga- danie, ale głównie sprawdzali, czy nie przewozimy złota. Jest to chyba kwiecień 53 roku, wyjeżdżam znowu do łagru na Ust-Nerę. Ciągle mam przed oczyma kolegów, którzy tam pozostają i którzy błagają ze łzami w oczach: "Janusz, nie zapomnijcie o nas, rób- cie coś, piszcie gdzieś, interweniujcie gdzieś, żeby nas stąd zabrali, bo my przecież jesteśmy Polacy!" Paszkowski wrócił dwa czy trzy lata po mnie, ale po odbyciu 10-letniego wyroku, po od- liczeniu zaczotów, mieszka w Tychach. Przez pewien okres mieszkał

jako wolniaszka na posiołku Ust-Nera. Co roku przez długi czas pisałem listy na różne adresy na Kołymę - pozostawały bez odpowiedzi. Zwracałem się do władz łagrow, naczelstwa, uprawnienia, nie było reakcji pisemnej. Pisałem na nazwiska różnych kolegów z łagrow, też nic.

Ładują nas znowu na ciężarówkę, przewożą do Indygirki, znów przeprawiamy się promem na drugą jej stronę. W Ust-Nerze jesteśmy parę dni - znowu na pieresyłce, gdzieśmy poprzednio byli i z której byłem odprawiany na etapy. Po pięciu chyba dniach jest formowany transport ciężarówkami do Magadanu. Podróż trwa ok. 8 dni chyba. Ochrona się nie spieszy i nie przemęcza. Droga jest już znacznie lepsza. Zatrzymujemy się, odpoczywamy. Ostatecznie już prawie dziesięć lat minęło od chwili, kiedy nią jechałem. Już bezawaryjnie, bez rozbijania się docieramy na miejsce do Magadanu przez rzekę Kołymę. Po drodze te same obozy, tam nas karmiono, dawano żywność. Przy obozach były kopalnie węgla i inne. One dalej funkcjonowały. Tak że tutaj nic się specjalnie przez te 10 lat nie zmieniło. Może warunki były lepsze, bo bliżej Magadanu, ale nie wiem, bo w tych obozach dłużej się nie zatrzymywaliśmy i byliśmy izolowani od tutejszych więźniów. Wzbudzamy sensację i zainteresowanie, że etap idzie w przeciwną niż zwykle stronę.

Dojeżdżamy do Magadanu. Tu spotykamy się z pierwszym transportem beriowców. Tych enkawudzistów, którzy po śmierci Berii byli sądzeni za nadużycia swojej władzy i odprawieni na Kołymę. Jadą transporty budowniczych wielkich strojek komunizmu na Kołymę. Spotykamy się jako więźniowie - oni w jedną stronę, my w drugą. Znowu płyną posiłki nowej kategorii zeków do wydobywania złota na Kołymie. Oni - nie wiem na ile lat, prawdopodobnie w dużo lepszych warunkach, bo to już nie były lata czterdzieste. Tylko że w dwie przeciwne strony - mijamy się. Ale koło fortuny się kręci, nic

224

w przyrodzie nie ginie, każdy ma swoją zapłatę. Żadnych komentarzy ze strony naszego konwoju. To było krótko, dzień czy dwa, dopóki nie sformował się załadunek na okręt. Obóz przejściowy w Magadanie, ten sam i taki sam, jak ten, kiedy jechaliśmy w tamtą stronę. Cały czas niepewni w dalszym ciągu jutra, obozy, peresyłki, konwój. I sakramentalne "Zbieraj się z wieszczami". Około tygodnia byliśmy w Magadanie. Następnie jesteśmy załadowani na okręt. Nie jest to już okręt towarowy, jaki nas wiózł w tę stronę z tymi trumnami pod pokładem, tylko jest to już okręt pasażerski. Wszelkie symptomy na niebie i ziemi obiecujące, jak to się mówi, ale ciągle niepewni, z władzą sowiecką nie ma "szutek". Dostajemy cele, tfu! kajuty po dwie - trzy osoby w kajucie. No i widok morza, ten horyzont bezkresny zalany słońcem po 9 latach, przestrzeń, słońce no i spojrzenie którego nie nie zatrzyma. To trzeba odczuć na własnej skórze, tę radość rozpierającą piersi aby to w pełni zrozumieć i docenić. Był to chyba okręt "Sowiecka Lotwa", na sto procent nie pamiętam. Okręt poniemiecki, bo napisy były niemieckie na klamkach i innych urządzeniach. Tym okrętem płyniemy i przybywamy do Władywostoku, znowu rozładunek, znowu obóz. Cały czas pod konwojem jesteśmy, żadnych papierów na rękę nie dostajemy. Jesteśmy pilotowani przez naczelnika jakiegoś, który zajmuje się całością. Nie mogę sobie przypomnieć jakie były wagony z Władywostoku do Moskwy, czy towarowe, takie, jakimi nas wieźli na wschód, czy osobowe. Nie mogę sobie tego uprzytomnić. Podróż trwa też ponad miesiąc. Nie byliśmy zwolnieni! Plotka tylko krążyła, że "inostrancy" są wiezieni na "matierik". Że jedziemy nie do domu, nie do Polski. Na matieriki! Odbyło się to na takiej samej zasadzie, jak dziesiątki, setki razy przedtem: "Zbieraj się z wieszczami, ujeżdżajesz". To wsio. Żadnego komentarza. Choć pozostający więźniowie szeptali - "pójdziecie nawolność" my nie bardzo wierzyliśmy w to, szczęście, no i nie chcieliśmy zapeszyć. Tak że ja nie wiedziałem, że wracam do domu.

Natomiast to, że to byli sami obcokrajowcy - Węgrzy, Rumuni, Polacy, Niemcy - to świadczyło, że coś tu jest nie tak jak dotąd. Coś raczej pozytywnego. Ale w dalszym ciągu nie mieliśmy żadnej informacji. Dopiero w końcu 1953 r. przeciekła do nas informacja, że nastąpiła likwidacja kierownictwa łagrów dálnowostocznych "Dálnostroj" oraz Nagad<sup>o</sup>ńskiej Stałej Sesji Chabarowskiego Sądu NKWD.

Dojeżdżamy pod Moskwę do Połmy. Jakies 600 km od Moskwy, może trochę więcej, Mordowska ASRR. To był chyba przełom maja i czerwca 1953 roku, specłag-otd. 385/7. Potem dowiedziałem się, że jadący na wschód również tutaj przedtem byli. Ale jest to już obóz o złagodzonym reżimie, tzn. możemy nie chodzić do pracy, możemy pozostawać w obozie, jest lepsze jedzenie. Gotują Rumuni, dochodzi zresztą do wojny między nami a Rumunami, bo nas okradali. Kto chce może dobrowolnie wychodzić do pracy w polu ale pod konwojem. Wiele osób korzysta z tego bo zdobywa kartofle, lepszą żywność. Poza tym dostają na rękę te pieniądze, które mi tam w spec-łagrze w 7 łagodździeleniu na Kołymie odpisywano w ostatnim roku 1953. W związku z tym przyjeżdżem z niewielkimi pieniędzmi. Kupuję za nie wiadra marchwi i innych produktów, cukier i razem z kolegami którzy są bez formy jemy te witaminy do obżarstwa. Kupuję drewniany czemodan, jakąś koszulę aby być trochę inny jak zek. Taka psychiczna podbudowa swojego ja. W Połmie jestem gdzieś od lipca 53 do stycznia 54 roku. Ok. pół roku siedzę w Połmie, nie wiedząc, co będzie dalej. Jest tu bardzo dużo Polaków z różnych obozów: z Norylska, z Kazachstanu, z całej Rosji - wszystko więźniowie z wyrokami. To nie byli jacyś tam przesiedleńcy z rodzinami - wszystko więźniowie łagiernicy, katorżnicy. Było dużo Węgrów, dużo Rumunów i Niemców. Pod koniec 53 roku co jakiś czas zaczynają być odsyłane transporty, nie wiadomo z całą pewnością gdzie. W pierwszej kolejności odjechali Niemcy; oni jadą gdzieś na północ, na Królewiec, Kłajpedę, taka chodzi fama. Trudno mi określić



precyzyjnie co to byli za Niemcy. Jakby więźniowie, jakby z wyrokami, ale może volksdojcze i ainigedojcze, którzy zostali wywiezieni z terenów III rzeszy. Odprawiają Węgrów - to jest nieduża grupa. Nasz dentysta też tam był i właśnie z Połmy został odtransportowany.

Jest tam również obóz kobiecy, bardzo dużo kobiet z dziećmi, które się w Rosji urodziły. Nawiązuję tam taki osobisty kontakt z pewną Węgierką, która ma chłopca. Przekazuję jej pieniądze, żeby się nie zgodziła na oddanie tego chłopca - chcieli go adoptować Rosjanie. Jakieś bezdzietne małżeństwo, obiecując jakieś korzyści. Wyjechałaby jako panna, wróci sama - podpowiadali. Ja ją usilnie namawiam, żeby się nie zgodziła, daję jej część moich pieniędzy z Kołymy, pomagam jej finansowo. Nawiązuje się między nami jakaś taka nić sympatii, ja - chłopiec - i ona, jesteśmy w bliskich kontaktach. No, i ona potem wróciła na Węgry z dzieckiem. Dostałem od niej na pamiątkę taki wyszywany woreczek do portcygar-niczki. Z Alaskitowa też przywożę kilka pamiątek od Miny Zawieruchy: portcygar, fajkę z wyrzeźbioną główką Mefistofa. Mam to wszystko ze sobą. Potem drogi nasze się rozchodzą. Za każdym razem jest to wyrwanie kawałka uczucia, serca, przyjaźni - i te zawołania "Zbieraj się z wieszczami", które rozrywają wszystkie więzy i nici sympatii. W obozie bardzo duże rozluźnienie. Zaczynają się nami zajmować dwaj starsi więźniowie Polacy. Nawiązuję bliski kontakt z oficerem dwójki, panem Sikorą. On też wrócił do Polski, mieszkał gdzieś w Aninie. Nie tak dawno, chyba rok temu, próbowaliśmy go odszukać, zmarł, ale rodzina żyje. Pan Sikora wykłada nam trochę fizykę, matematykę i nauki ścisłe. Jeszcze jeden pracownik uniwersytetu albo politechniki - p. Bystrzycki Edmund, bardzo religijny człowiek - zajmuje się naszą edukacją moralną, duchową. Był obecnie członkiem mojego Koła Sybiraków na Żoliborzu. Zmarł w 1991 r. odprowadziłem go na cmentarz Północny na Młocinach, to było nasze spotkanie od czasów Połmy i ostateczne

127

rozstanie. Zaczynamy organizować teatr własny - kol. Sztepsel, naukę tańca - kol. Studniarski, produkujemy się artystycznie, wystawiamy. To zajście, ten bunt w Poćmie, jest to dość krawa wojna z Rumunami, o której mówiłem wcześniej. W końcu my, Polacy, przejmujemy całkowicie wyżywienie i kuchnię. To jest też epizod, który może być potwierdzony w innych relacjach. Ciągłe niepewni jutra, czekamy z niepokojem co przyniesie następny dzień.

W styczniu 1954 r. zapada decyzja: powrót do Polski. Odbywa się to już w zupełnie innych warunkach, jedziemy jak "półwolni", wagon jest bydlęcy, towarowy. W związku z tym przez analogię mogę przypuszczać, że z Władywostoka do Poćmy również jechaliśmy wagonami towarowymi.

Dojazd do Brześcia. Jesteśmy pilotowani przez jednego tylko opiekuna enkawudzistę, jest nas chyba 2 czy 3 wagony towarowe, osobny wagon kobiet. Może tu wstawka w sprawie obozów kobiecych. Stykałem się z więźniami, którzy krótko pracowali w obozach kobiecych na Kołymie i nie tylko na Kołymie. I kobiety, Polki i innych narodowości przechodziły tam gehennę... Tak jak my w latach 40 i późniejszych spotykaliśmy się z bytowikami i bandytami, białymi i sukami, tak samo w ich gronie były więźniarki kryminalne Rosjanki lub lepiej, obywatelstwa rosyjskiego - różne i one praktycznie nadawały ton w obozach. Tworzyły własne zamknięte grupy. Znęcały się nad kobietami i dziewczętami, które nie znały tych warunków, nie były przygotowane do takiej sytuacji. I było to ich wykorzystywanie fizyczne. Obsługi wewnętrzne i zewnętrzne tych obozów były męskie. W związku z tym zmuszanie czasem nieświadomych kobiet czy dziewcząt poprzez stworzenie odpowiednich sytuacji bez wyjścia do kontaktów fizycznych z męską obsługą - za coś tam za jakąś daninę. Mało tego: odbywały się orgie lesbijskie, na większą skalę. Było to rozpowszechniane w kobiecych łagrach bardziej niż

128

w męskich łagrach. Co pewien czas robiono "czystki" w obozach tych - i wywożono wózki członków męskich uszytych i wypchanych kaszą owsianą, którymi onanizowały się kobiety. Trudno nawet mówić na ten temat. Często były gwałty na mężczyznach obsługujących obozy kobiece - gwałty wyrafinowane. Ja tego nie znam z własnego doświadczenia. Docierało to do mnie z opowiadań więźniów, którzy w jakiś sposób zetknęli się z kobiecymi obozami. Nagminne było tatuowanie ciała w obozach męskich i kobiecych. Tusz robiono ze spalonej gumy, z jej sady zmieszanej z cukrem. Zaostrzone trzy cienkie druciki owinięte nitką po sam czubek, no i zaczynało się nakłuwanie do krwi aby tusz wszedł w ciało. Najpierw jakiś prymitywny rysunek, hasło a następnie klucze pierwotne i uzupełniające. Takim tuszem robiono również karty do gry na małych wygładzonych deseczkach - gra w karty i tatuaże były zabronione i karane karcerami, szczególnie kiedy zaczęły ropieć. Wielką cnotą było, jeśli któraś uchowała się i była tzw. „prawiczką.” Odbываły się na taką całe polowania, żeby ją zmusić do współżycia z mężczyznami czy lesbijkami. Przy kobiecych obozach najczęściej otwierane były dietdomy. Te dziewczęta, czy w samych obozach, czy w zetknięciu z wolnymi na proizwodstwie, zachodziły w ciążę i rodziły. Dzieci były odbierane do dietdomów przy łagrze, a one normalnie dalej pracowały. To chyba tyle co wiem na ten temat. Losy kobiet były dużo tragiczniejsze niż mężczyzn. Mężczyzna miał większą szansę jakiegóś obrony. Kobiety miały gorszą sytuację z racji swej słabości fizycznej i psychicznej, gorszej kondycji. Gorszą miały sytuację. To były więźniarki z wyrokami, kobiety starsze i młode, po 19, 20 lat w różnym wieku. Na Nachodce było 20 i więcej tysięcy kobiet w zonie kobiecej, a nas, mężczyzn, do 40 tys. okresami. W momentach nasilenia przed dalszymi transportami na Kolywę. To były olbrzymie liczby.

Dojechaliśmy do Brześcia. Tu jeszcze pewien epizod: w Brześciu natrafiliśmy na transport żołnierzy rosyjskich powracających

z Niemiec. Pociągi stoją naprzeciw siebie. Kiedy żołnierze dowiedzieli się, że w wagonie są kobiety - zaczyna dochodzić do napa-  
 stowania. Wchodzą do wagonu kobiecego, zaczyna się rejwach, zamie-  
 szanie. Kiedy my zorientowaliśmy się, co się dzieje, wyskakujemy -  
 zaczyna się interwencja, bitwa. Żołnierze wygłodzeni w jakimś sen-  
 sie. Tam w Niemczech nie mieli kontaktów z kobietami, tu już są na  
 „swojej” ziemi. Poza tym od razu się zorientowali, że to więźniowie  
 i więźniarki na jakimś etapie. Sytuacja coraz trudniejsza do opa-  
 nowania. Wreszcie naczelnik tego „eszelonu” decyduje się: trans-  
 port wojska odjeżdża, żeby odłączyć żołnierzy od kobiet. To było  
 w Brześciu. Musieliśmy czekać na przetransportowanie na drugą  
 stronę Bugu. Nie mogę sobie teraz przypomnieć, czy były dzieci,  
 może nie było, bo by się to jakoś rzucało w oczy. A zresztą myśmy  
 już żyli w pełnej euforii, żyliśmy tym, że za godzinę... za pięć  
 minut staniemy w Kraju, w Ojczyźnie.

No i wreszcie zostajemy przetransportowani na drugą stronę  
 Bugu. Pełna euforia: szalona radość, całowanie ziemi, śpiewanie  
 Roty i "Jeszcze Polska nie zginęła" - dopókiśmy nie spostrzegli,  
 że cały teren jest otoczony wojskiem polskim. I tu nasza tragedia.  
 To było uderzenie obuchem w głowę, pełne zaskoczenie. Niektórzy  
 już nie wytrzymują psychicznie, rwą na sobie ubranie, idą na szty-  
 ki. Ponieważ dowiadujemy się, że mamy być przewiezieni do obozu,  
 do więzienia. Od oficera, który dowodzi tą całą ochroną. Przy-  
 puszcza, że to było UB, bezpieczeństwa. Umundurowani, broń skierowana  
 na nas, ze sztykami. Stąd to rwanie koszul, ubrania, pchanie się  
 na nich: "strzelaj!". Myśmy dziesięć lat czekali! UWAGA, płacz  
 opowiadającego, który prosi, żeby włączyć mikrofon. No nie tak  
 tragicznie, zatkało tylko w gardle. Ja już nie umiałem płakać,  
 no może czasem we śnie. Zna teraz zazwyczaj mnie budzi.

Kołyma jako taka była w ocenie więźniów, czy politycznych, czy

230

kryminalnych, błatnych, najgorszym miejscem zbiorowego odosobnienia, najgorszym gułagiem na terenie Związku Radzieckiego. I pokutowało między "zakluczonymi" słynne powiedzenie: "Zutszej kaszki nie dołoż, na Kołymę nie trywoż" - lepiej było już, znacznie gorzej zjeść w innych łagrach jak iść na etap, na transport na Kołymę. To było słynne powiedzenie. Była to trwoga: jeśli ktoś miał być na Kołymę odesłany, to praktycznie żegnał się z materikiem, ze światem, z Rosją jako taką.

Gułag radziecki był szczytowym osiągnięciem myśli ludzkiej dążącej do totalitarnego zapanowania jednego człowieka nad drugim. Do podporządkowania sobie strony fizycznej i psychicznej drugiej jednostki. Na jego doskonałość złożyły się setki lat prób i wzorców narodów Europy. Podwaliny pod jego konstrukcję i praktyczną realizację dały metody stosowane przez różne religie, wyznania i pseudo idee. Rozpasanie polityczne o władzę najwyższych jednostek władzy biskupiej doprowadziło do powstania instytucji zbiorowego mordu - czarnej inkwizycji. Europa jako kolebka przemocy wyciągała swe macki na pozostałe kontynenty świata. Całe średniowiecze, Rzym poprzez legiony rzymskie podbił północną Europę, aby następnie nową wiarą poprzez Hiszpanię, Francję i Niemcy doskonalić swe metody totalitarnej władzy. Kiedy Europa zaczęła panować nad światem poprzez kolonializm a następnie imperjalizm, to Anglia, Portugalia, Holandia i Francja w imię nawracania i krzewienia swych religii i kultury organizowała wyższą formę masowego mordu tworząc zbiorowe obozy izolacji. Podporządkowując całe społeczeństwa i narody pod swą totalitarną władzę. Wreszcie wiek XX osiągnął szczyt doskonałości w sposobie całkowitego totalnego ubeswłasnowolnienia jednostki ludzkiej. Poprzez nacjonalizm, narodowy socjalizm, i komunizm ustrój totalitarny Europy dokonywał mordy globalne całych Narodów. Hiszpania, Włochy, Niemcy błogosławione w imię świętej krucjaty bombardując mordowały, paliły inowierców nowej religii komunistycznej. Totalitaryzm w swej szczytowej formie hitleryzmu niemieckiego mordował miliony zniewolonych jednostek ludzkich. Rosja natomiast w imię swej nowej wiary, w imię totalitarnego zapanowania nad światem zlikwidowała setki narodów i miliony jednostek ludzkich w jecnym zbiorowym GUŁAGU.

Słowa "matierik" używano na określenie kontynentu. Kołyma jako taka nie jest ostrowem, jest półostrowem, ale nie ma innego dostępu jak morzem. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych została uruchomiona jakaś droga, próbowano robić kolej w tym kierunku. Ale praktycznie wszystkie transporty szły przez morze Japońskie, Cieśninę la Perouse'a, Morze Ochockie do Magadanu. Tu, w Cieśninie La Perouse'a Japończycy zatrzymywali transporty, które szły na Kołymę, w roku 45 ale ludzie byli ukrywani. Nie wiem czy były przypadki, że odkrywali tych ludzi, pewnie nie bardzo chcieli, może nie mogli. Przewożono ich w trumach, plandekami zakrywano wejścia do trumfów. Kontrola była powierzchowna i zawsze stwierdzano, że były to transporty żywnościowe, zaopatrzeniowe. Po 45-46 roku, po zakończeniu wojny japońskiej osłabiona była ta kontrola. W drodze powrotnej w 53 r. już nas nikt nie kontrolował. Ja sobie to tym tłumaczę, że nie znalazłem się w Japonii w 45 roku. Kiedy byliśmy w Nachodce, było widać walki samolotów japońskich nad terenami Zw. Radzieckiego. A kiedy budowaliśmy szosę w lasach Mandżurii, były japońskie brygady wziętych do niewoli Japończyków.

Wróćmy do nowej granicy polskiej, do Brześcia. To co nas spotkało nie było aresztowaniem. Nasz przyjazd musiał być awizowany wcześniej. Nasi byli przygotowani na nasz przyjazd. Organy NKWD wcześniej musiały uzgodnić z polskim UB, że dostarczy element "niebłagony", który trzeba odpowiednio skutecznie potraktować. Rosjanie nas wypuścili, myśmy przeszli i nie dostrzegłem jakiegoś kontaktu, przecież jedna osoba nas konwojowała. Prawdopodobnie jednak były między tymi, którzy nas przejmowali a tymi, którzy nas zdawali jakieś uzgodnienia. Zresztą byliśmy, jak mówiłem, zaaferowani, nieprzytomni z radości, że stajemy na polskiej ziemi: hymn, rota, śpiew. Myśmy wracali do Ojczyzny, do Kraju. Odzyskaliśmy upragnioną, wymarzoną wolność po latach katorgi. I w pewnym momencie dostrzegamy po drugiej stronie, teren otoczony przez wojsko. Oddziały służb specjalnych, prawdopodobnie MSW, zresztą wtedy nie

rozróżniałem tych dystynkcji, zresztą i teraz nie za bardzo. Zaczyna się tragedia, rozpacz, bo oni wstrzymują naszą grupę. Kiedy chcemy się poruszać swobodnie, z bagnetami na karabinach skierowanymi na nas - wstrzymują nas. Czy może być większa tragedia dla ludzi, którzy odzyskali wolność, wysnioną w koszmarnych snach pod biegunem północnym, jak ponowny powrót za kolczaste druty. Ileż sadyzmu, zezwierzęcenia, braku jakiegokolwiek najdrobniejszego pierwiastka humanizmu w tych, którzy wydali taką decyzję. Jutrzenka i mrok, radość a następnie ból rozrywający piersi. Wolność i powrót za reszotkę. To Ojczyzna nas witąca, to rodacy, polscy żołnierze kierowali bagnety w nasze piersi, a oficer w ojczystym języku wydawał rozkazy podporządkowania. Podjeżdżają samochody, rozkaz, żebyśmy na nie wchodzili i chcą nas gdzieś wieźć. My nie wiemy, gdzie, wszystko odbywa się poza nami. Większość nerwowo nie wytrzymuje, drą na sobie ubranie, odsłaniają gołe piersi i idą na te sztyki "No, strzelaj do własnego brata", czy coś w tym rodzaju. Oficer, który zajmuje się całością, widzi, że coraz bardziej narasta napięcie, emocja. Zaczyna niby tłumaczyć, że to pogranicze, że różna ludność, mogą nam krzywdę zrobić, że oni nas przewiozą w bezpieczne miejsce i stamtąd zostaniemy rozesłani. Takie gładzenie aby opłamać sytuację. To uspokaja nas na tyle, że wchodzimy do tych samochodów i ruszamy w drogę pełni rezygnacji i apatii. Myszni byli nastawieni na to, że przekroczymy granicę, będziemy w ojczyźnie i wolni, że Ojczyzna przez te 10 lat na nas czekała, wracali Jej wierni synowie, żołnierze-tulacze. Mało tego - zaczynamy sobie zdawać sprawę, że gestapo nas przez pięć lat mordowało, przez dziesięć lat NKWD nas mordowało i w tej chwili zaczyna się znowu jakaś historia. Potem się dowiadujemy, że zajął się nami UB. To znaczy trzy najpotężniejsze na świecie instytucje XX wieku, które ten cały reżim totalitarny trzymają w swoich rękach. To jest początek 54 roku, w pełni jeszcze działa stalinizm. Potem się dowiadujemy, że są jeszcze sądy kapturowe, są jeszcze wyroki i mordy. Zresztą czuję to

na własnej skórze, przewożą nas do Tomaszowa Lubelskiego i zaczynają się badania. To jest gdzieś w lesie, jakiś obóz, dawne koszar-y austriackie. Tam nas zakwaterowali. Zaczyna się wzywanie po kolei, dzień po dniu, apiać to samo, co było na gestapo, co było na NKWD w 45-ym roku. A teraz, w pierwszych miesiącach 54 tutaj na UB w Polsce. Podejrzewam, że oni musieli mieć jakieś informacje, niepełne, ale informacje. Pytania, które nam zadawano, pokrywały się z tym, co "zapisano" pod dyktando sledowaciela w NKWD. W latach sądenia przez NKWD. Może dostali kopie przesłuchań, albo inne, bardziej syntetyczne informacje. Które teraz zaczynali uzupełniać i apiać zaczęło się spisywanie - tylko już po polsku - i każda kartka u dołu musiała być podpisana przez badanego. I ta sama metoda co w 45 roku, działała: nie to, coś ty mówił, tylko to, co chciał polski sledowaciel usłyszeć - tak to było ukierunkowane. To się ciągnie przez styczeń-luty 54 roku. Na początku stycznia zostaje przesłany do Polski. Po ponad sześciomiesięcznym pobycie w Poćmie, gdzie nas trochę "kurowali". W tym sensie, że się na robotę nie chodziło, do normalnego "widu" się człowiek doprowadził.

Tak to wyglądało. W tym obozie byli Polacy, były kobiety w oddzielnych barakach. Jakies murowane stajnie dla koni, w których urządzona była łaźnia, tam nas do kąpieli prowadzono. Wszystko to oczywiście otoczone drutami kolczastymi i zaskakami z ochroną dookoła wojskową. Był dom, do którego wzywano na badania. Trudno mi powiedzieć, ile osób tam było. Kilka baraków, nie typu rosyjskiego, lepsze baraki, drewniane, nie poaustriackie, budowane obecnie, w tym okresie. po terenie mogliśmy się poruszać. W baraku było ok. 50-60 osób. W tej chwili sobie dobrze nie kojarzę, ale musiały tam być wcześniejsze transporty. Albo jacyś inni więźniowie, ale nie mogę sobie tego dokładnie odtworzyć. Chyba było między 500 a 1000 osób, trudno mi powiedzieć. Są to zresztą szokujące nas historie i krótki czas. Zżerała nas tęsknota, nieciepliwosć,



byliśmy sposobni na wszelkie szaleństwa, na nierozważny i niebezpieczny krok. Byliśmy na ojczyściej ziemi a ciągle tak daleko od bliskich, od rodziny. Przecież ja przez 10 lat nie miałem żadnej wiadomości z domu. Nie wiedziałem czy żyją, brali przecież tak jak i ja udział w Powstaniu. Wiedziałem przecież jak zniszczona była Warszawa, Starówka na której mieszkali najbliżsi, Stefan, Zocha, Rodzice. Ciągle myślałem o odnalezieniu tego terenu Bełzec - nie Bełzec. Wiem, że do jakiejś stacji na Bełzec na piechotę doszliśmy, jak nas już wypuścili. Mogliśmy się poruszać po tym terenie, ale nie było to takie całkowicie wolne chodzenie. Czy pamiętam jakieś nazwiska stamtąd? Są to koledzy: Studniarki, Sikora, Bystrzycki, Kujigowski, Kutnicki, Sztepsel, Żurawski, Krajewski, Saper, Żórański, Lewandowski i dużo innych których nazwiska zapomniałem. Ciągle nie miałem kontaktu z rodziną. Udaje mi się w pewnym momencie przerzucić przez druty list. Mam go do dziś jeszcze. Matka go zachowała na pamiątkę. Napisałem na nim kilka adresów, spodziewając się, że może ten list dotrze do rodziny. Zrobiłem to na ryzyko, z narażeniem na konsekwencje, bo nikt specjalnie nie podchodził do tego ogrodzenia. Ale liczyłem na to, że może ktoś będzie przechodził. Był tu i lasek ale i pola jakieś, może ktoś podniesie ten list. Może żołnierz z ochrony ulituje się i nie doniesie władzy a list przekaże dalej. Zresztą rozumowanie moje było słuszne, prawidłowe. Podniesiono ten list, naklejono znaczek i wysłano. Znalazł się solidarny człowiek, bezimienny, współczujący. Z tym że zbiegło się to z moim zwolnieniem.

W przesłuchaniach zagadnienie sprowadzało się do powtórzenia życiorysu wg wersji stworzonej przez śledowaciela NKWD. Nowych elementów, zarzutów nie było. To, co się powiedziało, było korygowane przez śledczego /.../. Przytaczano stwierdzenie dokładnie z tego, co wymuszono wcześniej na tamtych badaniach. Chcieli mieć podpisane przez nas życiorysy do ew. późniejszego wykorzystania.

Zresztą to się odbiło w latach późniejszych, nawet w 1970 roku. Kiedy Dyrektor Departamentu Kadr Ministerstwa Maszynowego dotarł do moich dokumentów i zwolniono mnie z pracy. Więc teteczki istnieją /.../. Nie pomógł nawet w tej sprawie obecny senator Wilk, który robił starania i wysiłki aby mnie pomóc. Ręka Moskwy jest długa a władza pamiętliwa i bezwzględna.

Zostaję zwolniony, dostaję glejt na przejazd pociągiem. Dostaję dokument zwolnienie z tego więzienia z numerem 321/54. Ja go mam, tzn. odpis, bo te dokumenty zabrano nam, kiedy nam wyrabiano dowody osobiste. Zaświadczenie, żebym się meldował na milicji, nawiązał, że tak powiem, kontakt z milicją. I nakaz zatrudnienia wydany przez Prez. Rady Narodowej Tomaszowa, specjalny oddział. Koniecznie żądano, abym pojechał na Ziemię Odzyskane, bo nie mogłem powiedzieć, gdzie jest moja rodzina a ul. Franciszkańska spalona na Starówce. Jak wiadomo, matka po Powstaniu została wywieziona do Niemiec, ojciec również przez Pruszków wyszedł ze Starówki z bratem i siostrą. Ja mówiłem, że nigdzie indziej nie pojedę tylko do Warszawy. Na kopercie tego listu, który przerzuciłem przez druty, dałem przedwojenne i okupacyjne adresy rodziców i znajomych. Natomiast oni, UB żądają, żebym pojechał albo na Ziemię Odzyskane albo na Śląsk do kopalni, na co ja kategorycznie się nie zgadzam. Już teraz jestem gotów na ucieczkę, na każde szaleństwo, pójście przez druty aby się wyrwać i odszukać Rodzinę. Żądam, aby mnie z powrotem do Rosji odesłano. Tak stawiam problem, zdając sobie sprawę, że jest to absurdalne. Rozumuję, że warunki będą takie jak w Rosji. Myślę, że to będzie osiedlenie bez prawa przemieszczania się po Polsce, A ja chcę się koniecznie dowiedzieć czy Rodzina żyje. Mam zakodowane przez te 10 lat myślenie kategoriami łagiernymi. Upieram się przy powrocie do Warszawy. Wreszcie zgadzają się, dostaję się do tego chyba Bełżca, wsiadam w pociąg. Jestem trochę jak chochoł: w czapce baraniej, rezinowe buty z cholewami, jakieś spodnie waciaki, tiuagrejka, czemodan drewniany, walizeczka drewniana typowa,

w którą się na Poćmie zaopatrzyłem. Od razu robię w wagonie wrażenie, budzę zainteresowanie swoim wyglądem. A jeszcze zaciągam przecież po rosyjsku, jako że kontaktów polskich dłuższych nie miałem, tylko rosyjskie. Zresztą cały czas człowiek dążył do maksymalnego niewyróżniania się, starał się wtopić w otoczenie. Więc ludzie z początku nieufnie, potem zaczynają mnie otaczać. Schodzą się do przedziału, coraz więcej ludzi i zaczynają się opowieści. Oczywiście i konduktor siada, nie żądają ode mnie żadnej opłaty, nic, zresztą nie mam ani grosza. I praktycznie do Warszawy dojeżdżam, opowiadając skąd jadę, jak, co, w jakich warunkach, że więzien itd. Zresztą muszę powiedzieć, że od przybycia do Polski do tej chwili otwarcie jasno i bez owijania w bawełnę mówiłem o wszystkim. Teraz jest to już jawne, ale przez 40 lat nie wolno było o tym mówić. Przez cały czas mówiłem, nie skrywałem tego nawet w pisemnych życiorysach. Głośno opowiadałem dookoła o tym, że tam siedziałem i za co. Tworzyło to różne atmosfery wokół mnie, lepsze i gorsze, oficjalne, służbowe gorsze, prywatne lepsze. Mało tego, byłem przecież w 86 czy któryms roku zatrzymany na Krakowskim Przedmieściu, kiedy wychodziłem z katedry po uroczystościach trzeciomajowych. Ponieważ noszę znaczek Polski Walczącej Baonu Zośka zawsze, momentalnie złapało mnie dwóch pod pachy. Doprowadzili do samochodu pod Zamek Królewski i ten tajniak: "Złapaliśmy kapeenowca!", bo mu się znaczek kojarzył z tym. Wyśmiałem ich, mówię: "Czy pan wie, co to za znak?" - i wycofali się /.../. A to jest znaczek baonu "Zośka", zresztą z numerem 81, z tego baonu szedłem do Powstania.

Wracając jednak do mego powrotu do Warszawy. Dojeżdżam do dworca Wileńskiego. Ciągłe niepewny, bo nie wiem dokąd iść. Warszawa jest zmieniona, dworzec to otwarta jakaś przestrzeń, nie tak jak przed wojną. Dopytuję się ludzi, ciągle z akcentem, więc patrzą na mnie podejrzliwie, z rezerwą, wsiadam w tramwaj. Pamiętam nazwę i ulicę Franciszkańską i tu podążam najpierw. Staję koło konduktora. Mówię mu, że jadę z więzienia z Syberii do domu. On mówi:

"Nie bój się, ja cię dowiozę". Ludzie chodzą po ulicach pod rękę, uśmiechają się, rozmawiają, robi to na mnie wrażenie. Szok. Most Kierbedzia zupełnie inny. Mało tego, wjeżdżam w tunel. "Kuda ty mnie wiesziesz?" - do konduktora prawie po rosyjsku. "Nie bój się, nie bój się, ja cię dowiozę!" /.../. Wjechaliśmy w Nowotki. To był przecież teren getta kiedy opuszczaliśmy Warszawę. Zatrzymał tramwaj, choć nie było przystanku. Tam, gdzie teraz jest ambasada chińska, wysadził mnie, wskazał palcem, gdzie mam iść. Stare Miasto spalone, jeszcze nie odbudowane. Idę ulicami po których chodziłem 10 lat temu, dostrzegam znajome fragmenty chodnika, załamania ścian budynków. Franciszkańska zrujnowana, dochodzę do ruin swojej bramy. Następny szok: wszystko spalone, wchodzę, patrzę w puste okna naszego mieszkania, serce mi się ściska, zasypana góra. Siadam na tym czemodanie i z rozpaczą myślę, co dalej robić. Jest mi strasznie źle ale ciągle wierzę, że odnajdę rodzinę. Bo nie mam żadnego kontaktu, żadnego wejścia. Stoję na swym podwórku, przed bramą włącz do kanału, wspomnienia tłoczą mi się do głowy. A jednak jestem zupełnie obcy na tym terenie. Do kogo się zwrócić o pomoc, o radę, co z sobą robić dalej? Wszystko jest martwe i milczące. I wtedy zaczyna mi się coś kojarzyć. W okresie okupacji Marymont nie był skanalizowany. Była pompa na ulicy Potockiej, a koło tej pompy mieszkała moja ciotka Zarzyoka. Wujek pracował, jej się źle powodziło, jako młody chłopak często jej pomagałem, czasem przyniosłem wody z tej pompy. Ta pompa i ten dom mi się skojarzył jako następny punkt, gdzie mogę szukać kontaktu. Do dziś nie bardzo wiem dlaczego ten adres właśnie zachowała moja pamięć wzrokowa. Po opuszczeniu ul. Franciszkańskiej dochodzę na piechotę do dworca Gdańskiego. Dawniej jechało się tramwajem ul. Bonifraterską na dworzec. Stąd dojeżdżam na Plac Wilsona. Znowu zaskoczenie, bo nie ma tramwaju na Marymont, dawniej chodził aż do Czarnego Lasu, a teraz nie ma... Więc na piechotę. Dopytuję się ludzi, choć nie bardzo umiem sprecyzować

pytanie. Bo odtwarzam trasę z trudem, pytam o Marymont, o co jeszcze spytać - wszystko u mnie jak we mgle. Dochodzę do Potockiej. I ta pompa jest - i dom jest, choć cały Marymont spalony. Więc serce mi bije - może tutaj coś będzie. Drzwi, za którymi spo-  
 dziewałem się ciotki. Fukam - otwiera ciotka. "Wszelki duch pana Boga chwali" - konsternacja, ciotka mdleje, przewraca się, nikt nie wiedział, że ja żyję. Nie miałem żadnego kontaktu. Więc szok, radość, lzy radości, pierwsza informacja: rodzice żyją, wszyscy zdrowi. "Zaraz cię zaprowadzę". Wuj zginął w czasie Powstania, ciotka została sama z synem /.../. Łapie mnie za rękę: "Janusz, ja cię zaraz zaprowadzę, tutaj niedaleko na Słowackiego mają mieszkanie". Na przełaj przez niezabudowany jeszcze Plac Lelewela przeprowadza mnie pod górę na Słowackiego. Ciotka nerwowo nie wytrzymuje, biegnie pierwsza. Ja z kolei też nie wytrzymuję, coraz trudniej mi, zbliża się chwila, kiedy zobaczę swoich najbliższych po tylu latach. Wreszcie dochodzimy na Słowackiego 32, ciotka już jest na górze, już słyszę krzyk na drugim piętrze. Wchodzę po schodach, dosłownie jak nurek wynurzający się z wody, coraz mi ciężiej. Dochodzę: w drzwiach brat, siostra, rodzice. Wybiegają, stykamy się na korytarzu na schodach... Okazało się, że list, który przerzuciłem przez druty, w przeddzień dotarł do rodziców i właśnie wybierali się do Tomaszowa, żeby mnie odszukać.

Trudno słowami opisać to, co się działo w domu. U nas był ojciec, matka, brat, siostra i pani Kantorówna, starsza pani, która "dożywała" przy naszej rodzinie, nauczycielka, zajmowała się bratem, jeszcze gdy był mały. Matka to mdleje, to się rzuca na mnie, ojciec to bardziej po męsku znosi. Jakieś "może jeść, może to, może tanto". Dla mnie to też olbrzymi szok. Powoli się uspokajamy, ale ciągle "opowiadaj, mów!" - wszyscy mają milczeć, mam mówić tylko ja, gdzie, co, jak. Mama wreszcie wchodzi w swoją

rolę wykładowcy, dyryguje, wydaje polecenia. Przecież to już dokładnie 10 lat! Wszyscy mnie już pochowali, nie wierzyli, że wrócę, z wyjątkiem jednej matki. Która chodziła do Częstochowy, chodziła do wrózek różnych - wszędzie jej powtarzano, że ja żyję. Święcie w to wierzyła. /.../ Te stoły z nakryciem dla mnie, czekającym, czego matka przestrzegała. Ojciec mówił "daj spokój, Michaś", ale matka w dalszym ciągu tego przestrzegała, bo wierzyła, że ja wrócę. Człowiek inteligentny, bo nauczycielka, ale mimo wszystko... Ale matka to osobny rozdział.

No i cóż? Zaczyna się powoli wejście w nowe życie, klimatyzowanie się w kraju. Jest to dla mnie następny rozdział. Dalszy ciąg ciernistej drogi, choć wspierany przez najbliższych. Moim największym marzeniem w tym czasie było zaszyć się do lasu, pracować jako leśniczy wśród zwierząt, zdala od ludzi. Jedynie dzięki matce zdołałem się wreszcie otrząsnąć i wrócić do społeczności. Choć w pełni jestem świadom ile te lata zostawiły we mnie kompleksów, zahamowań i uprzedzeń. Pierwsze lata, dopóki się nie otrząsnąłem, były tragiczne, bo bezpieka po prostu nie dawała mi żyć. Zresztą matka to strasznie przeżywała, bo przychodził taki do domu, wyjmował pistolet, kładł na stół i zaczynały się znowu jakieś - jak to nazwać? - bydania? Ciągłe kontakty, wzywanie na Mickiewicza, był tam taki pokoik, do którego mnie wzywano. Podpisywanie, różne zeznania - jak ę co robisz, gdzie się obracasz, z kim się stykasz, co ludzie mówią? etc. Oczywiście proponowano mi współpracę, były szantaże. Ale mnie już trudno było wziąć na plewy, wybroniłem się w łagrach, wybroniłem i tu. W maju zacząłem pracować ze wskazaniem, z nakazu. Tam musiałem się znowu meldować w oddziale I przynajmniej raz w tygodniu. I znów: co w otoczeniu mówią, jaki jest stosunek do mnie - wszystko po kolei. To trwało gdzieś do początku 57 roku. Po Październiku zaczęło się trochę zmieniać, ale jak się zmieniać? Ostatecznie byłem po maturze i dwóch latach

Wawelberga, a poszedłem do pracy z nakazu, wolno mi było wozić śmiecie, wióry, pracować jako placowy. W najgorszych pracach. Dużo później zaczynam pracować jako tokarz na mechanicznym. Zdaję sobie sprawę, że jedynym wyjściem, oderwaniem się od tego wszystkiego, jest uczyć się dalej. Utwierdza mnie w tym matka. Ponieważ nie jestem w stanie odtworzyć dokumentów, nie mam ich, Miodowa i Wawelberg spalone. Do końca 55 r. robię drugi raz maturę u Konarskiego. Liczę na to, że w ten sposób się jakoś usamodzielnię. Tym bardziej, że w 57 roku zelżała inwigilacja i kontrolowanie mnie na każdym kroku. Pracuję cały czas, uczę się w wieczorówce. Poznaje moją obecną żonę w miejscu pracy i w styczniu 56 roku żenię się. I tu znowu uderzenie, żona zostaje zwolniona karnie z pracy za małżeństwo ze mną. Przesłana na wydział wyjątkowo szkodliwy, na lakiernię i chromownię, gdzie po dwóch latach nabawia się astmy. Tu warto wspomnieć, że brat żony Józef odsiedział w latach 1946-1950 cztery lata w więzieniu, chyba we Wronkach, za walkę zbrojną ze zniechęconym systemem. W grudniu 56 roku rodzi się córka, a ja w 58 dostaję pierwszego zawału serca. Po prostu nerwy jakoś nie wytrzymują tego wszystkiego. Chyba w listopadzie 58 zabierają mnie do szpitala. To też jest osobna historia, bo lekarz się nie poznał, przyszedł, stwierdził, że histeria, zrobił mi zastrzyk w siedzenie, zabrał się i pojechał. Czuję, że umieram, że się kończę. Dopiero brat z kolegą wziął mnie pod ręce i zacięgnęli do szpitala na ul. Felińskiego. Tu stwierdzają, że prawdopodobnie coś z sercem, nie określają, że to zawał. Ale że oni nie mają ostrego dyżuru, nie mogą przyjąć. "Z powrotem do domu i wezwać znów pogotowie". Z trudnością zaciągają mnie do domu na piechotę schodami na 2 piętro. Wzywają znów pogotowie, przyjeżdża karetka, znoszą mnie, bo już jestem nieprzytomny. I znowu pech: zawożą mnie do szpitala na Leszno, ale jest sobota i tylko lekarz dyżurny, brak

148

natomiast personelu laboratoryjnego. W poniedziałek dopiero zjawia się ordynator, dr Stasiak i stwierdza zawał serca. Leżę ponad dwa miesiące w szpitalu. 8 tygodni na wznak, nie wolno mi się ruszać. Takie były wtedy metody leczenia zawału serca. Dr Stasiak wyjątkowo serdecznie się mną zajął, uratował mi życie. I znowu los szczęścia zjawiał się w porę. Te 8 tygodni leżenia i patrzenia w sufit jest straszne, potem uczę się chodzić. Wychodzę, znowu ciągniemy to wszystko z ciężko chorą żoną. Olbrzymia pomoc żony, także duchowa. Po zawale jestem kompletnie psychicznie załamany, typowy objaw stanu pozawałowego. Boję się krzeselka przenieść z miejsca na miejsce. Przez rok jestem nie do życia, nie pracuję. Później się dowiedziałem, że lekarze powiedzieli żonie aby była przygotowana niedługo na najgorsze. Zresztą przesładuje mnie myśl w tym czasie, że moja choroba jest chyba silniejsza od wszystkich razem służb specjalnych, które dotąd mną się zajmowały. I, że nie dam rady się tym razem wywinąć. Ratuje mnie prof. Żero z Elżbietanek, miał w Nałęczowie drugie piętro w sanatorium. Bierze on swoją łaskę, daje mi do ręki: "Ty mi tutaj nie histeryzuj, alejki są w parku ponumerowane, masz codziennie meldować, ileś przeszedł!" - bo bałem się chodzić, chodziłem przy ścianie. Zawał był dla mnie olbrzymim szokiem, urwałem się, że tak powiem z łopaty.

Wszystkie problemy: ciągle nagabywanie przez bezpiekę, odpowiedzialność za dom, który próbowałem stworzyć, zwolnienie żony z pracy z mego powodu, nauka. W 56 iskierka nadziei, że coś się zmieni, a potem widzę, jak pracowników UB kierują do zakładów na stanowiska kierownicze, wszystkie te emocje mnie zjadły. Zaczynam myśleć, że jakaś klątwa, złe fatum na mnie a przede mną i na mojej rodzinie ciąży. W latach 60-61 wracam do zdrowia, pracuję /.../, w 62 postanawiam studiować. Widzę w tym szansę na niezależność, jest to dla mnie odskocznia, oderwanie się od brutalnej codzienności. W dalszym ciągu jestem dyskryminowany w pracy /.../. Przez



pewien okres pracuję pod "opieką" tokarza nasłanego przez UB. Wybieram SGPiS, ekonomikę produkcji /.../ zaczynam studiować zaocznie, jednocześnie ciężko pracując. Trafiam na różnych ludzi. Zaopekował się mną mąż koleżanki jeszcze ze szkoły powszechnej, profesor na SGPiS - matematyk p. Galas. Jej ojciec był nauczycielem, pracował razem z matką. Były kontakty przez matkę. Wspierał mnie życzliwie w chwilach załamania, nie zdana sesja, obłany egzamin. Była też bardzo pomocna pani Rawa, lekarka na SGPiS. A nade wszystko pomoc i poświęcenie mojej żony. Najwięcej jej mam do wdzięczenia, że dopiąłem celu kończąc studia. Która mimo ciężkiej choroby zdołała przejąć na siebie większą część obowiązków rodzinnych. Zresztą po skończeniu studiów odpłacam się żonie uczciwie. Teraz ona zaczyna i kończy naukę a ja wszystkie ciężary domowe biorę na siebie. Na studiach miałem zatarg z prof. Berezowskim, geografem. Obląłem u niego i przez niego, no nie przez niego tylko przez swoje nieuctwo, a właściwie nerwy, musiałem cały rok siedzieć /.../. W 67-ym roku dostaję drugiego zawału, dostaję się do szpitala na Bielanach. Jestem już po absolutorium i kończę pisanie pracy magisterskiej, kiedy już się lepiej czuję - w szpitalu. Taką deskę mi zrobiono, kładłem na podkurczone kolana i pisałem, leżąc na łóżku, bo nie wolno było mi się ruszać. Kończę ją, profesor promotor p. Fierla przełożyła mi termin obrony. Po wyjściu ze szpitala bronię pracy i mam ukończone studia. Znowu okres rehabilitacji. Ale już nabieram pewnej rutyny w przeciwstawianiu się zapaściom psychicznym, potrafię się z tego otrząsnąć, wybronić. Przy zawałach jest to bardzo istotne, nie dać się załamać. W krótkim czasie staję na nogi, znowu praca, zmieniam służbowo zakład na centralne laboratorium i zostaję kierownikiem działu programowania. Przedtem dostaję się do Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. Pracuję tam jednak bardzo krótko, ponieważ dyrektor departamentu kadr dokopał się w moich aktach, że siedziałem w Zw. Radzieckim. Sprawę zakatwił

w rękawiczkach, wracam do zakładu przemysłowego jako "nieodczowny specjalista". Mimo usilnych starań dzisiejszego senatora Wilka i jeszcze jednego, którzy jeździli do bezpieki żeby mnie zatrzymano w ministerstwie, aby mnie wybronić i pomóc.

W 64 roku umiera mi matka, dobry duch naszej rodziny, której śmierć przeżywam bardzo. Był to opiekun, przewodnik po życiu, człowiek, który mnie podtrzymywał na duchu, ukierunkowywał - wzór do naśladowania. Ojca też kochałem, ale matka była wszystkim /.../. Mieszkaliśmy razem z rodzicami, matka nie chciała mnie wypuścić spod swoich skrzydeł od powrotu z zesłania /.../.

W latach siedemdziesiątych życie zaczyna się poprawiać, staje na nogi, zarabiam lepiej. U żony jednak choroba się tak rozwija, że musi przejść na inwalidztwo - astma, ataki się coraz częściej powtarzają, dusi się. Po enkortonie dostaje następnie cukrzycy i wrzodu żołądka /.../. W 74 znowu uderzenie: umiera ojciec, a ja w krótkim czasie dostaje trzeciego zawału będąc na wczasach z żoną na Mazurach. Leżę w Reszlu przez trzy miesiące /.../. Fatum i szczęście walczą o moje życie. Piętrząca się opresja, śmiertelne zagrożenie i szczęśliwy finał. Później dwie ciężkie operacje wątroby i nerki. Ale ciągle wychodzę cało.

W 82 roku zwalnają mnie na wcześniejszą emeryturę. Ta decyzja mnie przeraża, życie tak szybko przebiegło. Jestem inwalidą pierwszej grupy, inwalidztwo wojenne. Byłem ranny w okresie Powstania, wybito mi oko na badaniach w gestapo. A reszty dokonał Biegun Północny - wyklęta i zapomniana przez Boga Kokyma. Powoli, powoli to się kończy - teraz tylko czekać? Robię jednak co mogę, jestem przecież prezesem Koła Sybiraków na Żoliborzu i w Oddziale Warszawskim. Do marca jeszcze pracowałem, teraz redukcja, zostałem zwolniony. Odziedziczyłem po matce ciągłą chęć pracy społecznej, stąd współpraca moja z młodzieżą, z ZHP, ze Stowarzyszeniem Warszawa, w ZBoWiD. Prelekcje - opowiadałem o wszystkim gdzie się tylko

144

dale, dookoła przekazuję prawdę młodzieży. Mówiłem nie ukrywając, o pobycie w więzieniu, czym więcej byłem dyskryminowany, tym więcej mówiłem, pisałem. Tym bardziej, że wyczuwałem u władz oficjalnych, że nie w smak są moje wynurzenia. Przykładem tego np. była prośba dyr. Graczyka, zresztą byłego partyzanta z AL, abym zaniżył swój życiorys, w którym była zawarta informacja, że siedziałem w więzieniu sowieckim. Albo oficjalna, pisemna odmowa kier. kadr Korczyńskiego na moją prośbę o zaliczenie do ciągłości pracy pobytu w ZSRR. Uzasadnieniem odmowy było twierdzenie, że pobyt w więzieniu w Zm. Radzieckim nie może być zaliczany do ciągłości pracy. Podkreślałem te sprawy na każdym kroku, żeby te rzeczy w jakiś sposób się utrwały w społeczeństwie, nie zginęły, nie znikły... Tym bardziej, że koledzy, znajomi, przyjaciele i przygodni słuchacze chłonęli to co mówiłem z zapartym tchem. Zresztą obozy niemieckie, sowieckie i polskie nauczyły mnie dwóch podstawowych w życiu spraw, patrzenia na poczynania ludzi z dużą tolerancją, zrozumienia ich motywacji oraz cierpliwości, umiejętności czekania nawet latami, a nieraz w nieskończoność. A co zdecydowało o tym, że część z nas przeżyła tę Kołymę, że wróciła? Szereg czynników na to wpływało, że człowiek jakoś przetrwał. W pierwszym rzędzie i chyba głównie predyspozycje psychiczne i fizyczne - te dwa elementy. Młody wiek, nie stargane, silne nerwy. Następnie umiejętność wtopienia się w otoczenia. Adaptacja do konkretnych warunków zmieniających się z dnia na dzień. Etap za etapem - warunki się zmieniały i trzeba było się dostosowywać, nie wyróżniać się. Dalej, pomoc wzajemna, nawiązywanie kontaktów po dwóch-trzech, niekoniecznie z Polakami, to mógł być Rosjanin. Jakaś pomoc, również psychiczna. Choćby taka sprawa; na początku, kiedy jeszcze się paliło - jedna pejka na tytoń, druga wspólnie zjedzona. Jeszcze jedna istotna sprawa, zwłaszcza w latach późniejszych: rosło w człowieku przekonanie, że już nie ma powrotu, nie ma żadnych widoków na przyszłość. Trzeba

145

się zaadaptować w tej konkretnej sytuacji, żeby przeżyć z dnia na dzień. Nie wpadać w nostalgię, nie roztkliwiać się nad sobą. Jeśli ja miałem 15 lat wyroku, to jakie miałem szanse? Mnie się praktycznie w 60 roku wyrok skończył, odsiedziałem prawie od deski do deski. Bo chociaż wróciłem w 54 roku, ale jeśli dokończyć prześladowania na terenie Polski, to praktycznie odsiedziałem. Może byłem syty, ale psychicznie to tak samo przeżywałem. A więc utrata nadziei na to, że się człowiek stamtąd wyrwie powodowała, że człowiek stawał się twardy, agresywny. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że nie było żadnego pobjaźniania: słabszy po prostu ginął i nikt się tym specjalnie nie przejmował. Więzień obok ciebie, niby to współtowarzysz, ale ginął jak nie wytrzymał, podobnie jak setki innych, którzy nie wytrzymali. I nie było żadnej "poczołady", żadnego prawie współczucia, bo jeśli by się każdym przejmować, to by człowiek nie wytrzymał psychicznie, załamał się. Niektórzy nie wytrzymywali, szli na druty... Szli w pobieg który z góry był przesądzony na ich niekorzyść.

To była codzienna, z dnia na dzień, walka o przetrwanie. Jeśli ja potrafiłem po dwunastu godzinach pracy w zaboju, przyjść, kumpła jakiegoś zwerbować. Iść na kuchnię i przez 3-4 godziny piłować drzewo na opał, żeby dodatkową miskę balandy dostać do zjedzenia od kucharza. To to nie było 12 godzin pracy, lecz 15, 20 godzin. Nie dziwnego, że potem człowiek w króciutkim czasie dostawał tej elementarnej dystrofii, stawał się dochadziagą i wykańczał się, ale ciągle walczył o przetrwanie i to był sens.

Poza tym mieliśmy "świąteczny" przykład. Otoczeni błatnymi i sukami, którzy zabijali w zaboju, mordowali się wzajemnie i nas, nie mając żadnej litości. Nie zwracając uwagi na człowieczeństwo - tylko dlatego, że chcieli przetrwać. Zobaczył taki u ciebie nowe walonki, czy nową tinsgrejkę, którą dostajesz z przydziału - zabierał i sprzedawał wolnym za bochenek chleba. Przykład powodował, że

145

stawialiśmy się tacy sami w stosunku do słabszych od siebie. I to wcale nie znaczy, że we mnie zatraciły się cechy ludzkie, pierwiastki humanizmu, na stałe. Po prostu nie było innej alternatywy w tym czasie. Myśmy tych warunków sami nie tworzyli. Nas w to bagno wepchnięto i każdy chciał się z niego wydostać. Kiedy warunki otoczenia zmieniały się na lepsze i my stawialiśmy się ludźmi. Nieśliśmy pomoc innym, pomagając, dzieląc się tym czego mieliśmy więcej. I jeśli teraz czasami słyszę jak ktoś opowiada o wielkiej szlachetności, wzajemnej pomocy to myślę sobie, że nie zaznał on prawdziwego piekła na ziemi, nie siedział w łagrach w latach 40 na Kółmie. I to też powodowało, że człowiek jakoś wytrzymywał. Tak mi się przynajmniej zdaje.

A poza tym olbrzymi czynnik przypadku. Umiejętność wykorzystania lepszego momentu. To mnie uratowało na Ust-Nerze, kiedy piłem ten tran, albo na Pokryszkinie na lotnisku, kiedy to położyłem się na progu tej lepianki i ciepło spod drzwi jakoś mnie rozgrzewało, a Woroszykło zmarł. Były to przypadki, które mnie uratowały. Jeśli ktoś mocno wierzy, to - powiedzmy - przeznaczenie lub interwencja siły wyższej - Boskiej. - Może wiara i modlitwa Matki mnie uratowała.

Inteligencja, intelektualna nie była ważna: inżynierowie umierali z łonem w ręku w szurfiu, zasłużeni artyści radzieccy zamierzali. Ważna była inteligencja w sensie zwierzęcego instynktu, bronięcia się przed śmiercią i uniczczeniem, przeżycia.

Tak to wyglądało. And that is my case! - jako obrońcy mego życia.

Dziękuję, może to się przyda tym, którzy będą, kiedy już człowieka nie będzie.



Zdjęcie autora wspomnień wykonane w lipcu 1944r.  
na kilka dni przed zkoszarowaniem do Powstania War-  
szawskiego oraz dziesięć letniej rozłąki z Rodziną.



Warszawa, dnia 24 września 1945 r.

## Zaświadczenie *Nr. 496*

Stwierdzamy, że ob. *Siemińska Michalina* obecnie nauczyciel(ka)  
szkoły *główniej Nr 162* w miejscowości *Warszawa* brał udział  
w zorganizowanych kompletach tajnego nauczania na poziomie szkoły powszechnej, *średniej*  
*ogólnokształcącej, zawodowej* w miejscowości *Warszawa - hola II* w okresie od dnia  
*1.9.43* do *31.8.44* t. j. *1* lat *—* mies. *—* dni.

Zaświadczenie to wydajemy do użytku Komisji Weryfikacyjnej z zaznaczeniem, że za prawdziwość powyższego oświadczenia bierzemy na siebie pełną odpowiedzialność.

Podpisy:

*Michalina Siemińska*

*6. rep. Ltk Jan. na si. W. 1945*  
Funkcja w organizacji tajnego nauczania

*Przewodniczący Komisji*



O R Z E C Z E N I E

Powiatowa Komisja Weryfikacyjna przy Inspektoracie Szkolnym w Warszawie / Okręgowa Komisja Weryfikacyjna przy Kuratorium Okręgu Szkolnego w Warszawie na podstawie rozporządzenia Ministra Oświaty z dnia 26 czerwca 1945r. w sprawie zaliczenia okrośdu wojennego do wymiaru uposażenia nauczycieli/Dz. P. Nr. 24, poz. 140/zaliczyła obywatelowi Michalinie Siemińskiej naucz. zez. poz. Nr. 73 w Warszawie z okresu wojennego:

czas pracy w zorganizowanym tajnym nauczaniu w Warszawie od 1. IX do 31. VIII. 1944 w wymiarze podwójnym, t. j. 2 lat-mies.-dni: łącznie wzdł lat - mies. -dni.

Od orzeczenia niniejszego służy odwołanie w ciągu 14-tu dni od doręczenia orzeczenia w drodze służbowej do Okręgowej Komisji Weryfikacyjnej przy Kuratorium Okręgu Szkolnego/Ministerialnej Komisji Weryfikacyjnej przy Ministerstwie Oświaty/.

Warszawa dnia 29. X. 1945r.

Członkowie

dwa podpisy nie czytelne

Przewodniczący

M. P.  
pieczęć  
okrągła

podpis

ST. Paliński

R. G. O.  
Polski Komitet Opiekunczy  
powiatu Warszawskiego  
Delegatura w Pruszkowie.

POSTKARTE  
KARTA POCZTOWA



PRUSKÓW

8

Sietmińska Michalina

Freifrey - Schlesien  
A. E. G. Röhrenfabrik

R. G. O.  
Polski Komitet Opiekunczy  
w Pruszkowie.

Pruszków, dnia 1/11 1944 r.

W odpowiedzi na kartę W Pan L... Polski Komitet Opiekunczy  
uprzejmie komunikuje, że na terenie Delegatury w Pruszkowie  
pow. Warszawskiego osoby poszukiwane przez W. Pan Lg.....

*iny, Stefan Kowalski i Soti. Skibiński*  
nie zostały zarejestrowane. Sietmiński Janusz był 2-4/11/44  
i Szpitalu Pow. w Pruszkowie, potem w Piasdowie ul.  
Kierownik  
*Michnowskiego 8.*

*Adrian*

Adres na kartach pocztowych - odbiorca

1. An Frau Michalina Siemińska /8/ Freigurg Schlesien  
A.E.G, Röhrenfabrik Striegauerstr.17

2. A. Szotowa Warthenen O/S H. Goringstr.61

Nadawca I: K. Fiutowska Piastów 7<sup>a</sup> iiber Pruszków - Mochnackiego 8  
Distr. Warschau

Nadawca II: R.G.O. Polnisches Hilfskmittee. Polski Komitet Opiekuń-  
czy Sochaczew - Błonie Delegatur- Milanówek- Delegatura

Nadawca III: Waffen -SS ..... Konz. Lag. Sachtenhaufen Der  
Lagerkommandant I. A II/We Oranienburg

Ad. karta pocztowa nr. 1.

Pruszków, dnia 1/XI 1944

treść: R.G.O. Polski Komitet Opiekuńczy w Pruszkowie

W odpowiedzi na kartę W Pani Polski Komitet Opiekuńczy uprzej-  
mie komunikuje, że na terenie Delegatury w Pruszkowie pow. War-  
szawskiego osoby poszukiwane przez W. Panią Jerzy, Stefan  
Siemiński i Zofia Stępień nie zostały zarejestrowane. Siemiński  
Janusz był 2-4/VIII 44 w szpitalu Pow. w Pruszkowie potem w  
Piastowie, ul. Mochnackiego 8.

Kierownik  
/podpis nieczytelny/

pieczęć:  
Miejski Komitet Samopomocy  
Społecznej w Pruszkowie

Ad. kartka pocztowa nr. 2

11/XI 44 r.

Uprzejmie zawiadamiam, że z osób poszukiwanych przez Sz.P. jest  
u nas zarejestrowany tylko Siemiński Janusz z ul. Franciszkańskiej 11.  
ozostałych nie ma .

Milanówek 25.X.44 r. /podpis nieczytelny/

Ad. karta pocztowa nr. 3

15/XI.44 r.

treść: Szanowana Pani! Janusza zabrałam do siebie do domu z Malich  
/stacja kolejki EKD/ w połowie sierpnia, potem przyszedł jeszcze  
jego znajomy z ostatnich dni imieniem Tadeusz. Znaleźli pracę  
w sąsiednim folwarku, lecz chcieli koniecznie udać się na poszu-  
kiwanie rodzin. Janusz ogromnie się martwił o swoje rodzeństwo.  
Widocznie jednak w drodze natrafił na jakiś patrol, gdyż ktoś  
obcy przyniósł mi kartkę, że są w obozie w Pruszkowie.

Ponieważ byli młodzi i zdrowi, więc według mnie zostali wysłani do Rzeszy na roboty. Żadnej jednak wiadomości już później od niego nie dostawałam. Jest mi niezmiernie przykro, że mogę Pani służyć tylko taką informacją, ale uważam, że Matka musi wiedzieć wszystko.  
Łączę uścisk dłoni K. Fiutowska.

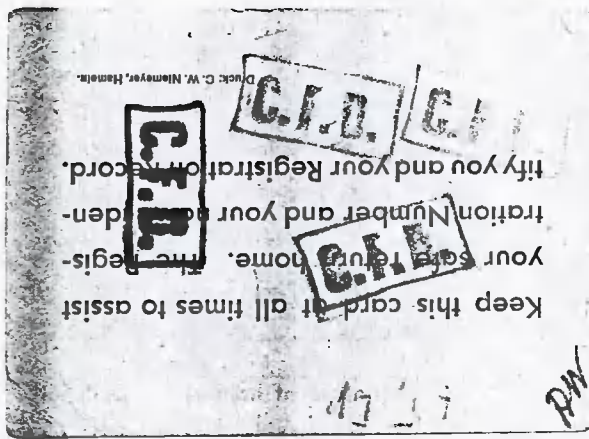
Ad. karta pocztowa nr. 1

- dopisek: Gdyby Pani adres się zmienił proszę mnie donieść, bo może jednak Janusz się odezwie.

Piastów 10/XII.44

- treść : Szanowna Pani! Jeśli chodzi o samopoczucie Janusza to raczej w chwili gdy się zdecydował na odejście, było dobre. Przedtem, a był już w pierwszej połowie sierpnia, okropnie się martwił o swoje młodsze rodzeństwo, co zresztą zupełnie zrozumiałe, gdyż całą noc patrzyliśmy w stronę Warszawy. Mówił zawsze, że teraz dopiero umiał by słuchać Matki. Wiem, że dostał tu drugą zmianę bielizny i coś ciepłego nie wiem jednak czy sweter, czy kurtkę, kiedy przyszli się pożegnać. W ich pytałam czy mają ciepłe rzeczy, na co odpowiedzieli twierdząco. Po otrzymaniu od niego kartki z Pruszkowa, a miałam dwie, nic przecież nie mogłam pomóc, nawet przesłać trochę produktów, bo przecież trzeba było wiedzieć kt. barak i dopiero można było przesłać paczkę. Liczyłam, że może napiszę do mnie z obozu pracy, ale On pewnie ma żal do mnie i milczy, choć ja jestem zupełnie bez winy w stosunku do niego, bo i mój syn choć ma amputowaną rękę też wyjechał. Łączę serdeczny uścisk dłoni i zapewniam, że nic zrobić nie mogłam.

K. Fiutowska



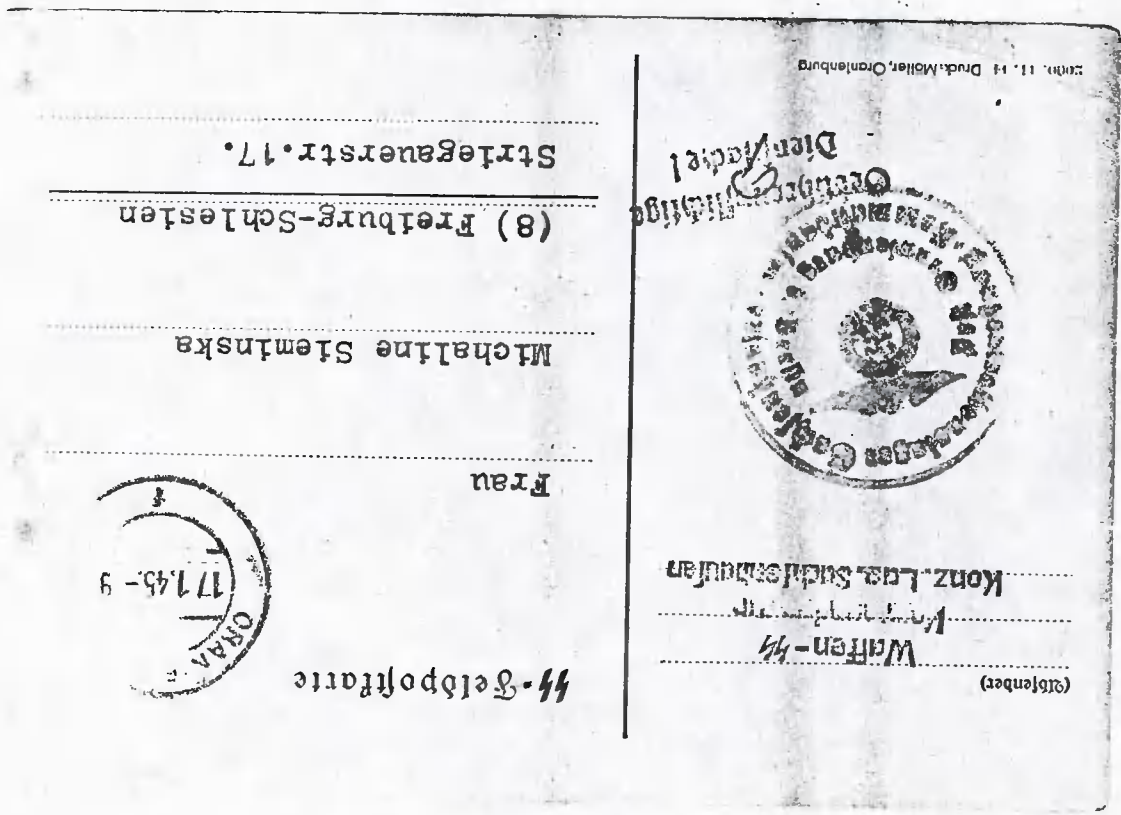
Waffen-SS  
Kampfbefehl Nr. 1  
Kanz. Lus. Sachsenhausen

(2) Oranienburg, 16.1.45.

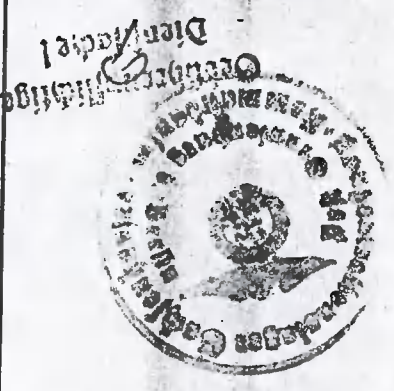
II/We.

Auf Ihre Nachfrage nach Ihrem Sohn wird mitgeteilt, dass dieser im hiesigen Lager nicht ermittelt wurde.

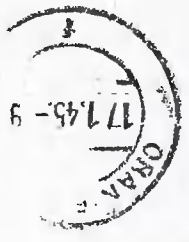
Der Lagerkommandant  
I.A.



2000, 11, 14 Druck-Möller, Oronienburg



Watten-44  
Kanz. Leas. Süddeutsches  
(Selbstaffäre)



44-Pfennig  
Selbstaffäre

Striegauerstr. 17.  
(8) Freiburg-Schlesien  
Micheline Stieminska

Frau

ALLIED EXPEDITIONARY FORCE  
D.P. INDEX CARD

Polka Polka  
Hameln 433

1. (Registration number) 55
2. (Family name) (Other given names) Stieminska Michalina
3. (Signature of holder) M Stieminska D.P. 1

Arbeitskarte für polnische Arbeitskräfte  
 aus dem Generalgouvernement  
 und Bescheinigung über eingezahlte Lohnersparnisse

linker Zeigefinger



Raum für Fingerabdruck



rechter Zeigefinger

*Sieminska Michalina*  
 (Unterschrift, des Ausländers)



74 mm

CCGO. 6. 44. - B/0544

Warszawa, dn. 28/XI 1945 r.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ  
 BIURO INFORMACYJNE  
 Warszawa, Piusa XI Nr 24

ZASWIADCZENIE № 8934

Zaswiadcza się, że na podstawie zeznań, przedłożonych dowodów  
Sieminska Michalina urodz. dn. 22/VII 1903 r.  
 w Dęblin - Sarnia (miejsce i nazwisko) jest stale zamieszkała  
 w lin (miejscowość) ul. Wł. poleca Nr domu 3  
 powiat ..... województwo ..... został zare-  
 jestrowany w Polskim Czerwonym Krzyżu, jako powracający z obozu jeńców,  
 obozu koncentracyjnego, z przymusowych robót z Niemiec w Gameln



*Kozłowski*

podpis

Niepotrzebno skrócić.

Lp.: 2.

VII.

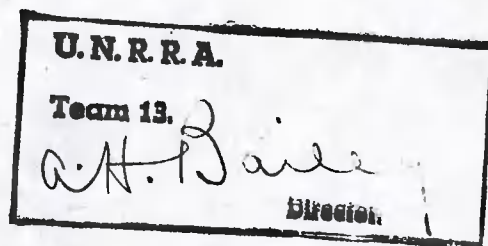
Legitymacja:

p. Siemińska Michałisa  
jest nauczycielką w Szkole  
Powszechnej loco.

Legitimation:

Mrs. Siemińska Michałisa  
is the school-mistress in the Polish  
School loco.

Hameln 23. July 1945.





Hameln ..... *S. G.* ..... 1945.

Per mission.

Permission has granted to *Sieminska* to go to *Amberg* in order to *visit* family.

Feeding facilities to be granted by British *military* man civilian authorities.

This permission expires on the *S. G. 1945*

Polish text.

Udziela sie zezwolenie na wyzej wymienionemu, *Sieminska* do podanej miejscowosci w sprawie odszukania rodziny.

Pozadany jest *zapewnienie* wymienionemu wyzywienie *z* skowe władze angielskie i *niemieckie* cywilne niemieckie.

German text.

Erlaubnis wurde hiermit erteilt dem oben Genannten *Sieminska* dem angegebenen Ort zu *reisen*, zwecks Ermittlung seiner *Verwandten*.

Verpflegung hat entweder durch Englische *Militär* oder Deutsche Zivilbehörden zu erfolgen.



*M. J. ...*  
Major ...  
The Commandant

Rzeczpospolita Polska  
Ministerstwo Administracji  
Państwowego Urzędu Repatriacyjnego

Wzór Nr. 4  
(wydaje się kobietom, dzieciom  
i mężczyznom powyżej lat 50)

Punkt Przyjęcia  
*Działkowice*

**Przepustka** Nr. 309211

Wydana ob. *Gieminiska Michalina*  
(nazwisko, imię, imię ojc)

*23-7-1903 Działkowa Górnica*  
(data i miejsce urodzenia)

przybywającemu (ej) z terytorium *Bawaria*

o *Gieminiska Michalina* przeszedł przez Punkt Odbiorczy.

*Działkowice* dnia *14 września* 1945 r.

udaje się do swojego miejsca zamieszkania w *Warszawa*

ul. *Frascatińska 2/11*  
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia *5-5-45* wyżej  
wymieniony(a) ma pierwszeństwo i prawo jednorazowego bezpłatnego prze-  
jazdu wszelkimi środkami lokomocji do *Warszawa*

Władze Państwowe i samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej  
idącej pomocy organizacyjnej niniejszego.



M. P.

Kierownik Punktu Odbiorczego

Wydano dnia *14 wrześ* 45 r. w *Działkowice*

ważne do dnia *1 października 45*

Z. H. P.  
Komenda Chorągwi  
Mazowieckiej Harcererek  
Warszawa, Daszyńskiego 17

L. dz. 1147/48

Warszawa, dnia 14.V. 1948 r.

Z a ś w i a d c z e n i e

Komenda Chorągwi Mazowieckiej Harcererek zaświadcza, że  
Drużna harcistrzyni SIEMIŃSKA MICHALINA, zam. w Warszawie przy  
ulicy Słowackiego Nr. 24-26, jest czynnym członkiem Związku  
Harcerstwa Polskiego.



Komendantka Chorągwi  
Mazowieckiej Harcererek

*Maria Gajewska*  
( Maria Gajewska hm.)

Z. H. P.  
CHORĄGIEW MAZOWIECKA  
Warszawa, ul. Wiejska Nr. 17

L. dz. Os. 1759/49

W-wa, dn. 4. VII. 49 r.

Z a ś w i a d c z e n i e

Komenda Chorągwi Mazowieckiej stwierdza, że dh.  
hm. SIEMIŃSKA MICHALINA jest członkiem Komendy Chorągwi i zo-  
stała wyznaczona na opiekunkę rejonu nadmorskiego.-



KIEROWNIK WYDZIAŁU OSOBOWEGO

*Michał*  
Michalski Jerzy phm./

CHORĄGIEW MAZOWIECKA  
Warszawa, ul. Wiejska Nr. 17

L. dz. Os. 1759/49

W-wa, dn. 4. VII. 49 r.

Z a ś w i a d c z e n i e

Komenda Chorągwi Mazowieckiej stwierdza, że dh.  
hm. SIEMINSKA MICHALINA jest członkiem Komendy Chorągwi i zo-  
stała wyznaczona na opiekunkę rejonu nadmorskiego.-



KIEROWNIK WYDZIAŁU OSOBOWEGO

*Michał*  
Michalski Jerzy phm./



KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ  
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION  
240, KING STREET, LONDON, W6 0RF

L. dz. .... - 13699/90.

London - 28.02.1990 r.

Our ref.

ZASWIADCZENIE WERYFIKACYJNE  
/Wyciąg z akt personalnych/

SIEMIŃSKI Janusz, Jerzy - ur. 14.01.1927 r. w Wyszkowie  
Syn - Jerzego i Michaliny n/Bugiem.

Szeregowy z cenzusem  
Pseudonim: "Wolski"  
Przydział: Okręg A.K. Warszawa

Odbył służbę wojskową w szeregach: A.K.

Przebieg służby:

07.1942 - Zaprzysiężony w Warszawie.  
07.1942 - 31.07.1944 - Przydzielony do drużyny harcerskiej B.S.  
w Zgrupowaniu "Szare Szeregi".  
Po przeszkoleniu w Grupach Szturmowych  
brał udział w "Małym Sabotażu".  
01.08.1944 04.10.1944 - Czynny udział w Powstaniu Warszawskim  
na Ochocie. Przydzielony do oddziału  
w Zgrupowaniu "Grzymały".  
Ranny w nogę podczas przebijania się  
z Ochoty pod Pęcicami.  
Przebywa w szpitalu w Pruszkowie.  
Przedostaje się do Zgrupowania Kampinowskie-  
-go. Walczy w Kampinosie w komp. "Mścislawa"  
Ranny pod Jaktorowem. Ujęty przez Niemców  
skierowany do obozu w Szymanowie.  
Ucieka z transportu do Niemce, przechodzi  
do konspiracji.

---

Odnaczenia: Krzyż Walecznych  
Medal Wojska  
Krzyż Armii Krajowej

---

Za zgodność:



GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA A.K.

MINISTERSTWO OBRONY  
NARODOWEJ

Nr Leg. ...36797



**LEGITYMACJA**

upoważniająca do noszenia

**KRZYŻA WALECZNYCH**

MINISTERSTWO OBRONY  
NARODOWEJ

**LEGITYMACJA**

Szer. z cenz. SIEMIŃSKI

ps. "Wolski" Janusz  
AK

(Oddział XXXXXX) jest uprawniony

do noszenia KRZYŻA WALECZNYCH

(z XXXXXXXXX okuciem)

Londyn, dnia 30 grudnia 49  
19.....

Nadanie ogłoszono  
w „Dzienniku Personalnym”

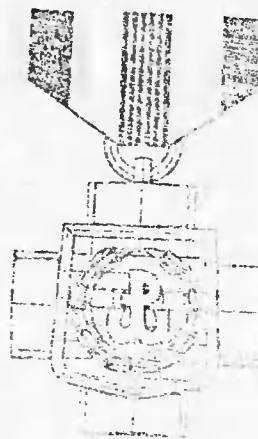
MIN. OBRONY NARODOWEJ

Nr 4 z dnia 11. 9. 19. 49

(Podpis)

**SIEMINSKI**  
 Nazwisko .....  
 Imię Janusz, Jerzy .....  
 Pseudonim "Wolski" .....  
 Przydział Baon "Zoska" .....  
 Cetr. Warszawa .....  
 Odznaczony został  
**KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ**  
 ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku  
 przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-  
 Komorowskiego dla namiętnienia wysiłku  
 żołnierza Polski Podziemnej w latach  
 1939 — 1945. Przewodniczący  
 Podpis: Komisji Krzyża  
 M. Mandziarski "Słwy"  
 Londyn, dnia 7 LUTY 1978

**LEGITYMACJA**  
**KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ**



Nr 18008

**MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ**

**LEGITYMACJA** Nr 22165 .....

Stopień imię, nazwisko ...strz. ....

**SIEMINSKI JANUSZ ps. "WOLSKI"** .....

Oddział AK .....

Odznaczony został  
 po raz 1, 2 i 3

**Medalem Wojska**

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu

Głównego

z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15 sierpień 1948 r.

M. Wałęga, pptk

Klub byłych żołnierzy  
Batalionu "Zośka"  
przy Zarządzie Okręgu  
ZBoWiD w Warszawie

Warszawa, dnia 14 grudnia 1974r.

### O ś w i a d c z e n i e

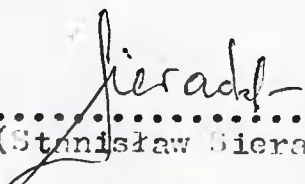
My niżej podpisani:

- 1/ Studniarski Tadeusz  
ul. Łabiszowska 23 m.75 03-204 Warszawa
- 2/ Sieradzki Stanisław  
ul. Krasińskiego 38 m.69 01-779 Warszawa

oświadczamy, że znany nam osobiście kol. S I E M I Ń S K I  
Janusz syn Jerzego, urodzony dnia 14 stycznia 1927 r.  
w Wyszku nad Bugiem był w latach 1942 - 1944 członkiem  
organizacji niepodległościowej "Szare Szeregi", używając  
pseudonimu konspiracyjnego "Wolski". Ostatni jego przydział  
służbowy: Batalion "Zośka", III Kompania "Giewont", III pluton  
"Bogusław".

Kol. Siemiński Janusz wstąpił do "Szarych Szeregów"  
w 1942 roku, gdzie był członkiem "Bojowych Szkół" Dzielnic  
Mokotów w Warszawie a następnie w Żalesiu i Łisiecznie.  
Uczestnik akcji "małego sabotażu" wymierzonych przeciwko pu-  
lantowi. Jego jednostka służbowa została wcielona 1 lipca  
1944 roku do starszego szczebla organizacji "Grupy szturmowe".  
Brał czynny udział w walkach powstania warszawskiego w 1944  
roku. Walczył w Zgrupowaniu ppłk. "Grzymały" na Ochocie.  
W walce pod Świątoborem w dniu 2 sierpnia 1944 r. ranny w nogę,  
dostał się do szpitala w Truskowie.

Oświadczenie wydajemy kol. Siemińskiemu, celem  
okazania odnośnym władzom.

  
.....  
(Stanisław Sieradzki)

  
.....  
(Tadeusz Studniarski)

Atwierdza się autentyczność  
podpisów wyżej wymienionych  
KŁUB BYŁYCH ŻOŁNIERZY  
BATALIONU "ZOŚKA"  
PRZY ZARZĄDZIE OKRĘGU  
ZBOWiD W WARSZAWIE  
ul. Zielna Nr 49  
0-108 Warszawa



Józef Krzyczkowski  
ul. Słowackiego 27/33 m. 112  
01-592 Warszawa

Warszawa, dn. 21/XI.1974 r.

Z a ś w i a d c z e n i e

Niniejszym stwierdzam, że Ob. Janusz Siemiński ps. "Wolski" urodz. 14 stycznia 1927 r., w Wyszkanie n/Bugiem, syn Jerzego i Michaliny z domu Stępień, zam. w Warszawie, Al. Wojska Polskiego 56 m. 12 - po rozbiciu oddziału w którym walczył w Powstaniu przedarł się w dniu 27 sierpnia 1944 r. do Puszczy Kampinoskiej i wcielony został do Batalionu mjr Korwina, 4 komp. kpt. "Mściława" Grupy Kampinos AK, potem przeniesiony został do komp. por. "Jurka" tejże Grupy. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim do 29 września 1944 r. Brał udział w walkach: pod Pocięchą, Janówkiem, Jaktorowem i innych. W bitwie pod Jaktorowem w dn. 29 września 1944 r. został ranny w rękę i dostał się do niewoli niemieckiej. em  
Był dobrym, odważnym i zdyscyplinowanym żołnierzem w boju.-

*Józef Krzyczkowski*  
Józef Krzyczkowski ppłk/rez.  
"Szymon" b. d-ca Grupy Kampinos AK

Własnoręczność podpisu ppłka rez. Józefa  
Krzyczkowskiego stwierdza się.-  
Warszawa, dnia 22/XI.1974 r.

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW  
WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA  
ODDZIAŁ WARSZAWA-ZD KOLEJ  
KOŁO III 6  
Warszawa, ul. Wesoła 83

*Siemiński*



Uprawnia do korzystania ze zniżek w opłatach za przejazdy kolejami państwowymi i PKS według ulg taryfowych dla inwalidów wojennych i wojsko-

*[Handwritten signature]*  
Podpis posiadacza książki

Książka ważna jest do dnia 31.12.1976

Ważność książki przedłużono do końca:

19. 7. r.	19. r.	19. r.	19. r.
19. r.	19. r.	19. r.	19. r.

**ZKŁAD WYDAWNIWI I POLSKICH**  
DODZIA • WARSZAWA  
**WYDAWIENIA SPOŁ. GOSPODARSTWA KRAJOWE**  
WARSZAWA, KRZYWICKA 373  
ul. Bonifraterska (Poczta podlega instalacji)

**A GRUPY**  
rozwiązany  
do bezskładu  
Przejazd wraz  
z przewodnikiem

**KSIĄŻKA Nr 5548**

**INWALIDA WOJENNY-WOJSKOWY**

Nazwisko *Siemiński*

Imię *Janusz*

Data urodzenia *14.1.1927*

*[Signature]* dn. *1.12. 1975* r.  
**OKRĘGOWY REPERATU**  
*[Signature]*  
Podpis wyprawczy

**ZASWIADCZENIE**

0018445/49206

**Siemiński**

(Nazwisko)

**Janusz Jerzy Edward**

(Imiona)

14.01.1927r. Wyszaków 7/bugiem

(Data i miejsce urodzenia)



Uprawnia do  
przejazdów  
PKP i PKS wg  
50% zniżki

.....  
podpis posiadacza zaświadczenia



2

**URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW  
I OSÓB REPRESJONOWANYCH**

ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ  
I ODDZIAŁ W WARSZAWIE  
Inspektorska 8  
00-950 Warszawa  
tel. 27-25-43

Niniejsze zaświadczenie uprawnia do ulg i świadczeń określonych w ustawie z dnia 24 stycznia 1991r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. nr 17 poz 75).

Za zgodność z oryginałem

**INSPEKTOR**

Janusz Siemiński



**DYREKTOR**

Zespołu Prawa Organizacyjnego

10.04.1992r.  
Data

mgr Witold Brauk

**RODZAJE I OKRESY  
ZALICZANE DO UPRAWNIEN  
USTAWOWYCH**

Adres zamieszkania

Al. Wojska Polskiego 56m.12

01-554 Warszawa

Okresy		Wyszczególnienie	Przepis ustawy
od	do		
07 1942	07 1944	Służba w Szarych Szeregach	Art. 1
08 1944	09 1944	Udział w Powstaniu Warszawskim	Art. 1
01 1945	02 1954	Pobyt w więzieniu w ZSRR	Art. 3

Za zgodność z oryginałem

**INSPEKTOR**

Janusz Siemiński

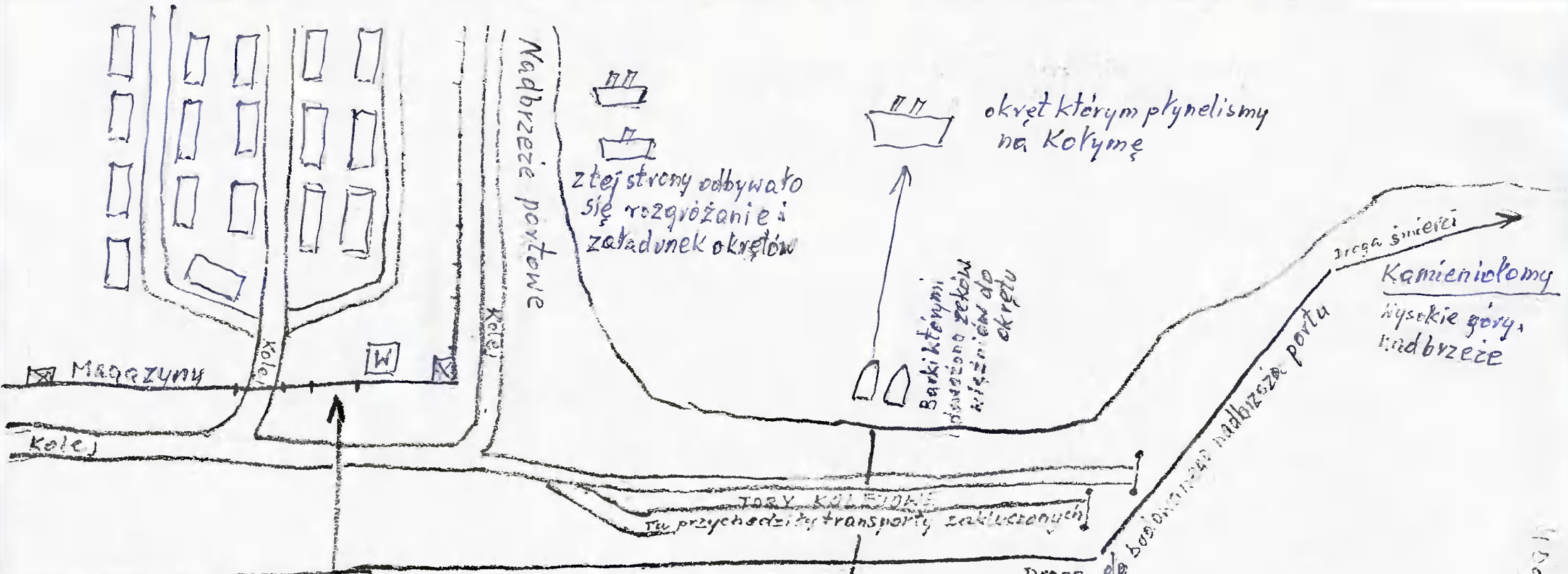
ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ  
I ODDZIAŁ W WARSZAWIE  
Inspektorska 8  
00-950 Warszawa  
tel. 27-25-43

Łącznie: lat 11 miesięcy 5



**DYREKTOR**

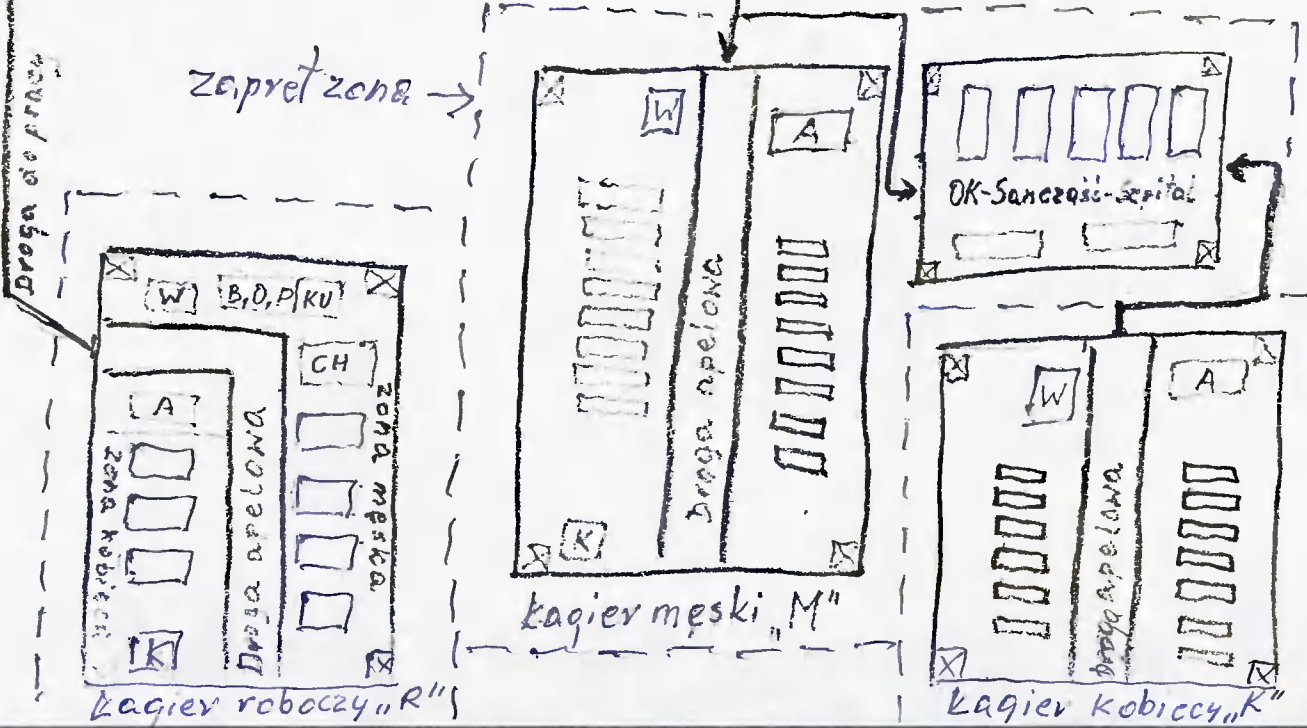
mgr Witold Brauk



← Droga do wolnego pasietka

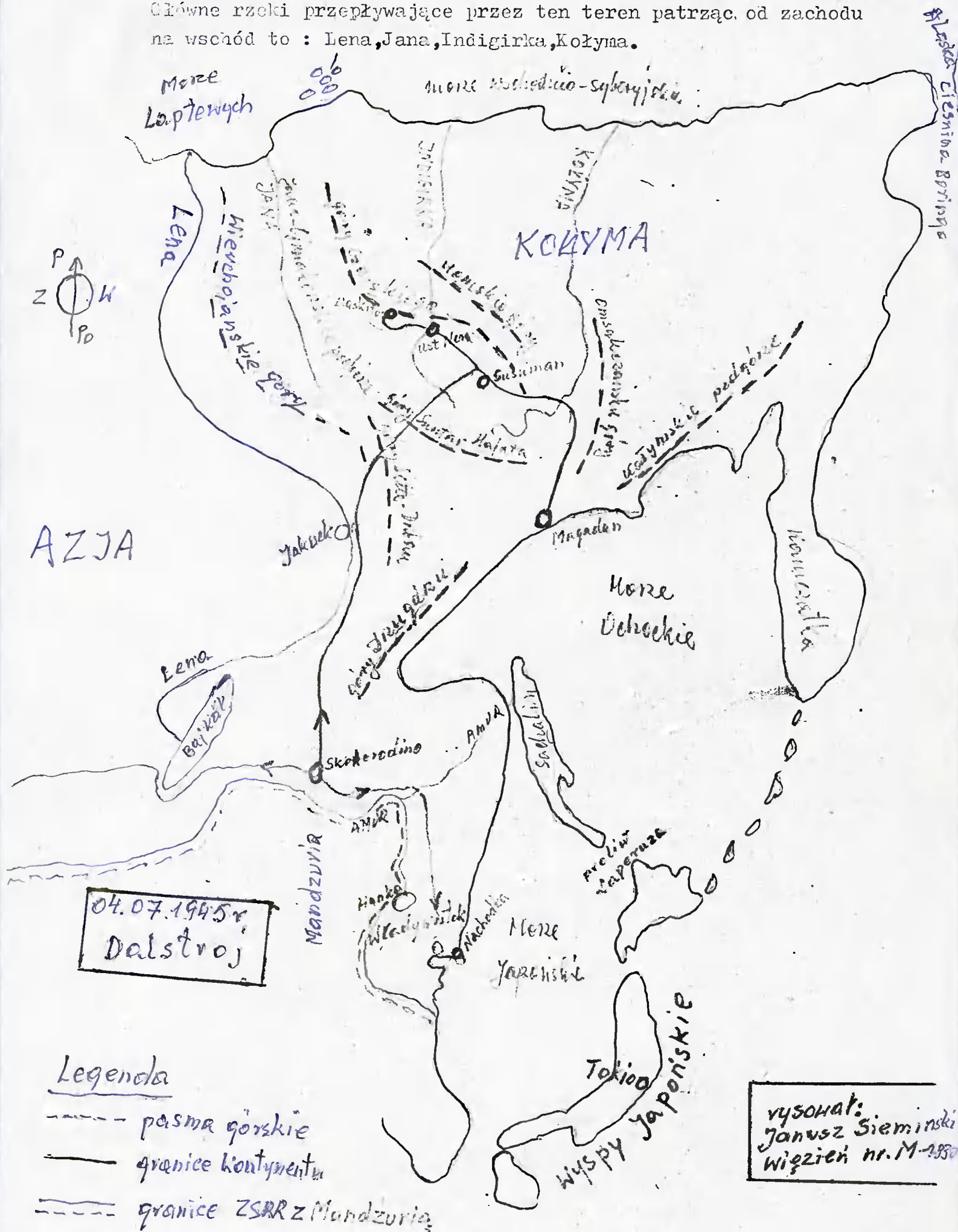
**NACHODKA**  
w lipcu 1945r.

rys. Janusz Sieminski  
więzień nr. M-1-930

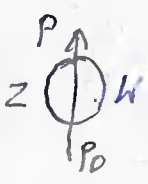


- KU - kuchnia
- CH - chlebobreska i piekarnia
- A - administracja, naradczyk
- K - karczemnik, dozorca
- P - poliklinika, lekarz
- O - dozwalnia, parownia na ubrania
- B - Bara
- OK - zarządcze komando
- ☒ - wyżki
- ☒ - wartownia, nocna

Główne rzeki przepływające przez ten teren patrząc od zachodu na wschód to : Lena, Jana, Indigirka, Kołyma.



Alaska Ciężkie Bory



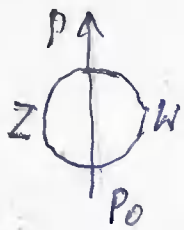
04.07.1945 r.  
Dalstroj

Legenda

- pasma górskie
- granice kontynentu
- ==== granice ZSRR z Mandzurią

wysoch.:  
Janusz Sieminski  
Więzień nr. M-1880

Maqadan - Susuman - Ust Nera - Alaskitow w 1600 km



130 140 150 160  
 Północny  
 Lodołowy Ocean  
 Morze Artyczne

południowy: 145° ÷ 155° północnym  
 i 60° ÷ 70° równoleżnikiem

- 17. Przyst. Pokryszkin
- 18. - " - Terachciach
- 19. - " - Pobieda

AZJA

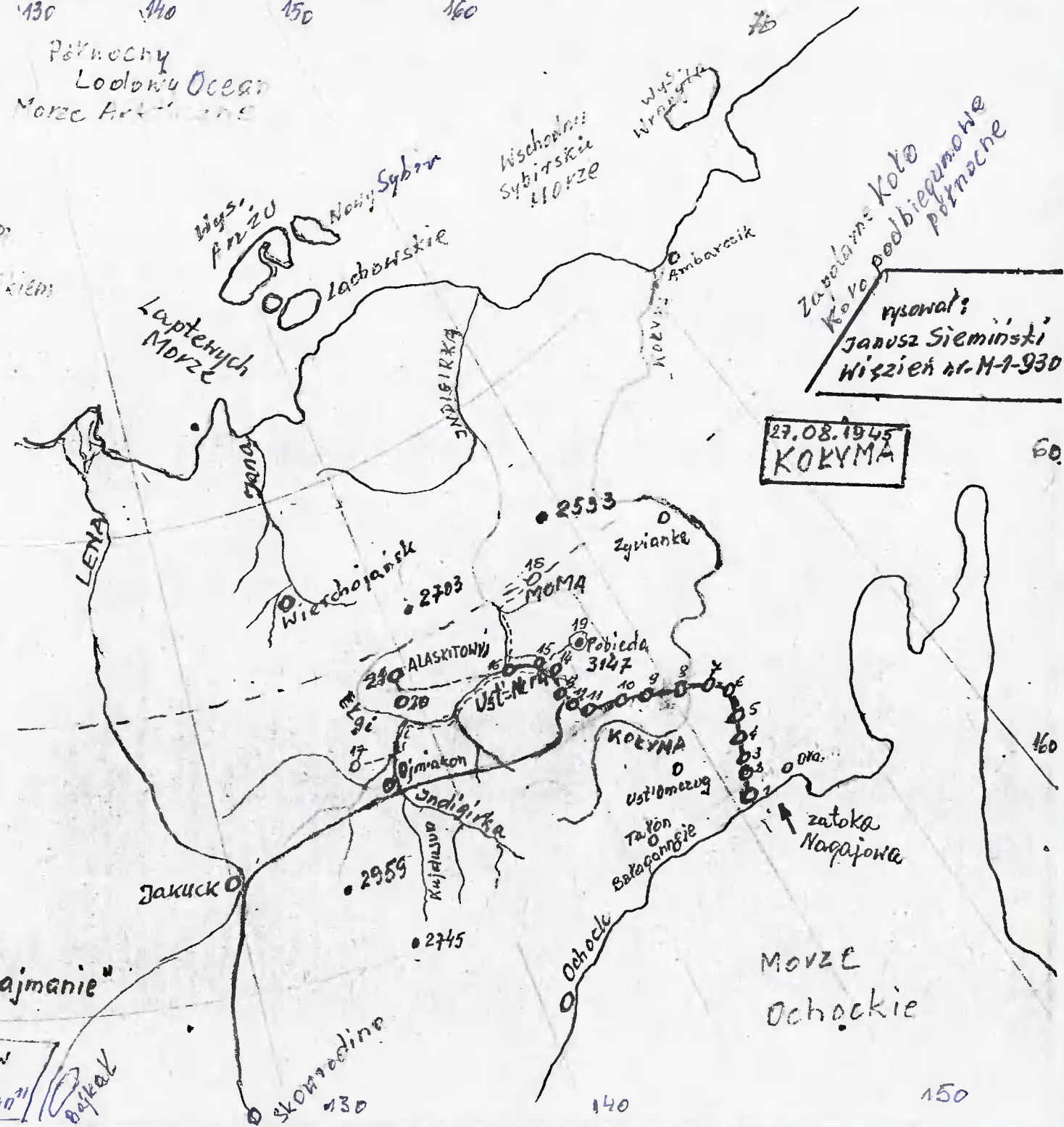
Miasteczka, Osiedla, Przystki, Kopalnie

- 10 Magadan
- 20 Cielokolny
- 30 Patatka
- 40 Atka
- 50 Miakig
- 60 Orotukan
- 70 Spornoje
- 80 Debin
- 90 Jaqodnoje - zmarł na moich kolanach
- 100 Susuman
- 110 Nckojkan
- 120 Mjaundża
- 130 Arkagała
- 140 Dielankir
- 150 Artek

Rozaniec  
 Drogi  
 Krzyżowej

- 160 Nit-Nerh
- 170 Etajnsz
- 180 Alaskitowy

tu spadek w  
 przepaść  
 "Dajman"



Zabojne Kolo  
 Kolo podbiegunowe  
 polnocne  
 rysował:  
 Janusz Siemiński  
 Warszawa nr. M-1-930

27.08.1945  
 KORYMA

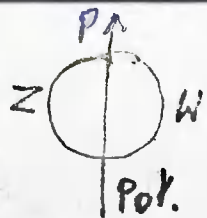
60

160

150

140

130



Podgórze Jono-Ojmiańskie

140°

145°

Prusk • 2533

← kółka podbiegunowe

Prusk • 2533

Lotnisko

MOM

• 270  
Spev. Kogier

górnny □ nr. 7  
dolny □  
Aliaskitony

progi/wodospadał/  
Busika

o Predporożny

• Pobieca  
3147

Prusk  
□ Pobieca

ELGI

o Elgincki

Jndygiwka

Ust-Nera

← morgi

CZERSKIEGO

Wysoka:  
Janusz Sieminski  
więzień nr. M-1-930

24.09.1945  
Peresyrka  
Ust-Nera

• 538

• 4050

o Artyk

o DjeljanKir

Arka gata

o droga do Magadanu

o Mjandza

droga do Zakucka

1. Kogier górnny
2. Kogier-peresyrka
3. Prystani
4. Pasiek wolnych

górnny Suńciń Hajata

Lotnisko  
Prusk  
Pokryszkin nr. 12

Ojmiakon

Mus-Kaja  
• 2955

Kujdusor

• 2745  
Ojwa

tu odmorzi: uszy, nos, ręce, nogi  
włoszy korn  
na: stopy, palce.

Lotnisko

pietarnia

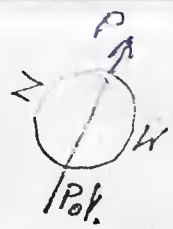
Kivente

Indygiarka

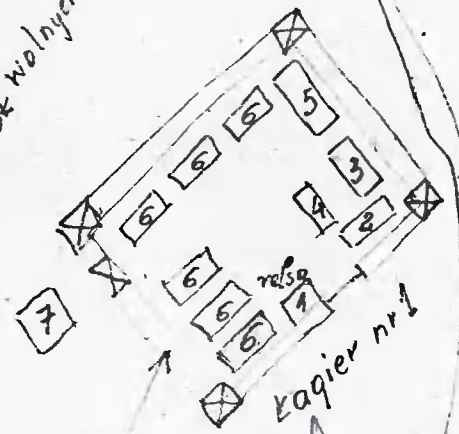
Oimjakon

Kujdusun

1. Wachta
2. chleborezka
3. Kuchnia i magazynek
4. san'ezasi, naradczyk
5. OK. ozdrowicielne komanolo
6. Baraki
7. Karcer



Pasiołek wolnych



na ten prysk przyjeżdżał  
naczelnik uprzątnienia na  
inspekcję i strzelak do  
nieznios którzy mu się  
nie spodobali.

rysował:  
Janusz Sieminski  
Węzień nr. M-1-930

Kopalnia

odległość  
n 20 km

myśki

Mys-Kajs.  
1939  
Góry Sumer  
Kajata

Wentek m.2  
wbudowie  
tu b. duże zamieszkanie  
w 1945/46r

Druzca  
2745

08.09.45 - 24.12.1946.

PRYSK  
POKRYSZKIN

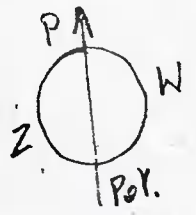


rysował:  
Janusz Sieminski  
Nizien nr. M-1-930

Momski Hrebiet • 2533

1. nochta
2. Chlebowezka, Bapożna
3. kuchnia sypkowska
4. dyżurny lekarz
5. szpital
6. baraki mieszkalne
7. karcer - bór
- ☒ wyżki-ambony

○ Xonuu



• 1880

† grób na szczycie góry -  
1300 profesora  
ekspedycji która  
badala te tereny.

odległość ~ 7 km

teren  
złotodajny

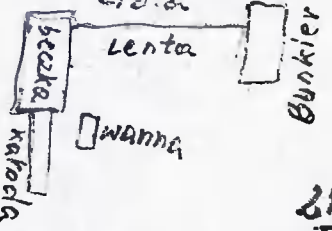
odwady skał i kamieni  
płajon / mycia ręce  
odwady skał i kamieni

tu samorodny  
odcinały sobie palce  
przy wytyczeniu i spuszczeniu  
dławi odla obozu i przyska.

odkrywkowy

teren  
złotodajny  
odkrywkowy

zainstalowany w 1948  
przybór do mycia  
złota

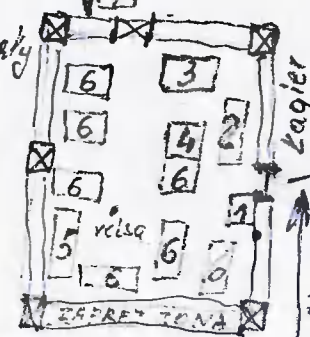


źródło ciepłej  
wody

odległość ~ 15 km

wypalanie  
węgiel  
300 ÷ 500

miejsce gdzie  
przebrano  
zmarłych  
stad sprzynę  
ciężka  
100m wyżej  
od kagru



zagier

droga do zaboi  
w lokusze

Rzeczka

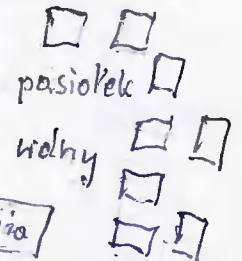
dom Naczelnika  
tagru

21.07.47 ÷ 30.10.49 r.

PRYSK  
TERECHCIACH

praskowiz  
przewidywane  
lotnisko

teren  
magazynów



Konbaza

tu powiesił się Andrzej  
Kaminski

Bania

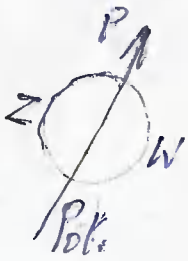
stad pszych odzib  
miedziedza na kradzieże  
MOMA

odległość ~ 20 km

• 100 ÷ 200

• 187

tu  
stara  
jarta pakutów



50 ÷ 200

MTOMA

rysował:  
Janusz Sieminski  
wizjer nr. M-1-930

teren  
zrotodajny

14



MOMSKI  
KREBIOT

2300

1800

XREBIOT  
CZERSKIEGO

Pobieda  
3147

Teren  
zrotodajny

Posiłek wolnych  
Bania

Piekarnia

50 ÷ 100

w prostej linii odległość ~ 100 km

05.03.49 ÷ 25.06.1945 r.

PRVSK  
POBIEJA

TRNOYGIRKA

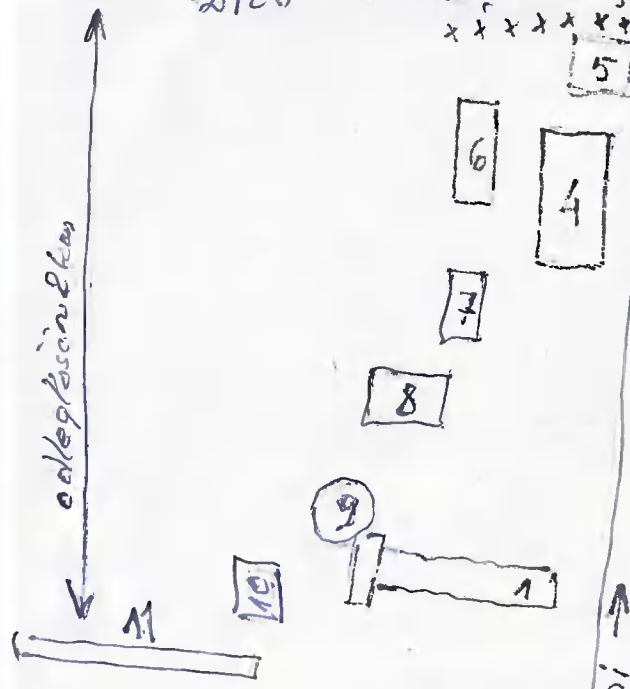
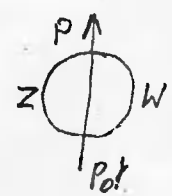
Ust. Nera

• 2558

2703

Przebieg między szczytami gór zamknięta pasmami gór

drogą kończyła się.



1900

1. Sortownia węgla
2. Transformator
3. Ścieżka
4. Miech-lech
5. Magazyny
6. Molotoczna
7. Kuźnia
8. Kompresornia
9. Szyb - głębokie wejście do kopalni
10. Poziome wejście do kopalni
11. Rynna do spuszczenia drzew
12. Budynek księgowości

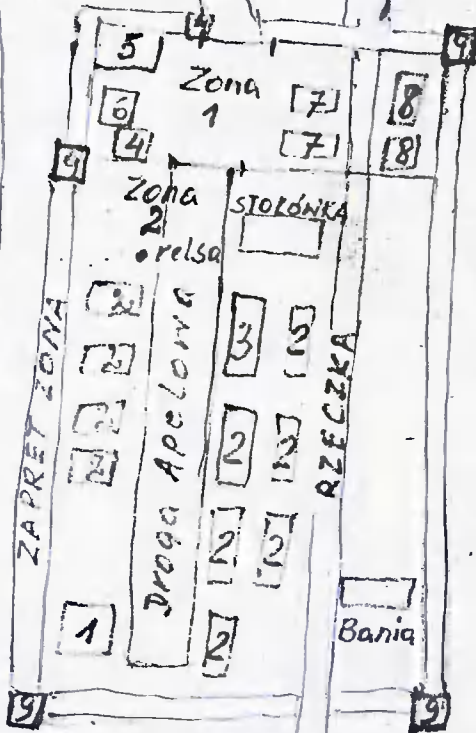
Zapret zona

Droga do kopalni

Wysokie szczyty gór

posiłek wolny  
Koszary

odległość ~ 15 km



Górny Spec. Kagar nr. 7  
ALASKITOW

05.07.49 - 10.04.1953 r.

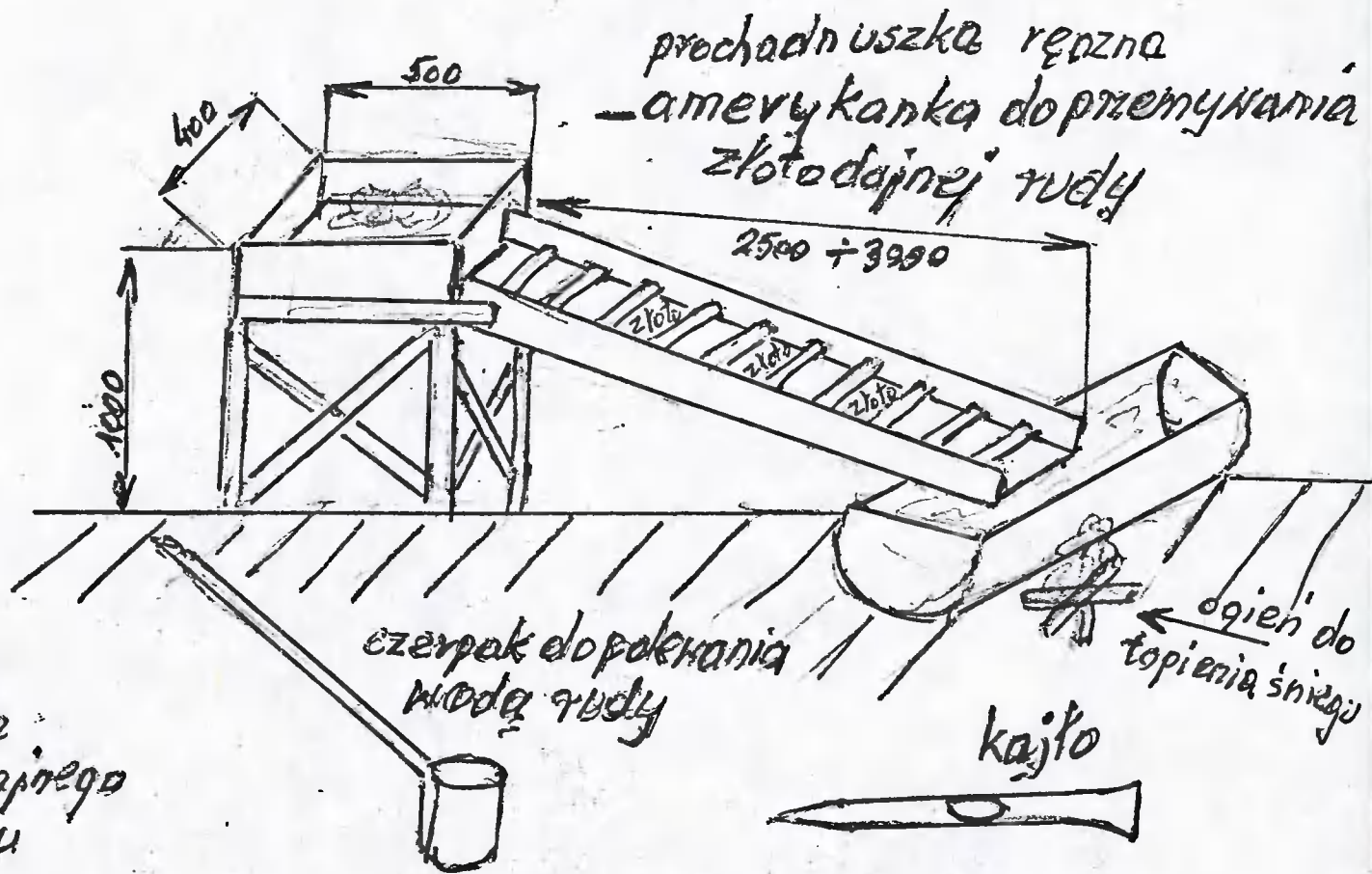
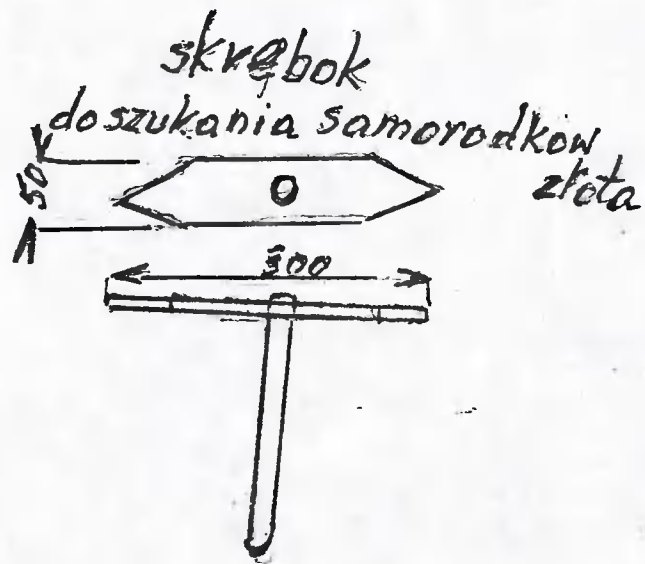
odległość ~ 10 km

Droga do dolnego kagru i dalej do Ust-Nery

Dolny Kagar

1. Karcer-Bór
2. Baraki mieszkalne
3. Sanchość
4. Wachtla
5. Wartownicy
6. Administracja wolnych, kum
7. Sapożna, partnyje, usługi
8. Magazyny
9. Wyżki

rysował:  
Janusz Sieminski  
więzień nr. M-7-930



Ręczne narzędzia do  
przemywania złotodajnej  
rudy

rys. J. Sieminski /M-1-930/

Mechaniczny  
przybor do przemywania  
złotolajnej rudy  
prysk Terechciach

obrotowa  
bezcza  
wielkości  
cystermy

maso-  
pompa  
wodna

transmisyjna  
lenta ze złotolajną  
rudą  
długości 50m  
i więcej

ruchomy  
zsypanie rudy

drewniana  
kaskada-rymna  
12m

złoto  
złoto  
złoto  
samorodki

bunkier

18m

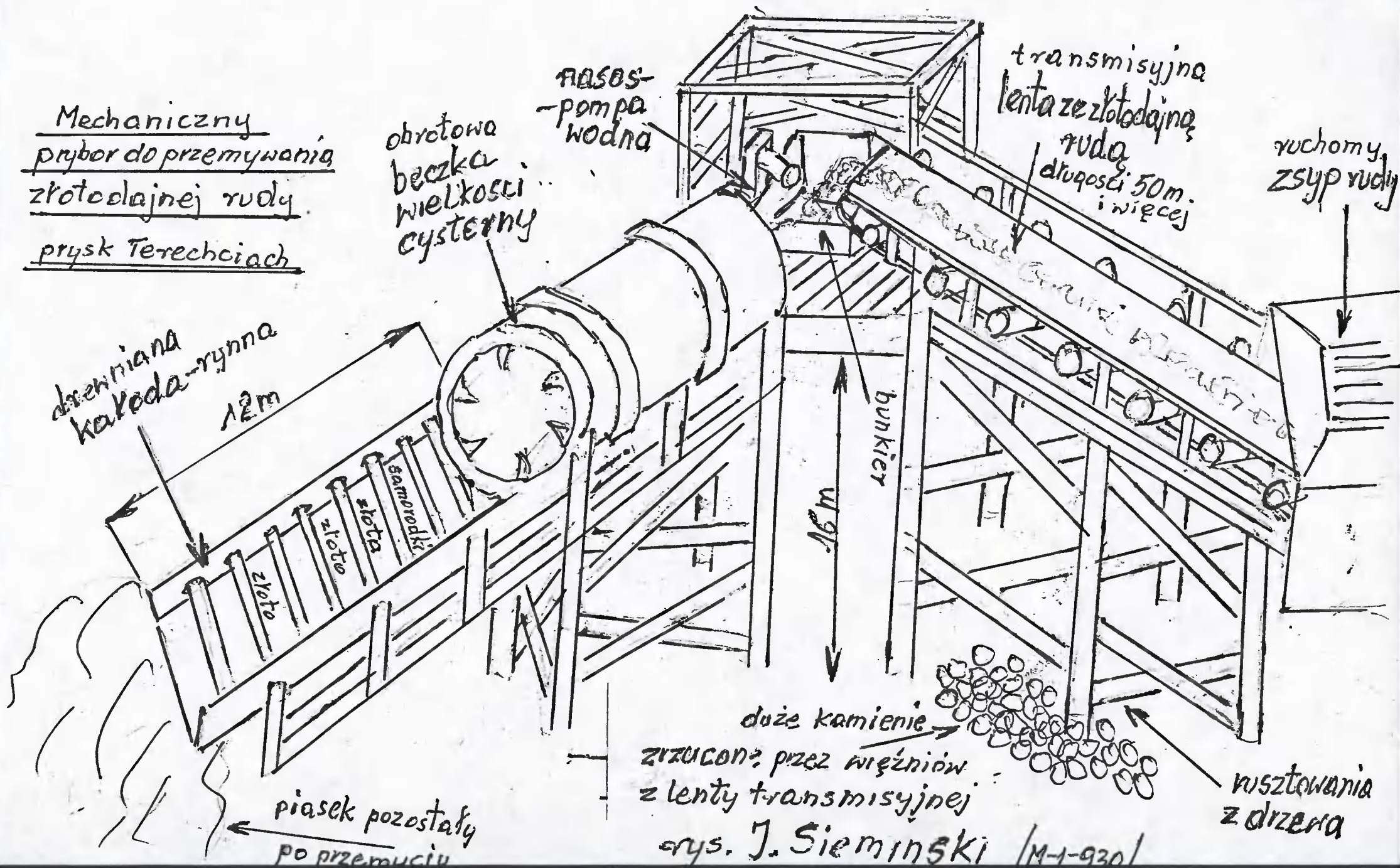
duże kamienie

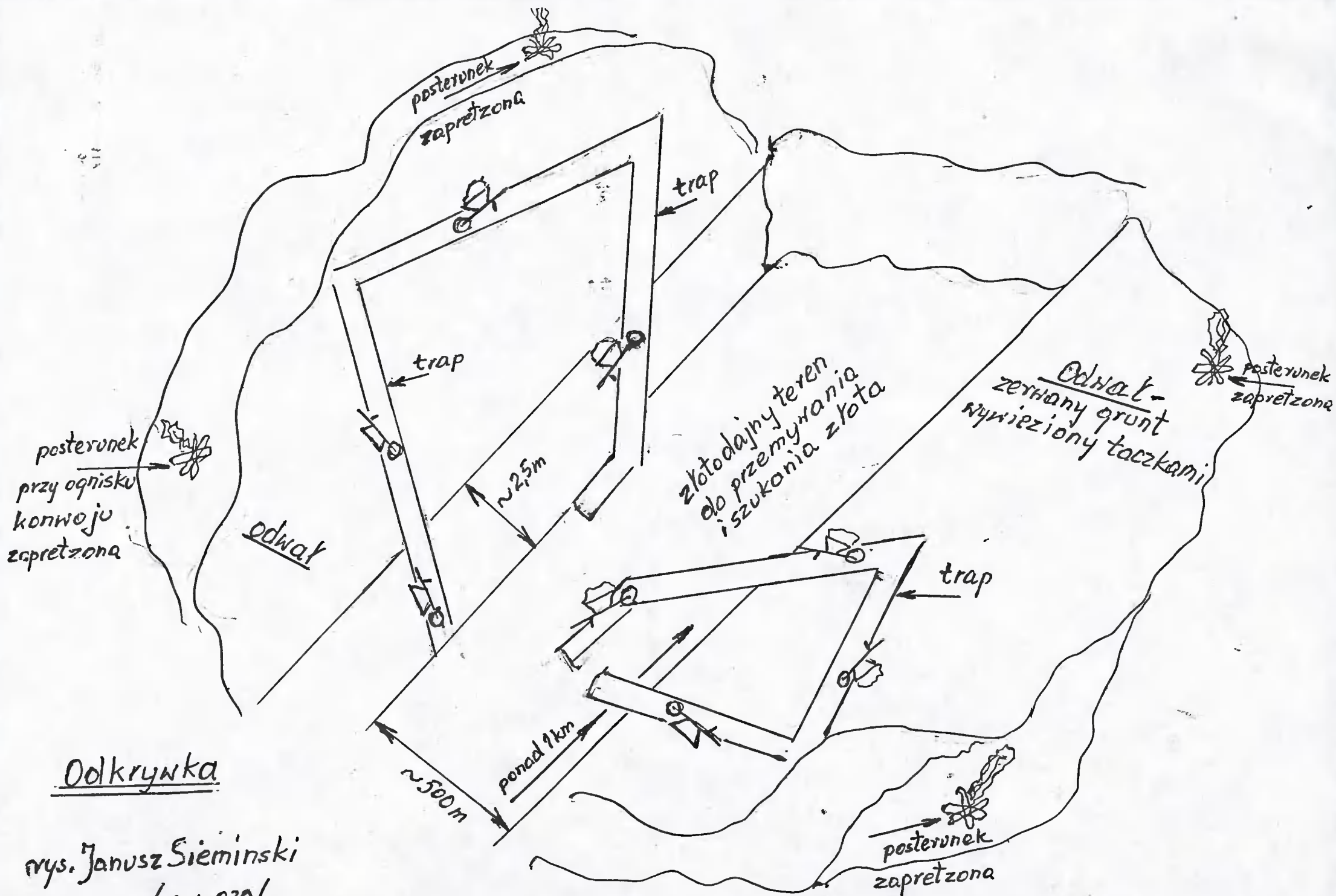
zrzucane przez więźniów  
z lenty transmisyjnej

wisztowania  
z drzewa

piasek pozostały  
po przemyciu

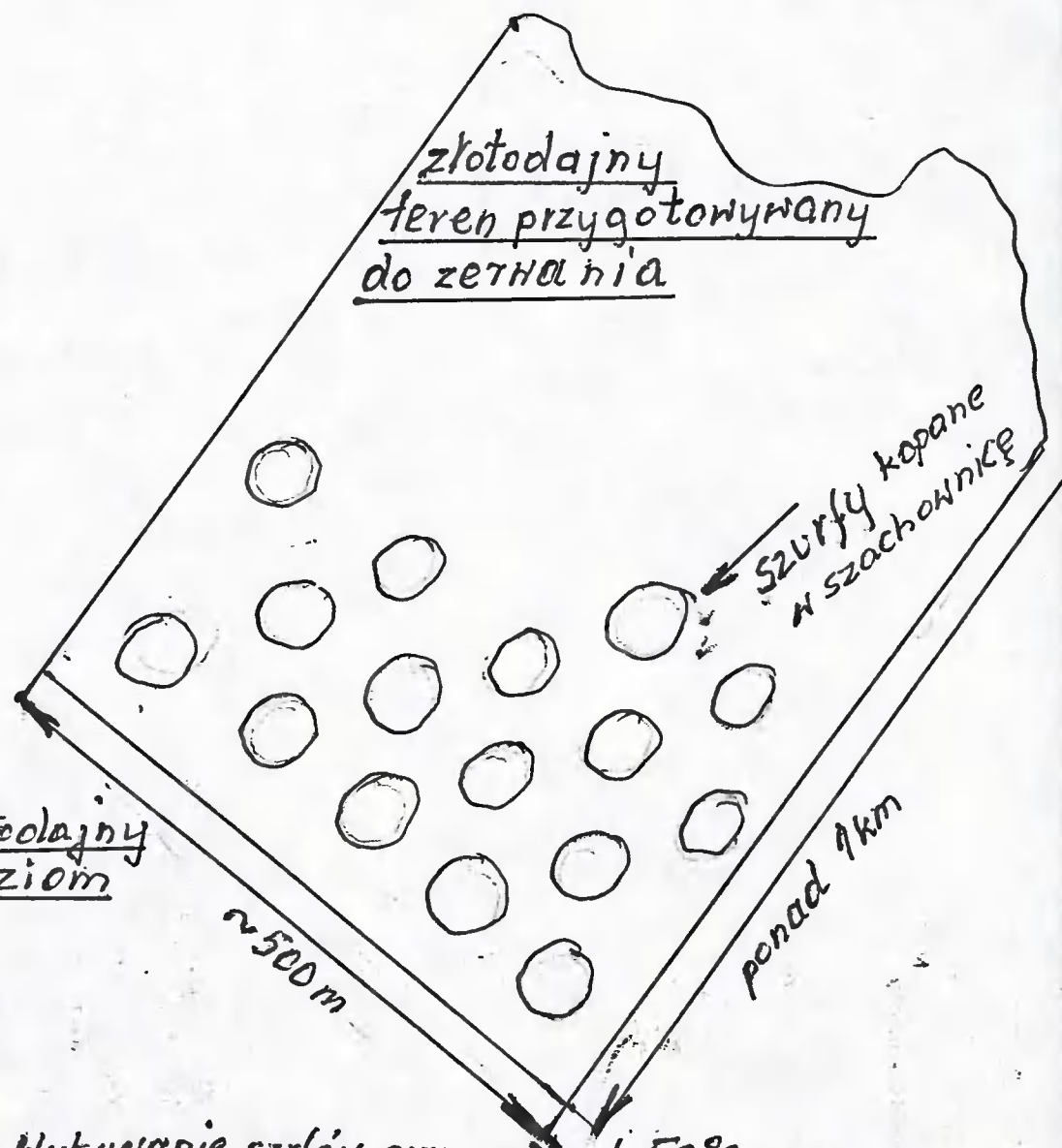
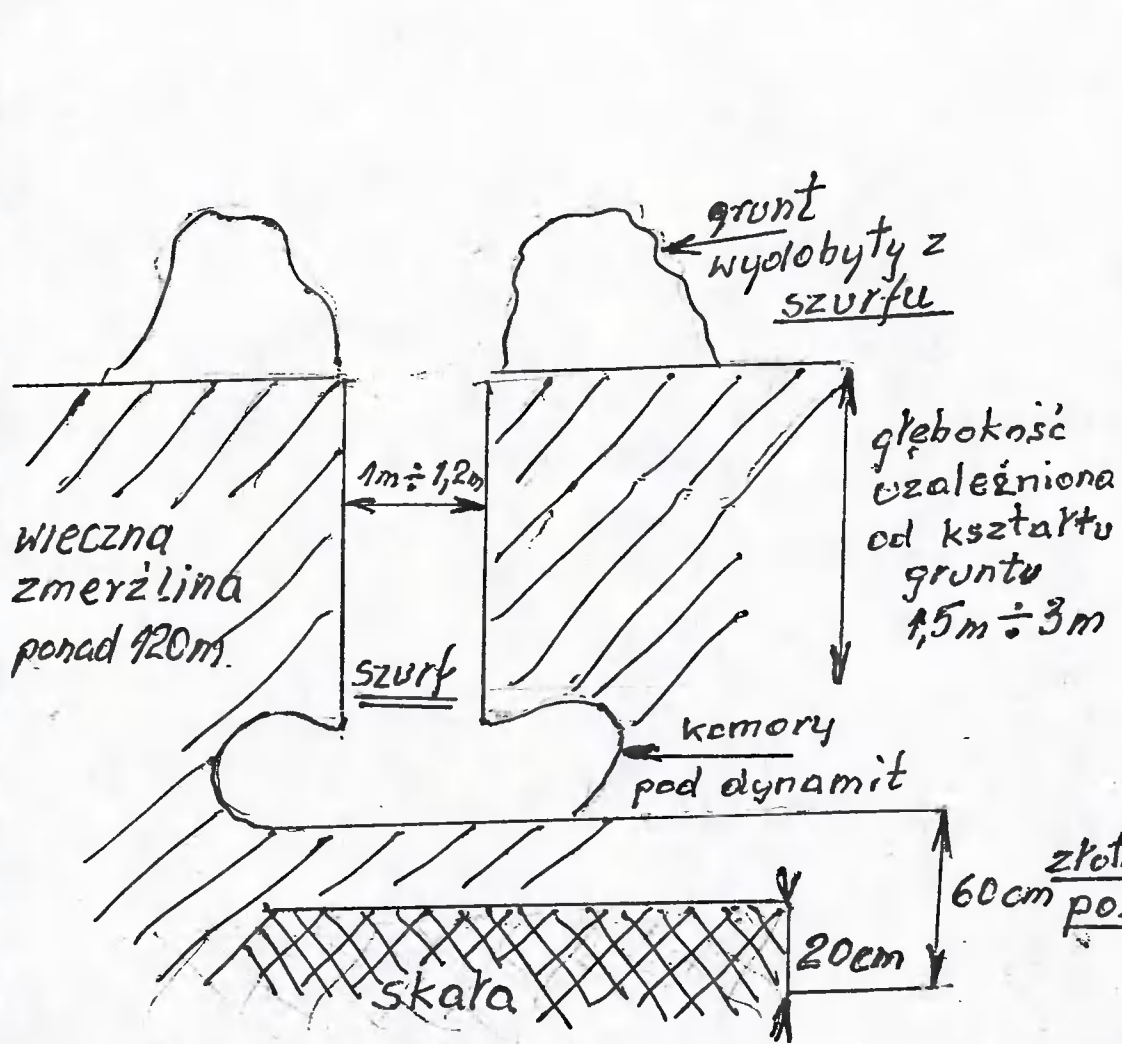
rys. J. Sieminski 1930





Odkrywka

rys. Janusz Sieminski  
/M-1-930/



rys. Janusz Sieminski /M-1-930/

Wykuvanie szurfów przy ponad 50°C mrozu w wiecznej zmarzlinie

КНИЖКА СЧЕТЧИКА

Действительна по 1.05 1950.

ОТДЕЛЕНИЕ ПРОИЗВОДСТВА

Сти чики производство имеет право  
производиться внеочередным обслужива  
нием всеми общественными учреждениями  
явотделенна.

№ 11-13/1950

НАЧ. АРГОТДЕЛА № 7

/без права передачи/

-подполковник *W. Kucelinski*

Książka wykonującego normę-/Książka odlicznika./

Bierżant mgr Janusz Siemiński s. Jerzego-b. żołnierz Bacnu Zośka i Zgrupowania  
Kampinos. Ranny w Powstaniu Warszawskim i na badaniach w gestapo Zyranowski  
18-letni więzień obozów: niemieckich, radzieckich, polskich. Wyrok kara  
śmierci zamieniona na piętnaście lat więzienia na Kołmie pod Biegunem  
północnym. Nr. więźnia /zakluczonego/ M-1-930.

## ЗАЧЕТНАЯ КНИЖКА

Książka w której zmiejszano co kwartał wyrok w związku z wykonaniem  
normy wydobycia złota /Zaczotna książka/.

Действительна только в пределах лагеря



Фамилия Шеленский  
 Имя Януш  
 Отчество Эдвардович  
 Год рождения 1927  
 Бригада, цех Кохомехо  
 Начальник  
 лаготделения Степанов  
 № 11-930

**ПОКАЗАТЕЛИ. 1948 год**  
 производительности труда в процентах,  
 количество отработанных дней, зачтено  
 дней, изменения срока

Месяц в квартал	Процент выполне- ния плана за месяц	Количе- ство от- работан- ных дней за месяц	Зачтено работных дней за квартал	Новый срок исполнения
Июль				
Август				
Сентябрь				
За III кв.				
Нач. лаготделения				
Октябрь				
Ноябрь				
Декабрь				
За IV кв.				

Нач. лаготделения

Więzień nr. M-1-930. Wyrok-15 lat 1945-1960r. %wykonania normy, ilość  
 odpracowanych dni, zmieniony koniec wyroku, -1945r-1959r. Podpis  
 komendanta obozu /lagotdielenja/.

1949 год

Январь				
Февраль				
Март				
За I кв.				

Нач. лаготделения

Апрель				
Май				
Июнь				
За II кв.				

Нач. лаготделения

1949 год

Июль	8			
Август	109	23	12	
Сентябрь	112	28	27	
За III кв.	-	51	33	6.1.50

Нач. лаготделения Степанов

Октябрь	134	25	38	
Ноябрь	117	25	25	
Декабрь	136	28	42	
За IV кв.	-	78	105	28.11.59

Нач. лаготделения Степанов

1950 год

Январь	129	23	35	
Февраль	124	24	36	
Март	171	28	56	
За I кв.		75	127	5.7.59
Нач. лаготделения <i>[Signature]</i>				
Апрель	100	26	7	
Май	100	25	6	
Июнь	100	26	7	
За II кв.			20	21.1.59
лаготделению <i>[Signature]</i>				

1950 год

Июль	26	104	13	
Август	27	153	59	
Сентябрь	27	155	54	
За III кв.			124	28.12.58
Нач. лаготделения <i>[Signature]</i>				
Октябрь	25	156	50	
Ноябрь	25	148	50	
Декабрь	25	136	38	
За IV кв.			138	2.5.58
лаготделению <i>[Signature]</i>				

Więzień nr. M-1-930. Zmieniony koniec wyroku, -1945r.-1958r. i 1945r.-1957r

1951 год

Январь	21	141	12	
Февраль	23	138	12	
Март	27	137	41	
За I кв.			65	27.02.58
Нач. лаготделения <i>[Signature]</i>				
Апрель	26	137	15	
Май	26	141	52	
Июнь	26	137	89	
За II кв.			104	15.11.57
Нач. лаготделения <i>[Signature]</i>				

1951 год

Июль	27	145	41	
Август	24	152	54	
Сентябрь	18	155	36	
За III кв.			131	2.7.57
Нач. лаготделения <i>[Signature]</i>				
Октябрь	24	155	54	
Ноябрь	26	157	53	
Декабрь	24	152	54	
За IV кв.			160	22.01.57
Нач. лаготделения <i>[Signature]</i>				

1952 год

Январь	27	153	54	
Февраль	24	151	48	
Март	18	141	41	
За I кв.			143	29.8.56

Нач. лаготделения

*С. Г. Давыдов*

1952 год

Июль	27	151	54	
Август	27	137	41	
Сентябрь	26	140	39	
За III кв.			134	20.9.56

Нач. лаготделения

*С. Г. Давыдов*

Апрель	27	152	54	
Май	25	151	50	
Июнь	27	43	41	
За II кв.			145	20.2.56

Нач. лаготделения

*С. Г. Давыдов*

Июль	27	15		
Ноябрь	25		40	
Декабрь	27		54	
За IV кв.			54	

Нач. лаготделения

Візеі nr. M-1-930. Zmieniony koniec wyroku, -1945r-1955r i 1945r-1954r przewiezienie do więzienia w Polsce, przekazanie więźniów przez NKWD w Brześciu pracownikom UB.

1953 год

Январь	27	143	40	
Февраль	26	139	36	
Март	25	140	37	
За I кв.			114	20.2.56

Нач. лаготделения

*С. Г. Давыдов*

1953 год

Июль				
Август				
Сентябрь				
За III кв.				

Нач. лаготделения

Апрель				
Май				
Июнь				
За II кв.				

Нач. лаготделения

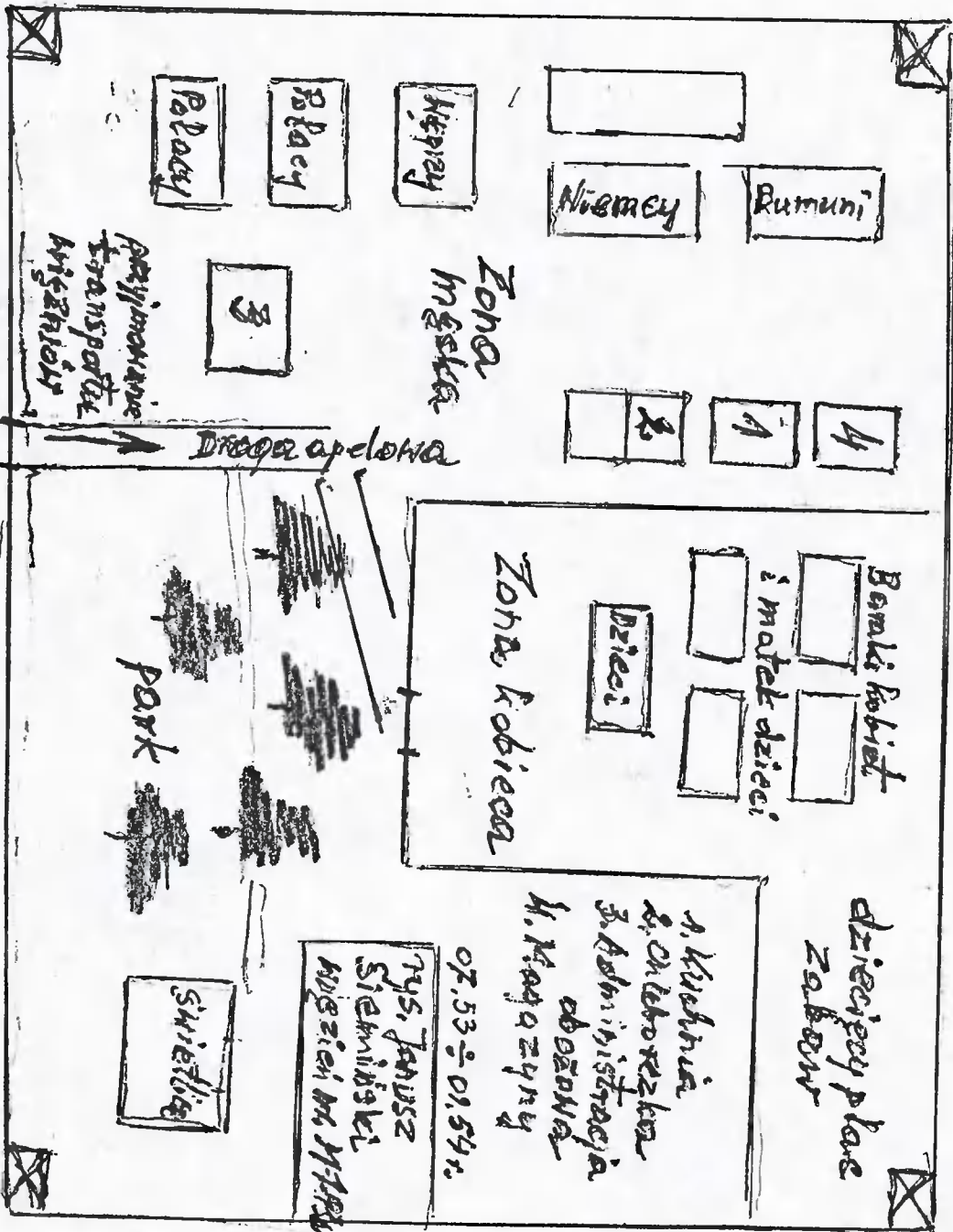
Октябрь				
Декабрь				
За IV кв.				

Нач. лаготделения

# Mordowska A.S.R.R.

Tory Kolejowe

Wyzki →



droga z maszynami

Pocina - pierniki dla dzieci

Zamieniony na spec. łazienki

Droga asfaltowa

Zona męska

Zona kobiet

Dziecięcy plac zabaw

Kuchnia i Oblewkarka  
Administracja obozu  
K. Kozłowy

Mys. Janusz Siemicki  
Mieszkanie M. M.

Park

Świećca

droga do pracy w kołchozie

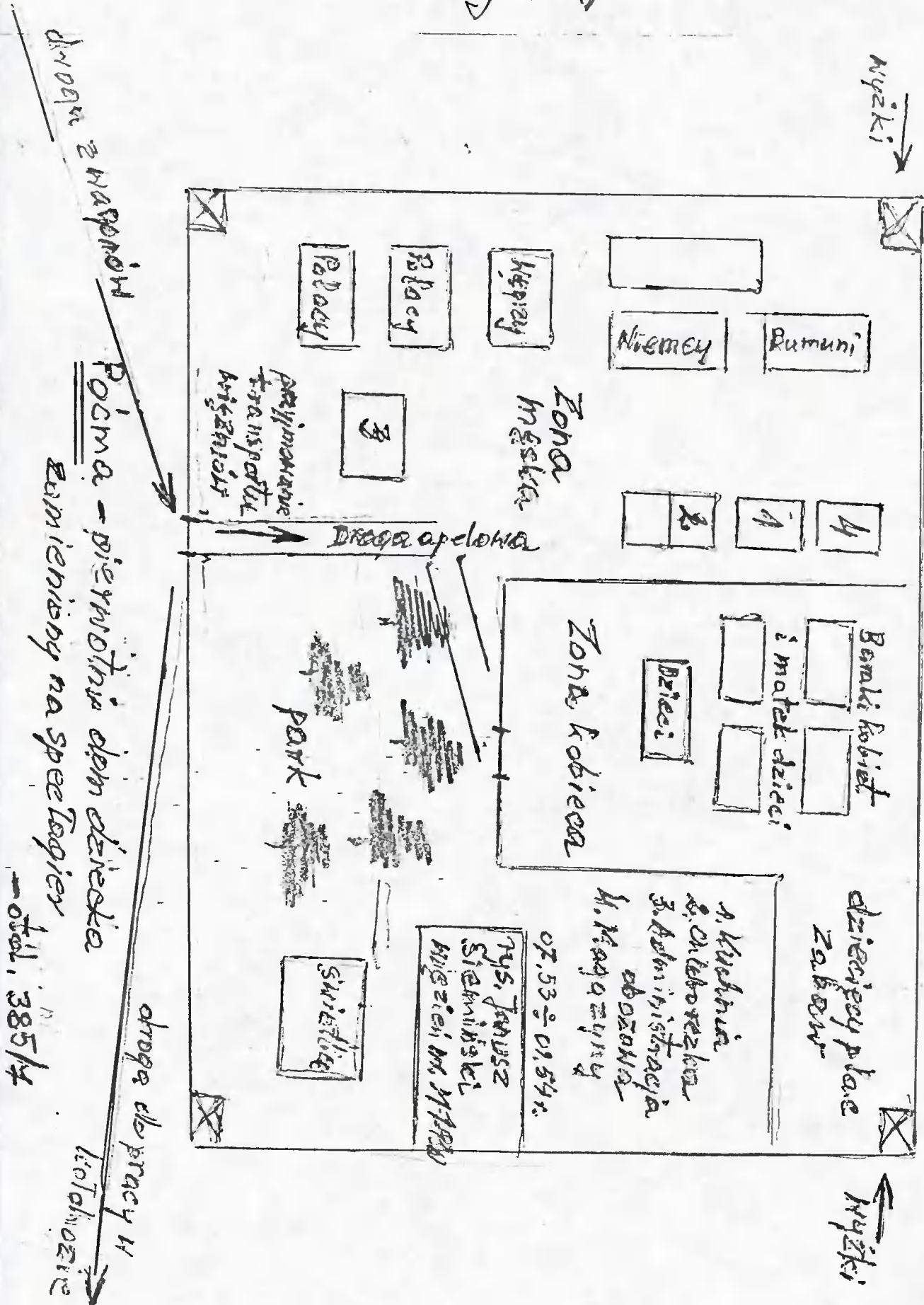
total. 385/4

Wyzki

Wyzki

# Mordowska A.S.R.P.

## Tory kolejowe



total: 385/4

URZĄD RADY MINISTRÓW

Zaspół II Administracji Publicznej  
Biuro Specjalno-Administracyjne  
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Wzór do poz. 22 a Instrukcji H la  
b) dla podróżnego lub przewodnika grupy

w Tomaszów Lub.

Zaświadczenie Ld. Nr 70221

na ulgowy przejazd osoby przybywającej lub powracającej w ramach akcji repatriacyjnej z krajów Europy Zachodniej i Południowej i z krajów ZSRR oraz na uzyskanie ulgi na przewóz mienia, z kredytowaniem opłat na rachunek PUR.

Ob. Sieminski Janusz  
(imię i nazwisko)

legitymujący się jako repatriant dowodem zaświadczenie Nr 321

z dnia 6 II 1954 wydanym przez

przybył do Polski z terytorium Z.S.R.R.

udaje się z grupą osób powracających w łącznej

ilości osób 1

słownie jedna

ze stacji Bełżec

do stacji Warszawa

- i ma prawo do:
- 1) jednorazowego przejazdu w klasie 3 pociągu, w którym dopuszczony jest przewóz osób za opłatą według tabeli T 75.
  - 2) przejazdu wraz z grupą pociągiem specjalnym z obliczeniem przewoźnego według stawki zł 3 gr 50 za osio km.
  - 3) nadania do przewozu mienia, jako przesyłkę zwyczajną wagonową z obliczeniem przewoźnego za wagon według stawki 50 gr. za 1 osio km. (\*\*).
  - 4) nadania do przewozu mienia, jako zwyczajną przesyłkę drobną z obliczeniem przewoźnego według stawek klas I i II obniżone o 50%. (\*\*)
  - 5) nadania do przewozu mienia, jako przesyłkę pośpieszną z obliczeniem przewoźnego według stawek klasy PD obniżone o 50%. (\*\*)
  - 6) nadania do przewozu mienia, jako przesyłkę pośpieszną, przyśpieszoną z obliczeniem przewoźnego według stawek klasy Pd, obniżone o 25%. (\*\*)
  - 7) nadania do przewozu mienia, jako bagaż lub przesyłkę ekspresową za opłatą według tabeli BE ze zniżką 50%.
- Niniejsze zaświadczenie jest ważne tylko z jednoczesnym okazaniem listu ewakuacyjnego (dla powracających z ZSRR lub zaświadczenia Punktu Przyjęcia PUR (koloru różowego) dla powracających z krajów Europy Zachodniej i Południowej.

Ważne do dnia 9 lutego 1954.

(najwyżej 14 dni od daty wystawienia)

Tomaszów Lub. dnia 6 II 1954

Janusz Sieminski Podpis podróżnego lub przewodnika



[Signature] Podpis wystawcy

\*) Niepotrzebne skreślić.  
\*\*) Do każdego listu przewozowego, kwitu bagażowego lub listu ekspresowego należy dołączyć oddzielnie zaświadczenie

Cópis

lejsce na  
stografię

Tomaszów Lubelski, 1954 r.

nr 321/54 z dnia 6 lutego 1954 r.

Zaświadczenie zwolnienia więźnia

Siemiński Janusz Jerzy

urodzony 14 stycznia 1927 r. Wyszaków n/B zwolniony  
został dziś na mocy Zarządzenia Władz.

Cbowiązany jest zameldować się w Biurze Milicji

Obywatelskiej w Warszawie nie później jak do dnia 30.01.1954 r.

Termin zameldowania w biurze M.O.

przedłuża się do dnia 25 lutego 1954 r.

podpis nieczytelny

pieczęć okrągła

z godłem

Powiatowy Urząd

Bezpieczeństwa

Tom. Lubelski

Naczelnik więzienia

podpis nieczy-  
telny

*Zgodnie z oryginałem*  
**ZWIĄZEK SYBERAKÓW**  
Kole Warszawa-Zoliborz  
Pl. Inwalidów 3m 98  
01-514 Warszawa  
**SEKRETARZ**  
*Włodzisław Złotnicki*

Cdpis

Tomaszów Lub. dn.6.II.1954 r.

Prezydium  
Powiatowej Rady Narodowej  
w Tomaszowie Lubelskim

Przewodniczący Stożecznej Rady Narodowej  
Samodzielny Oddział Zatrudnienia  
w Warszawie

Skierowanie

Kieruje się Ob. Siemiński Janusz  
.....  
z zawodu tokarz ..... celem skierowania do pracy w trybie  
.....  
instrukcji Minister. Pracy i Pomocy Społecznej z dn.15.XII.52  
Nr Zw. 4011/52 oraz stosownie do pisma IPiOS do  
Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej  
z dn. 27.XI.1953 r. Nr. 354/tjn/53

pieczęć okrągła

podpis nieczytelny

z godłem

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Tomaszowie Lubelskim

*2 egzemplie z oryginału*  
ZWIĄZEK SYMIONÓW  
Kole Warszawa 211bors  
Pl. Inwalidów 8m.33  
01-514 Warszawa  
SEKRETARZ  
*[Signature]*  
Włodzisław Zubilecki



# DYPLOM

## UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

### SZKOŁA GŁÓWNA PLANOWANIA I STATYSTYKI W WARSZAWIE

.....**Janusz Jerzy Siemiński**.....

URODZON **7** DNIA **14 stycznia** ..... 19**27** ROKU

W **Wyszkanie pow. Pułtusk**

ODBYŁ..... STUDIA NA WYDZIALE **Ekonomiki Produkcji**  
.....**w latach 1961/62 - 1967/68**.....

PRZEDSTAWIŁ..... PRACĘ MAGISTERSKĄ NA TEMAT:  
**"Rozmieszczenie i rozwój przemysłu optycznego**  
**w Polsce."**

.....  
OCENIONĄ JAKO **dobrą**

I PO ZŁOŻENIU EGZAMINU MAGISTERSKIEGO Z WYNIKIEM  
**dostatecznym**

UZYSKAŁ..... W DNIU **25 stycznia** ..... 19**69**

## NINIEJSZY DYPLOM

.....**magistra ekonomii**.....

REKTOR

**/-/prof.dr W.Sadowski**

DZIEKAN

**/-/doc.dr H.Skrobisz**

NUMER **1833**

WARSZAWA, DNIA **3 marca** ..... 19**69** ROKU

Zgodność niniejszego odpisu z oryginałem stwierdzam



*Skrobisz*  
.....  
Kier. Sekretariatu Szkoły

dnia **11/III** ..... 19**69** r.



Прокуратура РОССИЙСКОЙ  
ФЕДЕРАЦИИ  
Прокуратура  
Владимирской области

19.05.92 № 13-5-92

г. Владимир

Республика Польша  
01-554 Варшава  
Аллея Войска Польского,  
дом 56, кв. 12

Шеминскому Я.Е.

Уважаемый Януш Ежипович!

Вы полностью реабилитированы. Документ об этом  
прокуратурой области направлен Посольству Республики  
Польша в Российской Федерации.

Заместитель прокурора области  
старший советник юстиции

И. А. Шумник



# MONITOR POLSKI

DZIENNIK URZĘDOWY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

WARSZAWA, 8 maja 1950

Nr A-52

Poz. 588

T R E S C:

DZIAŁ I. SPRAWY OGÓLNE

Poz. 588. Zarządzenie Ministra Administracji Publicznej o przywróceniu i ustaleniu nazw miejscowości.

## DZIAŁ I SPRAWY OGÓLNE

588.

ZARZĄDZENIE

MINISTRA ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ

z dnia 4 kwietnia 1950 r.

o przywróceniu i ustaleniu nazw miejscowości.

Na podstawie art. 2 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 24 października 1934 r. o ustalaniu nazw miejscowości i obiektów fizjograficznych oraz o numeracji suchomości (Dz. U. R. P. Nr 94, poz. 850), w brzmieniu uchwały z dnia 28 lipca 1948 r. (Dz. U. R. P. Nr 36, poz. 100), zarządza się, co następuje:

1. Ustala się w brzmieniu polskim nazwy oraz pisownię następujących miejscowości i obiektów fizjograficznych:

### NAZWY ŚLĄSKICH OSAD

rozszysiółków, kolonii i t. p. poniżej 50 mieszkańców)

(dokończenie)

nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)
-nei, podgórnianki (ad Świeradów Zdrój)	podgórnianki	lwówecki	Niederdorf
-ic-nych, dolnopredocicki (ad Prędocice)	zgorzelecki	Prędocice	Niederhäuser
-dy, nieradzki (ad Zbroslawice)	bytomski	Nierada	Nierada
-sza, nikiski (ad Bojszów)	gliwicki	Nikisch	Nikisch
-ic, ninkowicki (ad Ścinawa)	wrocławski	Nimkowitz	Nimkowitz
-owa, miczkowski (ad Parkoszów)	bolesławiecki	Nitschkenau	Nitschkenau
-ki, amerykański (ad Leśna)	oleski	Nordhöhe	Nordhöhe
-wia-nego, górnowielisławski (ad Stary Wielisław)	klodzki	Oberaltwilmsdorf	Oberaltwilmsdorf
-ry, oborski (ad G.ogów)	głogowski	Oberau	Oberau
-dy, gorzywodzki (ad Nędza)	raciborski	Oberbach	Oberbach
Górny -owa-nego, górnozbakowski (ad Zbaków)	górowski	Ober Backen	Ober Backen
-e, górniański (ad Świeradów Zdrój)	lwówecki	Oberdorf	Oberdorf
-owa, węgowski (ad Kraino)	strzeliński	Ober Ecke	Ober Ecke
Górne -na-nego, górnozelazieński (ad Zelazno)	klodzki	Obereisersdorf	Obereisersdorf

Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)
Giebułtów Górny	-owa-nego, górno-giebułtowski (ad Giebułtów)	lubański	Ober Gebhardsdorf
Sulików Górny	-owa-nego, górnosulikowski (ad Sulików)	lubański	Obergut
Prędocice Górne	-ic-nych, górnopredocicki (ad Prędocice)	zgorzelecki	Oberhäuser
Gorzyków	-owa, gorzykowski (ad Kozłów)	gliwicki	Oberhof
Stanięcin	-na, stanięciński (ad Zalesie Śląskie)	strzelecki	Oberhof
Stanięcice	-ic, stanięcicki (ad Złotów)	trzebnicki	Ober Kachel
Krzeczyn Górny	-na-nego, górno-krzeczynski (ad Krzeczyn Mały)	lubiński	Ober Klein Krichen
Uniemierz Górny	-rza-nego, górno-uniemierski (ad Czarnolas)	grodkowski	Ober Königswalde
Olszyna Górna	-ny-nej, górnoolszynski (ad Olszyna)	lubański	Ober Langenöls
Piotrowice Górne	-ic-nych, górnopiotrowicki (ad Piotrowice)	złotoryjski	Ober Petersdorf
Blotnica Górna	-cy-nej, górnoblotnicki (ad Blotnica)	ząbkowski	Ober Plottnitz
Trzebiecyn	-na, trzebieczyński (ad Lasowice Wielkie)	oleski	Oberwalden
Żarków Górny	-owa-nego, górnozarkowski (ad Nosocice)	głogowski	Ober Werften
Wichrów Górny	-owa-nego, górnowichrowski (ad Bodzanowice)	oleski	Ober Windenau
Nagodów	-owa, nagodowski (ad Ziemnice Małe)	opolski	Ochsendorf
Utrata	-ty, utracki (ad Katowice)	wrocłowski	Oderfähre
Biedaszka	-ki, biedaszecki (ad Stare Siolkowice)	opolski	Oderfeld
Sławaki	-ak, sławacki (ad Łubowice)	raciborski	Oderhäuser
Odrzyca	-cy, odrzycki (ad Narok)	niemodliński	Oderhof
Kąty	Kąt, kącki (ad Czarnowąsy)	opolski	Oderhof
Lisak	-ka, lisacki (ad Koźle)	kozielski	Oderschlenke
Lesiana	-ny, lesiański (ad Stradunia)	opolski	Oderstrasse
Kędziora	-ry, kędziorski (ad Opole)	opolski	Odervorwerk
Mścislawice	-ic, mścislawicki (ad Głoska)	średzki	Odervorwerk
Podświęcie	-cia, podświęciecki (ad Dziergowice)	kozielski	Oderwalde
Odrzyso	-ka, odrzycki (ad Niewodniki)	niemodliński	Oderwerder
Kącka Śluza	-ej Śluzy, kącki (ad Ziemnice Wielkie)	opolski	Oderwinkel Schleuse
Puścina	-ny, puściński (ad Trachy)	gliwicki	Odfeld
Pustki	-tek, pustecki (ad Wysoka)	oleski	Odfeld

Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)	Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)
Kalina	-ny, kaliński (ad Malin)	trzebnicki	Riesenthal	Piaskowiec	-wca, piaskowiecki (ad Przedziedza)	lwówecki	Sandau
Kraskowice	-ic, kraskowicki (ad Jagodzin)	zgorzelecki	Rlessteich	Piaskowa	-wej, piaskowski (ad Kępuica)	nyski	Sandberg
Karbiec	-bca, karbiecki (ad Brzeźnik-Parzyce)	bolesławiecki	Rimpelsberg	Marszałki	-lek, marszałecki (ad Stanice)	raciborski	Sandberg
Krasek	-ska, krasecki (ad Raszowa)	kozielski	Ringelmühle	Wierzchowina	-ny, wierzchowiński (ad Kadłub Wolny)	oleski	Sandberg
Kostera	-ry, kosterski (ad Paszków)	bystrzycki	Rinneberg	Pieszcanka	-ki, pieszczanecki (ad Konary)	średzki	Sanderhof
Pakostowice	-ic, pakostowicki (ad Białawy Małe)	wołowski	Ristenau Kolonie	Piaski	-ków, piasecki (ad Babice)	raciborski	Sandgruben
Tobaków	-owa, robakowski (ad Kotla)	głogowski	Robertshof	Sobisz	-sza, sobiski (ad Chudoba)	oleski	Sandhagen
Kopanina	-ny, kopaniński (ad Jasiona)	gliwicki	Rodaun	Piaśnik	-ka, piąśnicki (ad Zuchów)	górowski	Sandhäuser
Kopanina	-ny, kopaniński (ad Ligota Toszecka)	gliwicki	Rode	Piaśnica	-cy, piąśnicki (ad Wziąchnowo Wielkie)	milicki	Sandhäuser
Kopina	-ny, kopiński (ad Pludry)	dobrodzieński	Rodefild	Szklarka	-ki, szklarecki (ad Dziadowa Kłoda)	sycowski	Sandhäuser
Łazek	-zka, łazeczki (ad Niemstów)	łubiński	Rodehäuser	Wydmuch	-cha, wydmuski (ad Puszków)	żagański	Sandhäuser
Kopalina	-ny, kopaliniński (ad Ścigów)	prudnicki	Roding	Chudoba	-by, chudobski (ad Urbanowice)	kozielski	Sandhof
Korzonki	-nek, korzonecki (ad Leśna)	oleski	Rodland	Kurzawa	-wy, kurzawski (ad Minkowice Oławskie)	olawski	Sandhof
Kopalina	-ny, kopaliniński (ad Krasiejów)	opolski	Rodung	Sądrecko	-ka, sądrecki (ad Rząśnik)	złotoryjski	Sandreczky
Rogów	-owa, rogowski (ad Sosnowa)	ząbkowicki	Rogau	Święta Anna	-tej-ny, święto- anniński (ad Sosnowka)	jeleniogórski	Sankt Annahöhe
Rogalski Młyn	-skiego-na, młyński (ad Biestrzykowiec)	namysłowski	Rogelmühle	Cisza	-szy, ciski (ad Rudnik)	raciborski	Sanssouci
Rogalowa Góra	-wej-ry, rogalowo- górski (ad Kolonowskie)	strzelecki	Rogolowa	Zarzyska	-ysk, zarzycki	oleski	Sarsisk
Rogożowa	-wej, rogożowski (ad Barkowo)	milicki	Rogosawe	Sadków	-owa, sadkowski (ad Zórawina)	uroclawski	Sattkau
Makoszyce	-yc, makoszycki (ad Wolany + Chocieszów)	kłodzki	Rolling	Roztoki	-ok, roztockie (ad Szumirad)	oleski	Saubruch
Lubiatowice	-ic, lubiatowicki (ad Komorzno)	kluczborski	Rosalienhof	Kwaśno	-na, kwasieński (ad Stare Siol- kowiec)	opolski	Sauerfeld
Góry	Gór, górski (ad Wysoka)	oleski	Rosenhain (er) Ziegelei	Kwaśnina	-ny, kwaśniński (ad Stradomia Dolna)	sycowski	Sauerwinkel
Rosocha	-chy, rososki (ad Kadłub Wolny)	oleski	Rosenhof	Piła	-ły, pilski (ad Nędza)	raciborski	Sägewald
Czerwona Góra	-nei-ki, czerwono- górecki (ad Kraśnik Górny)	bolesławiecki	Roter Berg	Kuźniczka Dolna	-ki-nej, dolno- kuźnicki (ad Sierakowice)	gliwicki	Sägewerk
Czermina	-ny, czerminiński (ad Piława)	dzierżoniowski	Roter Hof	Siemianów	-owa, siemianowski (ad Ujazd)	milicki	Sämannshof
Czerniszów	-owa, czerniszowski (ad Dąbrowa Bo- lesławiecka)	bolesławiecki	Rothbusch	Skalica	-cy, skalicki (ad Karszów)	strzelecki	Scalitz
Rożany	-an, rożański (ad Ryczeń)	górowski	Rothenhain	Szybki	-bek, szybcki (ad Rudy)	raciborski	Schacht
Radowice	-ic, rodowicki (ad Biechów)	nyski	Rottwitz	Pustków	-owa, pustkowski (ad Trzebicko)	milicki	Schadehof
Ruda	-dy, rudzki (Chrzastowa Wielka)	wrocławski	Řuda	Owczarka	-ki, owczerecki (ad Janków)	żarski	Schafberg
Radocin	-na, radociński (ad Różanówka)	głogowski	Rudolfshof	Pniowie	-wia, pniowski (ad Kamieniec)	gliwicki	Schafweide
Ciszycza	-cy, ciszycki (ad Kowary)	jeleniogórski	Ruhberg	Okop	-pu, okopski (ad Opole)	opolski	Schanz
Wygoda	-dy, wygodzki (ad Łęże)	kozielski	Ruhfelde	Owieczki	-czek, owiecki (ad Głoska)	średzki	Schäferberg
Romanów	-owa, romanowski (ad Krzywina)	strzelecki	Rummelsberg	Owczyniec	-ica, owczyński (ad Wilczyca)	oleśnicki	Schäferel
Wszemil	-ła, wszemiński (ad Jastrzębie)	namysłowski	Rungehäuser	Zawada	-dy, zawadzki (ad Kadłub Wolny)	oleski	Schäferel
Radomin	-na, radomiński (ad Nowe Kuźnice)	bolesławiecki	Rückenwaldau	Ownia	-ni, owniański (ad Mokra)	średzki	Schäferel
Rybnik	-ka, rybnicki (ad Nasale)	kluczborski	Rybnik	Kopanina	-ny, kopaniński (ad Roszowicki Las)	kozielski	Schäfergraben
Radostowice	-ic, radostowicki (ad Lubięcin)	kożuchowski	Sabinengrund	Owieczka	-ki, owiecki (ad Krosnowice)	kłodzki	Schäferhof
Sachsenie	-niów, sachsoński (ad Bąków)	kluczborski	Sachsenofen	Siedlec	-lca, siedlecki (ad Kowalowice)	namysłowski	Schedlitz
Solarnia	-ni, solarniański (ad Stara Bzinnica)	dobrodzieński	Salzhof	Skiba	-by, skibski (ad Mysłakowice)	jeleniogórski	Scheibe
Piasiek	-ska, piasecki (ad Świeradów Zdrój)	lwówecki	Sand	Przyszów	-owa, przyszowski (ad Gościeradz)	lwówecki	Schellenberg

Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)
Wąp Las	-wego-su, nowoleski	bolesławiecki	Schiehar
Wymianowice	-ic, szymanowicki	olewski	Schimmeleg
Wąckowice	-ic, raczkowicki	świdnicki	Schindelhengst
Wąszów	-owa, rozszowski	jaworski	Schindelwaldau
Wązgi	-gów, brzeski	dobrodzieński	Schlackenufer
Wąrczarze	-rzy, garncarski	dobrodzieński	Schlackenufer
Wącisze	-sza, zaciski	lubiński	Schläfer
Wąborów	-rowa, ściborowski	klodzki	Schlegeler Grenze
Wąroniów	-owa, sieroniowski	bolesławiecki	Schlemmer
Wąrczów	-owa, kluczowski	klinczborski	Schlüsselwald
Wąznica	-cy, kuźnicki	klodzki	Schmiedegrund
Wąznica	-cy, kuźnicki	dzierżoniowski	Schmiedegrund
Wąznica	-cy, kuźnicki	oleski	Schmiedetal
Wąpki	-tek, zbytecki	namysłowski	Schmograu-Wiesenhof
Wąpów	Dzioba, dziobski	klodzki	Schnabelmühle
Wąmieńcysko	-ka, kamieńcyski	dzierżoniowski	Schotterwerk
Wąska Studnia	-nei-ni, pięknostu-	namysłowski	Schönbrunn
Wąkotka	-ki, łekotecki	legnicki	Schönau
Wąsowe	-wego, krasowski	gliwicki	Schöngrund
Wąsłina	-ny, myśliński	opolski	Schönhorst
Wąsów	-owa, śmiłowski	wałbrzyski	Schönhut
Wąygoda	-dy, wygodzki	gliwicki	Schönsitz
Wąrachowe	-wego, strachowski	dobrodzieński	Schreckenhof
Wąsarzów	-owa, pisarzowski	ząbkowicki	Schreibendorf
Wąrzypnica	-cy, skrzypnicki	dobrodzieński	Schreiberhäuser
Wąszech	-chy, ucieski	średzki	Schreibersau
Wąsokot	-ta, klekocki	żarski	Schrothammer
Wąsubenik	-ka, szubienicki	opolski	Schubener
Wąsyrwa	-wy, przyrwiański	raciborski	Schulanger
Wąsordale	-li, gordalski	oleski	Schnlenheim
Wąsieściszów	-owa, wieściszowski	wrocławski	Schüsslitz
Wąsacing	-in, chaciński	bystrzycki	Schwarzeberghäuser
Wąsarne	-ego, czarniański	dobrodzieński	Schwarzeck
Wąsarny Lasek	-nego-ska, czarnola-	oleski	Schwarzer Teich
Wąsasing	-in, siński	średzki	Schwarze Schäferei
Wąsarnik	-ka, czernicki	wałbrzyski	Schwarzgraben
Wąsarnyż	-za, czarnyjski	olewski	Schwarzmühle
Wąsabin	-na, skibiński	kozielski	Schwarzteich
Wąsarnolasek	-su, czarnoleski	górowski	Schwarzvorwerk

Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)
Oziąbel	-bla, oziąbelski	namysłowski	Schwarzwald
Wojanówka	-i, wojanówecki	klodzki	Schwarzwasser
Świnka	-ki, świnecki	średzki	Schweinberg
Wszeradź	-dza, wszeradzki	klodzki	Schweinegraben
Wszeradów	-owa, wszeradowski	oleśnicki	Schweizerei
Swaratowice	-ic, swaratowicki	trzebnicki	Schweretau
Świdrów	-owa, świdrowski	gliwicki	Schwieder
Świątniki	-nik, światnicki	oleśnicki	Schwundnig
Sześcina	-ny, sześciński	głogowski	Sechshäuser
Woszków	-owa, woszkowski	jeleniogórski	Sechshäuser
Szczeciec	-ca, szczeciecki	bolesławiecki	Sechsstätte
Bączkowice	-ic, bączkowicki	raciborski	Seegenberg
Kępa	-py, kępski	raciborski	Seehof
Byszów	-owa, byszowski	dzierżoniowski	Seherrswaldau
Byszowice	-ic, byszowicki	lwówecki	Seiffenhäuser
Kopalina	-ny, kopaliniński	oleski	Seifferthof
Wojtków	-owa, wojtkowski	oleski	Separation
Boguszowice	-ic, boguszowicki	kamiennogórski	Siebenbürgen
Siódmak	-ka, siódmacki	klodzki	Siebenhäuser
Przegonia	-ni, przegoński	lwówecki	Siebenhäuser
Mogily	-ł, mogiński	raciborski	Siebenhäuser
Siedziska	-sk, siedliski	raciborski	Siedel
Potasznia	-ni, potaszniański	opolski	Siederel
Rosochacz	-cza, rosochacki	bolesławiecki	Siedlung Breitenfeld
Zielonka	-ki, zielonecki	sycowski	Sielonke
Bławaciska	-isk, bławaciski	namysłowski	Simmelwitz-Eibenhof
Szymanki	-nek, szymancki	lwówecki	Simonshäuser
Dąbrowa	-wy, dąbrowski	oleski	Soldatenberg
Radzice	-ic, radzicki	żarski	Sophienthal
Zawiszów	-owa, zawiszowski	górowski	Sorge
Sieczków	-owa, sieczkowski	głogowski	Spangenberg
Spiny	Spin, spiński	ngski	Spienau
Śpiewaki	-ków, śpiewacki	dobrodzieński	Spiewoken
Bartniki	-ik, bartnicki	jeleniogórski	Spillerhäuser
Kobiałka	-ki, kobiałcki	milicki	Spinnhäuser
Korzeniec	-ca, korzeniecki	lubański	Stadtelhäuser
Łabuzki	-zek, labuzecki	milicki	Stadtförsterei
Szypowice	-ic, szypowicki	kozielski	Stefanshof
Kamienisko	-ska, kamieniski	bolesławiecki	Steinbruch
Kamienno	-na, kamienieński	milicki	Steinrund
Kamienik	-ka, kamienicki	raciborski	Steinhaus

Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)	Nazwa polska	II przypadek przymiotnik	Powiat	Dawna nazwa (niemiecka)
Zapiece	-ców, zapiecki (ad Moln)	dobrodzieński	Ofenfelde	Brzęczek	-czka, brzęcki (ad Wąsice)	kluczborski	Pohlemühle
Dębno	-na, dębiński (ad Lubiatów)	głogowski	Ohneeiche	Potępa	-py, potępski (ad Rachowice)	gliwicki	Potempa
Stodółka	-ki, stodółcki (ad Lang)	gliwicki	Olgahof	Probstwo	-wa, probostwianski (ad Środa Śląska)	średzki	Probstei
Dziedzinka	-ki, dziedzinecki (ad Jaruszów)	strzelecki	Olgahof	Pudło	-ła, pudelski (ad Radwanice)	głogowski	Pudel
Dziedzinka	-ki, dziedzinecki (ad Chechło)	gliwicki	Olgahöh	Czarkowice	-ic, czarkowicki (ad Kępnic)	nyski	Puschberg
Olsze	-sza, olszański (ad Krzydłowice)	głogowski	Olschenvorwerk	Golota	-ty, gołocki (ad Stary Żagań)	żagański	Puschbleiche
Osiębórz	-borza, osięborski (ad Bolkowice)	jaworski	Ossenbahr	Pyszczków	-owa, pyszczykowski (ad Stary Żagań)	żagański	Puschvorwerk
Wydrowice	-ic, wydrowski (ad Mochów)	prudnicki	Otternfelde	Pustak	-ka, pnstacki (ad Wróbliniec)	milicki	Pusken
Huta	-ty, hucki (ad Trzebień)	bolesławiecki	Ottlienhütte	Pustki	-tek, pustecki (ad Dobrzeń Wielki)	opolski	Pustki
Przerwa	-wy, przerwiański (ad Otmęt)	strzelecki	Ottmuth-Eichengrund	Rydzek	-dzka, rydzki (ad Chudoba)	oleski	Quellengrund
Pamów	-owa, pątnowski (ad Stare Piekary)	legnicki	Panten Forstamt	Przygorzele	-ła, przygorzelski (ad Miejsce)	namysłowski	Quellenhof
Krężel	-zła, krężelski (ad Koźle)	kozielski	Pappelhof	Wolanka	-ki, wolanecki (ad Świebodów)	milicki	Quinterei
Topolno	-na, topoleński (ad Raków Wielki)	trzebnicki	Pappelhof	Raki	-ków, racki (ad Piotrkowice)	trzebnicki	Raake
Panlinów	-owa, paulinowski (ad Sucha Górna)	głogowski	Paulinenhof	Rybn	-na, rybieński (ad Mściwojów)	jaworski	Raben
Staszków	-owa, staszkowski (ad Kamienna)	namysłowski	Paulinenhof	Równa	-nej, rówieński (ad Uszczonów)	górowski	Rabenau
Staszowice	-ic, staszowicki (ad Bożnów)	żagański	Paulinenhof	Rachnów	-owa, rachnowski (ad Sławnikowice)	zgorzelecki	Rachenau
Staszyc	-yc, staszyci (ad Gorzów Śląski)	oleski	Paulinenhütte	Rakowice	-ic, rakowicki (ad Dobroszyce)	oleśnicki	Rackwitz
Paszów	-owa, paszowski (ad Kornice)	raciborski	Paulshof	Radek	Radka, radecki (ad Szklary)	lubiński	Radek
Paulowice	-ic, paulowicki (ad Stradomia Wierzchnia)	sycowski	Paulwitz	Radomil	-ła, radomilski (ad Szumirad)	oleski	Radomühl
Pakoszowice	-ic, pakoszwicki (ad Złotówek)	trzebnicki	Pausenhof	Głowczyn	-na, głowczyński (ad Jagodzin)	zgorzelecki	Raffhäuser
Smolarka	-ki, smolarecki (ad Gręboszów)	namysłowski	Pechhütte	Gogolice	-ic, gogolicki (ad Kopaniec)	jeleniogórski	Ramberg
Barłogi	-gów, barłoski (ad Chorągwie)	górowski	Pechofen	Otok	-ka, otocki (ad Januszkowice)	kozielski	Randau
Perzanów	-owa, perzanowski (ad Jakubowo)	lubiński	Persal	Wargale	-li, wargalski (ad Leńnica)	strzelecki	Randhof
Świętochów	-owa, świętochowski (ad Bielawa)	oleśnicki	Peterhof	Kniecle	-cia, kniecki (ad Ciasna)	dobrodzieński	Randshausen
Baranów	-owa, baranowski (ad Grabiszyc Górne)	lubański	Petersgemeinde	Paszkówka	-i, paszkówęski (ad Paszków)	bystrzycki	Ranserberg
Pietrowice	-ic, pietrowski (ad Sidzina)	grodkowski	Peterwitz	Raszków	-owa, raszkowski (ad Sosnówka)	jeleniogórski	Raschkenhäuser
Popowice	-ic, popowicki (ad Środa Śląska)	średzki	Pfaffendorf	Pielice	-ic, pielicki (ad Niwiska)	kozuchowski	Rasenvorwerk
Popkowice	-ic, popkowicki (ad Zawonia)	trzebnicki	Pfaffenmühle	Posilek	-ka, posilecki (ad Walce)	prudnicki	Rasten
Popków	-owa, popkowski (ad Młynowiec)	bystrzycki	Pfaffensteig	Raczyna	-na, raczyński (ad Gorzanów)	bystrzycki	Ratschinhof
Księżostang	-an, księżostański (ad Raków)	klodzki	Pfarrbuschhäuser	Raczyce	-yc, raczycki (ad Chelmiec)	jaworski	Ratschütz
Księżopola	-ła, księżopolski (ad Bobrowniki)	klodzki	Pfarrgrund	Groszów	-owa, groszowski (ad Kónra lówka)	złotoryjski	Rechenberg
Księżowola	-li, księżowolski (ad Strzeice)	strzelecki	Pfarrkolonie	Kapuściak	-ka, kapuściacki (ad Laryszów)	bytowski	Redenhöhe
Rogówek	-wka, rogówęcki (ad Wińsko)	wołowski	Pfarroggen	Przewłoka	-ki, przewłocki (ad Prawików)	wołowski	Regnitzfähre
Gwizdoń	-nia, gwizdoński (ad Pławniowice)	gliwicki	Pfeifer	Sarniak	-ka, sarniacki (ad Proboszczowice)	gliwicki	Rehhof
Kobylice	-ic, kobylicki (ad Stary Popielów)	opolski	Pferdenau	Regów	-owa, regowski (ad Dalków)	głogowski	Reihe
Bojanowice	-ic, bojanowicki (ad Komprachcice)	opolski	Philippsdorf	Groszów	-owa, groszowski (ad Rożniatów)	strzelecki	Reilshof
Olszak	-ka, olszacki (ad Kartowice)	brzeski	Pilzmühle	Rokitnik	-ka, rokitnicki (ad Rokitnica)	złotoryjski	Reisicht
Piaski	-ków, piasecki (ad Biskupice)	oleski	Pioski	Kołaczek	-czka, kołacki (ad Wierzbiica Górna)	kluczborski	Reiswitz
Poganowice	-ic, poganowicki (ad Golanka)	legnicki	Pirl	Grudziń	-in, grudziński (ad Kobiela)	grodkowski	Reudel
Boguszowice	-ic, boguszowicki (ad Suszyna)	klodzki	Plaschkenhäuser	Gradów	-owa, gradowski (ad Miłochowice)	milicki	Rhoden
Zagórze	-rza, zagórski (ad Chocianowice)	lubiński	Plätschendorf	Łaziec	-zca, łaziecki (ad Miłochowice)	milicki	Rhoden
				Gruszczyń	-na, gruszczyński (ad Radochów)	bystrzycki	Richtergrund

10

Droga-Golgota, wina  
 Nr. I-I-930, ur. 14.01.1927r.  
 wyrokien 15 lat zryzki, do  
 nadziech na Kasyie, w  
 do 1954r.

OBJAŚN

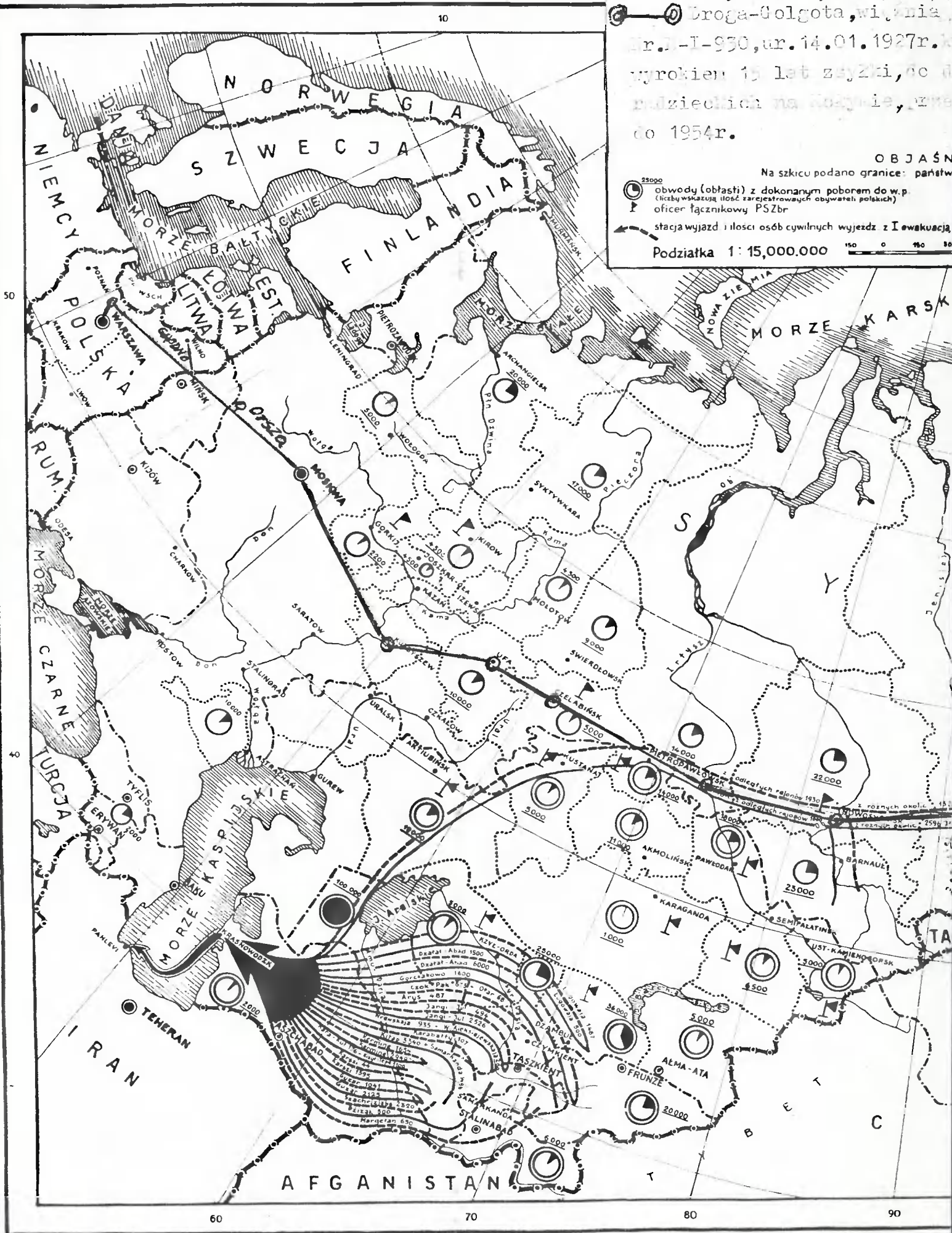
Na szkicu podano granice państw

25000  
 obwody (oblasti) z dokonaniem poborem do w.p.  
 (liczby wskazują ilość zarejestrowanych obywateli polskich)  
 oficer łącznikowy PSZbr

stacja wyjazd i ilości osób cywilnych wyjeżdż z I ewakuacją

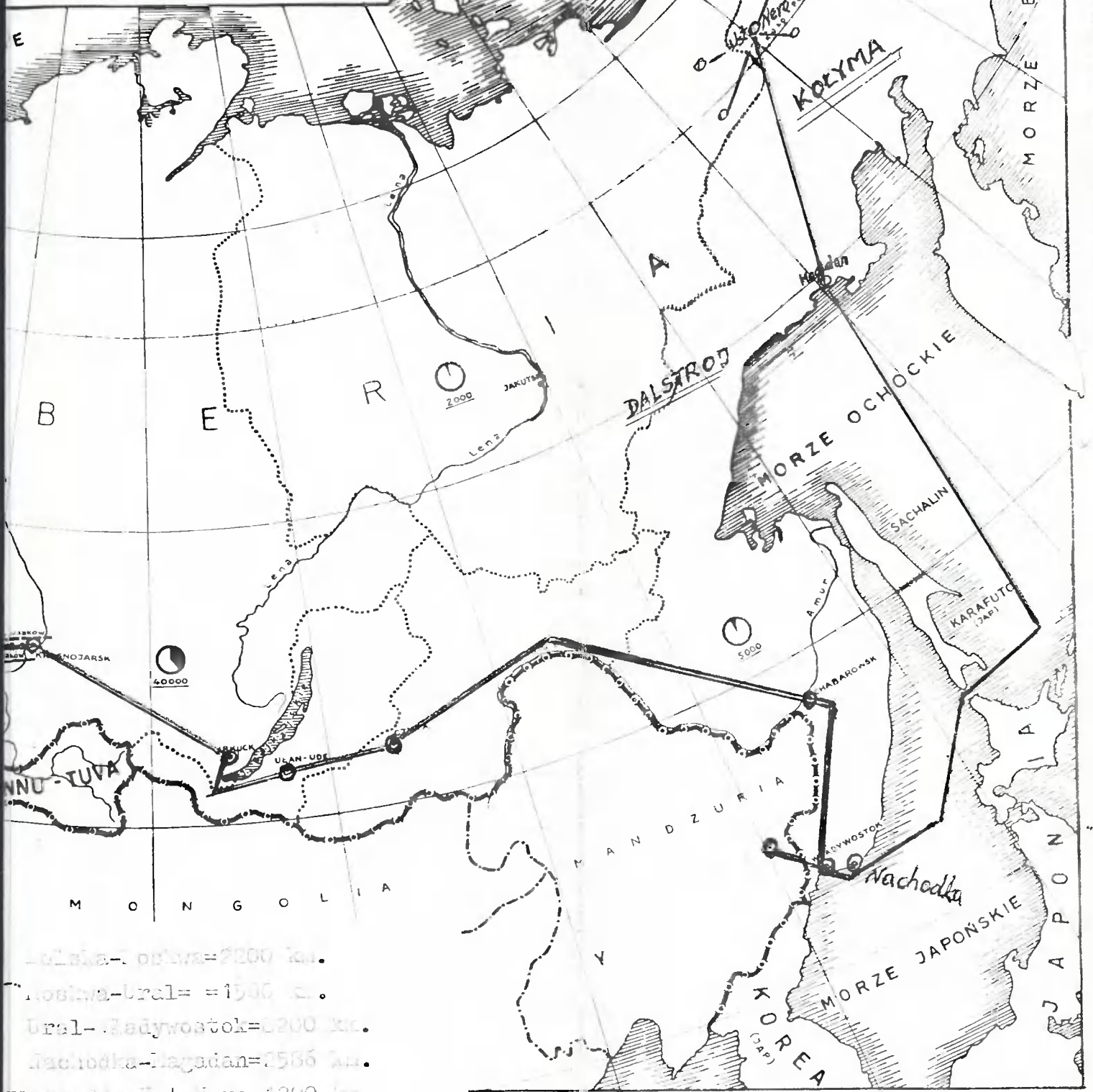
Podziałka 1: 15,000,000

150 0 150 100



KWD-Janusza SIM ILSZCZEGO  
óry po "porikowaniu" z  
lnowostoczných inGAC  
ywał na zeszeniu od 1945r.

ENIA  
we republik i obwodów ZSRR  
obwody (oblasti) z nieprzeprowadzonym poborem do w.p  
(liczby wskazują ilość zarejestrowanych obywateli polskich)  
oficer rejestracyjny PSZbr  
stacja wyjazd i ilości osób cywilnych wyjezdź z II ewakuac



Wielka-Obława=2200 km.  
Moskwa-Ural=1500 km.  
Ural-Zadywostok=2200 km.  
Nachodka-Magadan=2586 km.  
Magadan-Ust-Nora=1200 km.  
K do każdego zagru=4x300=1200 km  
Łącznie =16.286 km.

sób  
oby